



Fej tajemnice

BEATA OLEJNIK

NOVAE RES

BEATA OLEJNIK

Fej tajemnice



NOVAE RES



Bywają w życiu takie sytuacje,
gdy żaden wybór nie jest jednoznacznie
ani dobry, ani zły...

Marianna

Poprawiła kwiaty w wazonie, ustawiła i zapaliła znicze. Chusteczką higieniczną przetarła tabliczkę z napisem: KOBIEȚA N.N. zm. 20.09.2019. Kobieta w grobie nie była wcale nieznaną, chociaż jako taka została pochowana, ale tylko siostra Ludwika i ona o tym wiedziały. Miała szczęście, że trafiła na siostrę Ludwikę. Gdyby nie ona i gdyby akurat w przytułku dla bezdomnych nie zmarła ta dziewczyna... co by się z nią stało? Z nią i z jej dzieckiem. Nie próbowała sobie nawet wyobrazić, gdzie by teraz była. Może w szpitalu psychiatrycznym, a może w więzieniu? Ktoś tam na górze nad nią czuwał. Tak mówi siostra Ludwika i pewnie ma rację.

– Ty znowu tu? Zmarzniesz, dziecino. Wracaj do domu. – Zakonnica podeszła do młodej kobiety stojącej nad skromnym grobem.

– Tylko na chwilę wpadłam. Dawno tu nie byłam. A siostra co tu robi?

– Ty nie odwracaj kota ogonem. Ja mam tu swoje obowiązki i to ja ciebie pierwsza spytałam – odezwała się siostra z uśmiechem. Widać było, że chociaż dzieliła je znaczna różnica wieku, obie kobiety darzyły się dużą sympatią, może nawet przyjaźnią.

– Wciąż mam wyrzuty sumienia, że podszywam się pod tę dziewczynę.

– Nawet tak nie mów. To był dar od Boga. Albo zrządzenie losu, jak wolisz. To nie przypadek, że zjawiłaś się właśnie w tym dniu, w którym odeszła Marianna.

– Tak... Jej śmierć pozwoliła mi zacząć nowe życie. Ale tak nie powinno być.

– Jeden Bóg wie, jak powinno być. Cóż my możemy, marne istoty... – Zakonnica wzniosła oczy ku niebu.

Dziewczyna się wzdrygnęła i włożyła ręce do kieszeni. Pod płaszczem poczuła ruchy dziecka; ostatnio bardzo się wierciło.

– Rzeczywiście trochę zmarzłam. Wpadnie siostra do mnie na gorącą herbatkę?

– Powinnam jeszcze uporządkować dwa groby, ale może zrobię to jutro, też trochę zmarzłam.

– No to chodźmy. Upiekłam wczoraj szarlotkę.

– Skusiłaś mnie. Na starość robię się łasuchem, to grzech.

– Żeby wszyscy mieli takie grzechy jak siostra... – Dziewczyna uśmiechnęła się, odchylając do tyłu głowę i odsłaniając przy tym ucho, a raczej to, co z niego zostało. Ludwika przyglądała jej się dyskretnie; zawsze była ciekawa, w jakich okolicznościach powstało to okaleczenie, ale nie chciała denerwować młodej kobiety. Raz tylko ją spytała, a nie dostawszy konkretnej odpowiedzi, więcej do tego nie wracała. Dziewczyna była tak ładna, że ten szczegół nie miał specjalnego znaczenia.

*

Weszły do niedużego, ale urządzonego z gustem mieszkania. Tym, co się rzucało w oczy, były kwiaty. Białe róże stały na stole, na komodzie, nawet w łazience.

– Piękne mieszkanie. Wciąż się zastanawiam, skąd wzięłaś na to wszystko pieniądze – powiedziała zakonnica.

– Miałam trochę rodzinnych klejnotów...

– Tak, tak, mówiłaś mi, Marianno. I przy tym zostaliśmy – powiedziała siostra Ludwika, zerkając na cenny pierścionek lśniący na palcu dziewczyny.

Młoda kobieta na chwilę zamilkła, wbijając wzrok w szkatułkę z macicy perłowej stojącą

na komodzie. Wciąż nie mogła się przyzwycząić do nowej tożsamości. Już nie była Zuzą, tylko Marianną, Marianną Walewską. Musiała też nauczyć się nowej daty urodzenia, była teraz dwa lata starsza niż w rzeczywistości. Nie miała rodziny, była samotna jak prawdziwa Marianna. Dziwne, że taka młoda dziewczyna była sama na tym świecie, nie miała nawet domu, trafiła do przytułku i tam umarła. A może miała rodzinę, tylko z jakiegoś powodu się do tego nie przyznawała? Jeśli tak było, to najwyraźniej miały ze sobą coś wspólnego.

– Proszę się rozgościć, zaparzę herbatę – powiedziała do zakonnicy i wyszła do kuchni.

– Dobrze, dziecino. Posiedzę sobie chętnie w tym wygodnym fotelu. W klasztorze mamy takie twarde krzesła.

Dziewczyna zajęła się herbatą, ukroiła ciasta i wróciła do pokoju. Siostra Ludwika spała słodko, wtulona w wygodny fotel. Marianna chwilę jej się przyglądała. Zakonnica cichutko pochrapywała, zniszczone stare dłonie miała złożone na brzuchu, który równomiernie się poruszał. Marianna wyjęła z komody patchworkową narzutę i okryła staruszkę. Czują ogromną wdzięczność dla tej kobiety. Były dla siebie obce, a jednak takie sobie bliskie. Siostra bez zastanowienia uwierzyła jej słowom, chociaż wcale nie brzmiały wiarygodnie.

*

Bóle przyszły w środku nocy. Marianna skuliła się na podłodze, czekając, aż minie pierwsza fala. Momentalnie przypomniała sobie swój pierwszy poród. Wtedy też rodziła sama, nie do końca wiedząc, co się z nią dzieje. Dopiero gdy zobaczyła to małe ciało zupełnie bez życia, jej umysł częściowo się odblokował. Wiedziała, że urodziła dziecko, ale zupełnie nie wiedziała, gdzie jest. Nawet gdy zjawił się Apollo, gdy płakał razem z nią nad ich martwym synkiem, nie rozumiała jeszcze, co się dzieje. Pamięć wracała stopniowo... Teraz jest w pełni świadoma i wie, co powinna zrobić. W przerwie między skurczami zadzwoniła po karetkę... Dwie godziny później tuliła już w ramionach swojego małego synka. Tym razem jak najbardziej żywego. Gdy otworzył oczy i spojrzał na nią, nie wytrzymała. Zaczęła szlochać, kołyszając noworodka w ramionach.

– Dobrze się pani czuje, pani Walewska? – zaniepokoiła się pielęgniarka.

Młoda matka nie od razu zrozumiała, że to do niej ktoś mówi. Wciąż nie mogła się przyzwycząić do nowej tożsamości.

– Pani Marianno! Wszystko w porządku? – powtórzyła położna.

– Tak, jak najbardziej. To ze szczęścia... – odpowiedziała, uśmiechając się przez łzy.

– Ma pani pięknego synka i była pani bardzo dzielna. To rzeczywiście powód do szczęścia. Ale muszę go na chwilę zabrać. Niedługo odniosę. Obiecuję. – Położna delikatnie odebrała jej dziecko.

– Co mu będziecie robić? – Dziewczyna nieco spanikowała. W pamięci wróciła ta chwila, kiedy Apollo odbierał z jej objęć inne dziecko.

– Lekarz go tylko szybko zbada i wróci do pani, obiecuję. – Pielęgniarka uśmiechnęła się do dziewczyny, polubiła ją. Codzienne miała styczność z rodzącymi, ta była wyjątkowa, taka bezbronna i silna zarazem. Było w niej coś, co zaimponowało położnej.

– Dobrze, skoro tak trzeba. Proszę go zabrać.

– Zaraz wrócimy do mamusi – szepnęła pielęgniarka do dziecka, wychodząc z nim z sali.

Marianna została sama w czystym, ale chłodnym pomieszczeniu szpitalnym. Pod ścianą stało drugie łóżko, na razie puste. Były też dwa małe łóżeczka na kółkach dla nowo narodzonych dzieci. Dziewczyna chwilę wertowała w pamięci. Wspomnienie poprzedniego pobytu w szpitalu nie było miłe. Zamykali ją tam w pokoju, zmuszali do przyjmowania jakichś pigułek, robili bolesne zastrzyki. Próbowali wmówić jej coś, czego nie pamiętała. Było jej tam źle. Uciekła,

uciekła do Apolla i on się nią zaopiekował. Wprawdzie też ją zamknął, ale tam było jej dobrze i czuła się bezpiecznie, i on z nią był. Zamrugała, spod powiek wypłynęły jej łzy. Były gorące, czuła ich ciepło na policzku. Co zrobiła nie tak? Dlaczego Apollo sprowadził tę drugą dziewczynę? Czy był zły, że ich mały synek umarł? Tego długo nie mogła zrozumieć, a jak w końcu zrozumiała... gdy jej pamięć powoli zaczęła wszystko układać w jedną całość, było już za późno. Jedyne, co mogła zrobić, to znowu uciec. Uciec gdzieś daleko, gdzie jej nikt nie znajdzie, nawet Apollo. Ale żeby to zrobić, musiała spalić za sobą mosty. I zrobiła to, dosłownie. Spaliła, co się dało, i uciekła, zabierając to, co zdołała sama unieść i co miało dla niej ogromną wartość. Zabrała coś jeszcze... coś, co w niej rosło i trzymało ją przy życiu. Dziecko Apolla. Dla tego dziecka zrobiłaby wszystko.

*

Układała w stosik piękne patchworki. Zaraz ktoś miał po nie przyjść. Młoda kobieta czule spoglądała na łóżeczko, w którym słodko spał jej mały synek. Był jej największym szczęściem i największym skarbem. Usłyszała głos domofonu, mały poruszył się w łóżeczku, ale po chwili spał już spokojnie.

– Przepraszam, kochana, że bez uprzedzenia... – W progu stała zakłopotana siostra Ludwika. Nie na nią dziewczyna czekała, ale i z tej wizyty się ucieszyła.

– Siostra zawsze jest tu mile widziana. Zapraszam. – Otworzyła szerzej drzwi.

– Jak tu cichutko i spokojnie. Tak lubię cię odwiedzać. Jak się miewa maluszek? – Zakonnica podeszła do łóżeczka i z uśmiechem przyglądała się dziecku.

– Jest cudowny. Kocham go nad życie.

– Nie dziwię ci się. Macierzyństwo jest piękne. Szkoda, że nie mogłam tego osobiście doświadczyć. Wybacz mi, Boże... – Siostra wzniosła oczy ku niebu.

Marianna nie rozumiała, za co ta kobieta przeprasza Boga, ale nie mogła o tym za długo myśleć, gdyż znów dał się słyszeć domofon. Tym razem był to ktoś, na kogo dziewczyna czekała.

– Dzień dobry. Proszę, wszystko gotowe – powiedziała, wpuszczając gościa do środka.

Mężczyzna uklonił się z uśmiechem, spoglądając na przygotowane dla niego patchworki.

– Wspaniale. Muszę przyznać, że pani wyroby mają ogromne powodzenie, nie spodziewałem się, że aż tak. Ale cieszy mnie to bardzo.

– Mnie również. – Dziewczyna nie kryła zadowolenia. Te patchworki stanowiły w tej chwili jej główne źródło utrzymania. Póki dziecko było małe, nie mogła podjąć innej pracy. Miała wprawdzie jeszcze trochę biżuterii, ale trzymała ją na czarną godzinę. Było coś jeszcze, ta czynność bardzo ją uspokajała. Szyjąc patchworkowe narzuty, przenosiła się w myślach do małego mieszkanka na poddaszu. Chociaż sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, tęskniła za tamtym miejscem.

Mężczyzna zapakował do wielkiej torby przygotowane narzuty. Pożegnał się i zapowiedział, że przyjedzie za miesiąc.

– On ma rację, te twoje rękodzieła są naprawdę wspaniałe. Żałuję, że nie mogę ci zapewnić większego zbytu.

– Ależ tak wiele dla mnie siostra już zrobiła i wciąż robi. Naprawdę jestem niezmiernie wdzięczna.

– Tak, tak, skarbie. Dobra nigdy nie za wiele, a ja wkrótce stanę przed obliczem Pana... On mnie ze wszystkiego rozliczy. – Kobieta wzniosła oczy ku niebu.

– Siostrzo Ludwiko, proszę tak nie mówić. Jestem pewna, że jeszcze długie lata będzie siostra czyniła dobro tu, na ziemi.

- Może tak, może nie... Bóg jeden wie.
 - Napije się siostra herbaty z miodem i imbirem? – zmieniła temat Marianna.
 - Chętnie... Oj, zrobił się ze mnie łakomczuch na stare lata – dodała już całkiem po cichu, jakby do siebie i zasiadła w wygodnym fotelu naprzeciwko łóżeczka ze śpiącym synkiem Marianny. Tym razem nie zapadła w drzemkę, jak często jej się zdarzało w oczekiwaniu na herbatę.
 - Gotowe, zapraszam. – Dziewczyna położyła na stoliku tacę z filiżankami i talerzyk z ciastkami.
 - Dziękuję. Powiedz mi, kochana, nadal obstajesz przy tym dziwnym imieniu dla dziecka?
 - Tak, mój syn ma na imię Ares.
 - Dziwne imię wybrałaś dla dziecka. Może zastanów się, czy go nie zmienić.
 - To z mitologii greckiej. Nadałam synkowi imię greckiego boga wojny na cześć mojej znajomej. Była kimś ważnym w moim życiu i zapewniam siostrę, że byłaby dumna z tego imienia. – Marianna myślała o Basi, matce Apolla. Jej zamiłowanie do mitologii było takie prawdziwe i szczere. Dziewczyna chciała, by wnuk Basi nosił imię, które by jej się podobało.
 - Tyle masz tajemnic, dziecino, aż mnie to czasem przeraża. Ale z drugiej strony jesteś taka bezbronna, że zrobię wszystko, żeby cię chronić.
 - Nie jestem jeszcze gotowa, ale obiecuję, że siostra będzie pierwszą osobą, której się zwierzę – powiedziała Marianna i położyła dłoń na szkatułce z macicy perłowej. W tym momencie serce zabiło jej mocniej, a w gardle pojawiła się wielka gęź, odbierając jej mowę.
 - Ten przedmiot też jest dla ciebie ważny, prawda? Widzę, z jakim namaszczeniem się z nim obchodzisz. – Zakonnica była stara, ale bardzo spostrzegawcza, i choć pamięć ją czasem zawodziła, niektóre szczegóły nie uszły jej uwadze.
 - Tak... – wyszeptała Marianna, wciąż trzymając dłoń na szkatułce.
- *

Ciche, puste i chłodne korytarze klasztoru wydawały się siostrze Ludwice ponure i nieprzyjazne. Zaraz pożałowała tej myśli i postanowiła dzisiaj wieczorem wypowiedzieć się z nich. Czy było grzechem myśleć tak o miejscu, w którym spędziła prawie pół wieku? Nigdy tak nie uważała, przez tyle lat wędrowała tymi korytarzami do oratorium, kaplicy lub swojej celi. Setki razy szorowała na kolanach ogromne hole, by lśniły czystością i były nieskazitelne. Od zawsze to miejsce wydawało jej się takie święte i... piękne. Kiedy to się zmieniło? Kiedy spostrzegła ten chłód i smutek? Wiedziała, kiedy to się stało. Któregoś dnia po tym, jak siostra przełożona poleciła jej pracować w przytułku, który prowadziły. Miała pomagać młodszym siostrze i wzywać ojca Fryderyka do konających, którzy chcieli się pojednać z Bogiem. Już wcześniej miała kontakt z chorymi i ubogimi i zawsze świetnie sobie radziła. Ale ten dzień zapamiętała do końca życia... Było już dość późno, a ona siedziała przy łóżku umierającej. Dziewczyna trafiła tu zaledwie kilka godzin wcześniej i wszystko wskazywało na to, że to jej ostatnie chwile. Wezwanego pogotowia wciąż nie było. Nigdy się nie spieszyli. Po wizycie ojca Fryderyka, który opatrzył chorą ostatnim namaszczeniem, wciąż przy niej czuwała. Dziewczyna była taka młoda, a jej życie już dobiegało końca. W takich chwilach Ludwika miewała wątpliwości co do miłosierdzia Najwyższego. Oczywiście zaraz ganiła siebie za takie myśli, wzbudzając akt żalu i prosząc o wybaczenie. Dziewczyna na chwilę otworzyła oczy, westchnęła i... odeszła. Zakonnica zmówiła krótką modlitwę i wyjęła z jej rąk zniszczoną małą torebkę. W środku znalazła tylko zdjęcie jakiegoś mężczyzny i bardzo zniszczony dowód osobisty.

– Marianna Walewska – przeczytała cicho.

Wstała od zmarłej i podeszła do okna. Padał deszcz. Nic tu po mnie, pomyślała i już miała zamiar podążyć do kaplicy na wieczorne modlitwy, gdy usłyszała dzwonek przy drzwiach wejściowych.

– Za późno, jak zwykle... – powiedziała siostra, otwierając na oścież bramę. Ale ku jej zaskoczeniu to nie było pogotowie. Przed drzwiami stała dziewczyna. Była przemoknięta i przerażona. W pierwszej chwili zakonnica zaniemówiła. Młoda kobieta była ładną podobną do tej, która przed chwilą zamknęła oczy na zawsze, a już na pewno była w podobnym wieku. Co za zrzędzenie losu, pomyślała.

– Proszę mi pomóc. Proszę mnie ukryć – powiedziała dziewczyna ledwo słyszalnym głosem.

Zakonnica rozejrzała się podejrzliwie.

– Ktoś cię ściga? – spytała, wpuszczając nieznajomą do środka.

– Ukryj mnie, proszę. Oni mnie dogonią, zabiją.

– Nikt cię nie zabije – powiedziała siostra, zamykając za nią drzwi. Już po chwili jednak musiała je ponownie otworzyć; przyjechało pogotowie.

– Kogo tu mamy? – spytał lekarz.

– Bezdonna dziewczyna. Odeszła dwadzieścia minut temu. Pozostało wypisać akt zgonu.

– Jakież dokumenty nieboszczki?

– Niestety brak... – oświadczyła zakonnica, chowając w przepastnym rękawie małą torebkę zmarłej.

I tak oto Zuzanna została Marianną Walewską, bo zakonnica postanowiła przekazać jej dokumenty, a tym samym tożsamość zmarłej. Siostra Ludwika do dziś nie wie, co nią kierowało. Skąd przyszła jej do głowy myśl, że tej biednej dziewczynie, która odeszła, na nic już się nie przydadzą, a tej drugiej, przerażonej, przed kimś uciekającej – jak najbardziej. Oczywiście wypowiedziała się z tego czynu i wysłuchała reprimendy ojca Fryderyka, ale wiedziała, że on zachowa tę informację dla siebie, i to nie tylko dlatego, że zobowiązywała go tajemnica spowiedzi.

*

Marianna wiodła spokojne życie w przytulnym mieszkanku ze swoim małym synkiem. Nie miała znajomych, oprócz siostry Ludwiki i pana Zbigniewa, który przyjeżdżał raz w miesiącu po odbiór patchworków. Nie brakowało jej towarzystwa, umiała żyć w samotności, chociaż bywały momenty, gdy wracały wspomnienia. Wtedy było ciężko. Życie dawnej Zuzanny przewijało się w jej pamięci jak kadry z filmu. Jej życie przed podróżą do Australii, piękne, beztrudne życie u boku Apolla. Ich wspólne plany na przyszłość, przygotowania do ślubu. Była wtedy taka szczęśliwa. A potem... potem stała się tragedia. Dziewczyna nie chciała do tego wracać, blokowała myśli o tym i zaczynała rozpaczliwie płakać, próbując się pozbyć. Ta część jej życia wciąż była dla niej wielką raną. Zazwyczaj jej szloch budził Aresa, a wtedy tuliła swoje dziecko do piersi, i to pozwalało jej się ogarnąć i wrócić do rzeczywistości.

– Już dobrze, kochanie. Jestem tu... i Iwo jest z nami – szeptała do synka, głaszcząc jednocześnie szkatułkę skrupulatnie umieszczoną na komodzie na białej serwecie w otoczeniu białych róż. Wiedziała, że tak być nie powinno, że to jest chore, że nie tu powinien spoczywać Iwo, ale nie potrafiła się z nim rozstać... Czasami myślała o Apollu, o jego uczuciach do niej. Czy on o niej myśli, czy tęskni? Czy pogodził się z jej stratą i prowadzi spokojne życie z nową rodziną? Czula do niego żal, ale też wciąż go kochała, i jego wspomnienie sprawiało jej ból tak mocny, że myślała, że serce jej pęknie z rozpacz.

*

Siostra Ludwika z racji swojego wieku miała więcej swobody niż inne zakonnice w klasztorze. Nie miała zbyt wielu obowiązków i nie musiała o wszystkim informować przełożonej jak jej młodsze towarzyszki. Jedyne każde wyjście poza mury klasztoru powinna była, jak inne mniszki, zgłaszać matce przełożonej i musiała uzyskać jej zgodę. Tego wieczoru po kolacji poszła do sekretariatu i zasiadła przy komputerze. Nie była zbyt biegła w szusowaniu po Internecie, ale postanowiła spróbować. Wciąż niewiele wiedziała o dziewczynie, której pomagała i którą pokochała tak, jak jej zdaniem kochałaby swoje dziecko, gdyby je miała. Wiedziała tylko, że dziewczyna miała na imię Zuzanna i mieszkała w malowniczej miejscowości na Podkarpaciu. Wiodła szczęśliwe życie do momentu jakiegoś bardzo przykrego wydarzenia mniej więcej trzy czy cztery lata temu, o którym nie chciała albo nie mogła mówić. Zakonnica nie naciskała młodej przyjaciółki, ale coś jej mówiło, że powinna poznać prawdę, chociażby po to, żeby lepiej jej pomóc. A może tylko tak to sobie tłumaczyła, może kierowała nią zwykła ludzka ciekawość. W końcu była tylko człowiekiem, to, że była zakonnica, nie czyniło jej kimś wyjątkowym.

– Jak się do tego zabrać? – pytała samą siebie, patrząc w monitor komputera.

Minęła godzina. Traciła już nadzieję, że znajdzie coś, co pomogłoby chociaż odrobinę odkryć tajemnicę dziewczyny. Była zmęczona, piekły ją oczy, nieprzywykłe do ślęczenia przy komputerze. Już miała zakończyć to swoje marne śledztwo, gdy zainteresował ją pewien tytuł artykułu.

– *Tajemnicze zniknięcie polskich turystów w dzikich rejonach Australii* – przeczytała na głos.

Artykuł pochodził sprzed kilku lat i dziwnie pasował do strzępków historii opowiadanych przez Mariannę. Siostra Ludwika tkwiła jeszcze kilka godzin wpatrzona w niebieski ekran, czytając z zacięciem wszystko, co udało jej się znaleźć na temat zaginionej podróżniczki i archeolożki Barbary W. oraz towarzyszących jej osób, zwłaszcza młodej kobiety, narzeczonej jej syna. Jeśli wierzyć temu, co na ten temat napisano, dziewczyna była jedyną osobą, którą odnaleziono żywą. Lecz obecnie jej los też jest nieznanym. W kronice osób zaginionych zakonnica odnalazła zdjęcie Marianny, a raczej Zuzanny, ze wzmianką, że kobieta była leczona psychiatrycznie. Dziewczyna nieco się zmieniła, ale siostra Ludwika nie miała wątpliwości, że to kobieta, której pomogła zacząć nowe życie. Dużo się dowiedziała, ale zdawała sobie sprawę, że to tylko część tej historii. Miała nadzieję, że Marianna zaufa jej kiedyś na tyle, żeby opowiedzieć o wszystkim, co przeżyła w swoim tak krótkim jeszcze życiu.

*

Pierwsze urodziny Aresa zbiegły się z dniem, w którym chłopiec postawił swój pierwszy samodzielny krok, a po chwili następny i jeszcze dwa kolejne, aż wpadł w ramiona uśmiechniętej matki.

– Brawo, kochanie. Super... jesteś taki dzielny – czule przemawiała do synka Marianna.

– Ba, ba... ba, ba – powtarzało w kółko dziecko, śmiejąc się do mamy i wciąż próbując swoich sił w samodzielnym chodzeniu.

– Zaraz będziemy mieli gości. Siostra Ludwika będzie zachwycona, jak zobaczy twoje postępy – powiedziała Marianna, chwytając chłopca w ramiona i obsypując pocałunkami jego pulchną buzię.

Nie czekali długo, gość był bardzo punktualny.

– Sto lat... sto lat... – dało się słyszeć, gdy tylko Marianna otworzyła drzwi. Najpierw ukazała się wielka głowa z grzywą, a zaraz po niej zasapana siostra Ludwika.

– Ojej, Aresku, zobacz, co tu mamy. Jaki piękny konik...! – Marianna klasnęła w dłonie, a malec otworzył buzię ze zdziwienia.

– Wszystkiego najlepszego, mój skarbeńku, dużo zdrówka i bożego błogosławieństwa. Do życzeń dołączają się siostry i ojciec Fryderyk – wyrzuciła z siebie jednym tchem Ludwika, stawiając przed małym pięknego konia na biegunach. Chłopczyk od razu ruszył w jego kierunku.

– Ojej, on sam idzie...! – krzyknęła radośnie siostra Ludwika, prawie podskakując na swych starych, zmęczonych nogach.

– Dzisiaj zrobił pierwszy krok, dosłownie przed kilkoma minutami.

– Jak ten czas leci... To było jakby wczoraj, ten dzień, w którym zjawiłaś się w przytułku. – Zakonnica posmutniała na chwilę, wspominając tamto zdarzenie.

– Tak. Też dzisiaj o tym myślałam, i o tej biednej dziewczynie. Może ona jednak miała jakichś bliskich? Może ktoś się o nią martwi?

– A może o ciebie też się ktoś martwi? Nie masz nikogo bliskiego? – spytała siostra, sadzając Aresa na koniu i starając się, by jej głos brzmiał spokojnie i nie wzbudzał podejrzeń. Za nic nie chciała, żeby Marianna zorientowała się, że coś o niej wie. Bo właściwie dużo już wiedziała. Niejedną noc spędziła na poszukiwaniu informacji. Coraz sprawniej używała Internetu i ku jej rozpaczy podobało jej się to. Zaczynała rozumieć, na czym polega uzależnienie od tego „szatana współczesności”, jak nazywał się ojciec Fryderyk, i robiła wszystko, żeby nie popaść w nałóg. Całe życie była przykładem, wzorem dla innych, zupełnie niepodatna na pokusy tego świata. Odkąd pojawiła się w jej życiu Marianna, to się zmieniło. Nie stała się złym człowiekiem, wciąż była wzorową zakonnice, ale musiała się bardzo pilnować, by nie przekroczyć postawionej sobie granicy, którą i tak co jakiś czas delikatnie przesuwiała.

Dziewczyna nie od razu odpowiedziała na jej pytania. Uśmiechnęła się do synka, który dumnie siedział na koniu. Najwidoczniej prezent bardzo mu się spodobał. Potem spojrzała na zakonnice.

– Powinam siostrze wiele wyjaśnić. Wiem... ale wciąż trudno mi wracać do przeszłości. Tak, mam rodzinę i oni z pewnością czasami o mnie myślą, może nadal mnie poszukują. Ale i dla nich, i dla mnie lepiej jest tak, jak jest. Niech się w końcu pogodzą z tym, że odeszłam na zawsze, że umarłam.

– Jesteś dla nich okrutna, ale wierzę, że masz ku temu powód.

– Mam... – wyszeptła, a jej ramiona zaczęły się trząść. Nie mogła się pohamować, wybuchnęła płaczem, co przestraszyło chłopca. Dziecko też się rozplakało, zaniepokojone dziwnym zachowaniem matki.

– No i co narobiłyśmy? Nie tak powinny wyglądać urodziny dziecka, i to pierwsze. Przepraszam, nie płacz już, Marianno! O nic więcej nie zapytam. – Ludwika była przerażona. Nie chciała, by tak to się potoczyło.

Marianna wzięła w ramiona synka, który od razu się uspokoił, a już po chwili śmiał się i wyciągał rączki do konia na biegunach.

– Piękny podarunek. Dziękujemy. Czas na tort... – powiedziała młoda kobieta, jakby niezręcznej sytuacji przed chwilą wcale nie było.

– Znowu słodkości. Będę gruba... – Zakonnica też uznała, że lepiej zapomnieć o tej przykrej rozmowie. Chociaż dała jej ona wiele do myślenia. Ale wolała odłożyć to na później. Dalszy ciąg spotkania przebiegał w bardzo miłej atmosferze. Nic już nie zmąciło urodzinowego przyjęcia. Przy pożegnaniu siostra Ludwika raz jeszcze życzyła szczęścia małemu solenizantowi i gratulowała mamie udanego dziecka.

– I pomyśl, kochana, o chrzcie. Ojciec Fryderyk zgadza się już na Aresa. Zrozumiał, że nie zmienisz zdania – powiedziała już w drzwiach.

– Dobrze, obiecuję, że pomyślę – odpowiedziała dziewczyna i się uśmiechnęła. Była zadowolona, że wygrała z Ludwiką i Fryderykiem, którzy namawiali ją usilnie, by zmieniła synkowi imię.

*

Gdy wieczorem Ares już spał, Mariannę znowu dopadły wspomnienia. Patrzyła na śpiącego synka, który tak bardzo przypominał swojego ojca, co ją cieszyło i smuciło jednocześnie. Zamknęła oczy i przywołała tamte chwile. Poczowała delikatny i czuły dotyk, wydało jej się, że czuje jego zapach, smak pocałunków. Słyszała jego ciepły głos, który tak uwielbiała. Łzy jedna za drugą potoczyły się po jej twarzy. Otarła je szybko, próbując odsunąć wspomnienia. Zdała sobie sprawę, że wciąż kocha Apolla, że nie potrafi o nim zapomnieć. A jej rodzice? Siostra? Zraniła ich wszystkich, czy tak powinna była postąpić? Uciec jak tchórz, okradając Apolla, i udawać, że tamtego życia nie było? A prawdziwa Marianna? Była taka młoda, niemożliwe, żeby nie miała nikogo na świecie. Może z jakiegoś powodu też się ukrywała, chciała zapomnieć o tym, co było, zacząć od nowa...? Nie miała tyle szczęścia co ja, pomyślała. Dziecko poruszyło się niespokojnie w łóżeczku, wykrzywiając usta w podkówkę. Jakiś zły sen zakłócił jego spokój.

– Ciiii, kochanie, jestem tu – powiedziała, czule głaszcząc małego po główce. Chłopczyk się uspokoił, uśmiechał się lekko przez sen.

– Tak bardzo cię kocham, mój skarbie. Tak bardzo. Twój tatuś też by cię kochał. Gdyby tylko wiedział...



Dwa lata później

Siostra Ludwika miała dyżur w przytułku. Jak zwykle pielęgnowała chorych, pocieszała ich, dodawała otuchy. Była tak pozytywnie nastawiona do życia, że zawsze widziała światło w tunelu, nawet w przypadkach beznadziejnych. A tych było tu całe mnóstwo. Młodsze zakonnice często sobie nie radziły. Popadały w skrajności. Albo płakały, słuchając o ludzkich tragediach, co wcale nie pomagało pokrzywdzonym, albo stawały się twarde jak gład i wszelkie żale i smutki spływały po nich jak jesienny deszcz po kamieniach. Owszem, pilnowały, by chorzy i potrzebujący byli czysti i nakarmieni, ale niewiele robiły, by zapewnić im komfort psychiczny czy chociażby dać nadzieję na lepsze jutro.

– Jak siostra to robi, że zachowuje taki spokój i ma siłę ich wszystkich pocieszać? – spytała Ludwikę siostra Justyna, młoda zakonnica chodząca wiecznie z oczami czerwonymi od płaczu. – Tu jest tyle nieszczęść, jakby ich wszystkich Bóg opuścił.

– Nie bluźnij... To raczej oni wszyscy opuścili Boga. A nasze zadanie polega na tym, żeby pomóc im znaleźć drogę powrotną. Wtedy wszystko się ułoży. I nie maż się już, siostro, bo to ich tylko przytłacza. No już, głowa do góry...

– Dziękuję, siostro. Chciałabym mieć tyle siły co ty.

Co za słabeuszki wstępują teraz do zakonu, pomyślała Ludwika. A głośno powiedziała:

– Pomodłę się za siostrę, żeby Bóg dał ci siłę i mądrość, byś mogła nieść otuchę tym biedakom.

– Dziękuję...

Nagle na schodach rozległ się głos siostry Anieli:

– Siostró Ludwiko! Proszę zejść do kancelarii. Nie ma matki przełożonej, a jakiś mężczyzna chce rozmawiać z kimś ważnym. Tak powiedział. – Aniela spuściła skromnie wzrok.

– I to niby mam być ja? – Ludwika pokręciła z uśmiechem głową. – Zaraz zejść, niech chwilę poczeka.

Dopiero po półgodzinie zeszła do kancelarii. Na drewnianym krześle pod ścianą siedział mężczyzna. Był młody i wyglądał na przygnębionego, ale ona od razu poznała, że nie przyszedł szukać miejsca w przytułku. Coś innego go tu sprowadziło. Czuła, że jej się to nie spodoba.

– Niech będzie pochwalony... – Na widok zakonnicy mężczyzna zerwał się z krzesła.

– Na wieki wieków – odpowiedziała. – W czym mogę panu pomóc?

– Nie wiem, od czego zacząć.

– Po prostu proszę powiedzieć, jaki pan ma problem. Postaram się pomóc w miarę możliwości.

Młody człowiek westchnął i nerwowo otarł czoło dłonią.

– Szukam siostry... swojej rodzonej.

– Dlaczego tutaj?

– Bo widzi pani, znaczy siostra... – Najwidoczniej nie wiedział, jak ma się do niej zwracać.

– Może być pani, proszę się nie przejmować formą, w jakiej pan się do mnie zwraca. Nie to jest tu najważniejsze.

– A tak. Dziękuję za wyrozumiałość. – Mężczyzna stopniowo się uspokajał. Przyjazne nastawienie zakonnicy dodało mu pewności siebie.

– A więc poszukuje pan siostry? I domyślam się, że jakiś ślad doprowadził pana do nas. Tak?

– Tak, tak, właśnie tak. Już prawie cztery lata minęły, jak nie mamy z nią kontaktu.

Ludwika zmarszczyła brwi. Trybiki w jej głowie zaczęły się nagrzewać. Ale na zewnątrz wciąż zachowywała spokój.

– Co takiego się wydarzyło, że straciliście kontakt?

– To długa i skomplikowana historia.

– Zamieniam się w słuch.

– Bo widzi pani, moja siostra zakochała się w kuzynie, w swoim ciotecznym bracie. Z wzajemnością, i wynikły z tego same kłopoty i rodzinne nieporozumienia.

– Rzeczywiście kłopotliwa sprawa. Zapewne mieli przeciwko sobie całą rodzinę... ale trudno się dziwić.

– Mieli właściwie wszystkich przeciwko sobie. Nikt ich nie poparł. A oni naprawdę się kochali i chcieli być ze sobą jak mąż i żona.

Zakonnica się przeżegnała, ale nie przerywała mężczyźnie. Chciała usłyszeć tę historię do końca.

– Najbardziej sprzeciwiał się nasz ojciec. Wściekł się nie na żarty, wpadł w szał. Krzyczał, że ich pozabija, jak nie zerwą tego chorego związku. Groził, że ją wydziedziczy, wyrzuci z domu, wykluczy z rodziny.

– Współczuję im, chociaż nie popieram. Ale też rozumiem ojca, mimo że sama nigdy nie miałam dzieci. – Siostra Ludwika zawsze potrafiła się postawić w czyjejś sytuacji, poczuć czyjś strach, czyjaś złość, ból czy bezsilność. Wyobraziła sobie grzesznych kochanków, przeciwko którym był cały świat, i ojca szalejącego z bezradności.

– U nikogo nie znaleźli zrozumienia. Osamotnieni i zaszczuci jak zagonione w róg zwierzęta postanowili ze sobą skończyć.

- O mój Boże!!! – Zakonnica załamała ręce.
- Wynajęli pokój w hotelu, żeby tam umrzeć – kontynuował młody człowiek.

Ludwika schowała twarz w dłoniach, przeraziło ją to, co usłyszała. Targnięcie się na swoje życie było dla niej czymś niewyobrażalnym.

– Połknęli całą masę tabletek nasennych. Znalezione ich dopiero po dwóch dniach. Cyryl nie żył, ale Marianna jakimś cudem przeżyła.

Na dźwięk imienia dziewczyny zakonnica na chwilę przestała oddychać. Przed oczami miała młodą kobietę, która umierała, trzymając ją za rękę, i zapewniała, że jest sama na świecie. Właściwie nie wiadomo, na co zmarła. Bezdomnym rzadko robi się sekcję. Chyba że jest podejrzenie przestępstwa.

Młody człowiek jakby nie zauważył zakłopotania siostry Ludwiki, bo mówił dalej:

– Moja siostra przez trzy miesiące była w śpiączce, a gdy się obudziła i dowiedziała o śmierci swojego ukochanego, popadła w depresję i wkrótce potem uciekła z domu. – Po tych słowach zamilkł, zamknął oczy i zastygł w bezruchu.

– A policja? Nie znalazła jej?

– Niestety nie. Na początku mundurowi nawet się przyłożyli i poszukiwania były prowadzone naprawdę bardzo intensywnie, ale po kilku dniach osłabły, a potem już było coraz gorzej. Nasza matka wciąż wydzwaniała i pytała o rezultat poszukiwań, ale zbywali ją tylko zapewnieniem, że ona dowie się pierwsza, jak tylko policja coś znajdzie. Mogę prosić o szklankę wody?

– Oczywiście. Przepraszam, powinnam była sama zaproponować panu coś do picia. Może woli pan herbatę albo kawę?

– Nie, nie. Proszę nie robić sobie kłopotu, woda wystarczy.

– Ależ to żaden kłopot – powiedziała zakonnica, nalewając wody do szklanki. – Proszę. – Podadła mu naczynie. – I bardzo panu współczuję.

– Antek jestem, nie pan. – Uśmiechnął się do Ludwiki. Poczł do niej sympatię. Nie przepadał za zakonicami, może dlatego, że żadnej bliżej nie poznał. Gdzieś tam były, czasem widział jakąś na ulicy czy w kościele, jeśli zdarzyło mu się tam pójść. I to wszystko, były mu obojętne, należały do innego świata niż ten, w którym on żył.

– A ja jestem siostra Ludwika – powiedziała z uśmiechem, co sprawiło, że jeszcze bardziej ją polubił. Przypominała mu babcię, którą oboje z Marianną uwielbiali i u której w dzieciństwie spędzali mnóstwo czasu. Jeśli Marianna tu była, a może wciąż jest, to był pewny, że też polubiła tę kobietę.

– Skąd przypuszczenie, że twoja siostra tu jest? – spytała ciepłym, trochę smutnym głosem.

– Rok temu zmarła nasza mama. Przed śmiercią obiecałem jej, że odnajdę Mariannę. Wynajęłem detektywa, bo na policję nie mogłem już liczyć.

– Detektywa... – W cichym głosie Ludwiki brzmiał niepokój, lecz Antoni tego nie zauważył. Był pod wrażeniem tej kobiety. Coś mu mówiło, że może jej zaufać.

– Moja siostra pozbyła się telefonu, być może miała inny, ale nikt nie zdołał tego ustalić. Dziwne, prawda? Przecież policja ma takie możliwości... A ten detektyw jakimś tylko sobie znanym sposobem dotarł tutaj. Ktoś widział ją albo kogoś bardzo podobnego wśród bezdomnych w tutejszym przytułku.

– Przyjmujemy wielu potrzebujących. Niektórzy zostają, niektórzy odchodzą... Siostra przełożona prowadzi rejestr. Dzisiaj jej już niestety nie będzie.

– Mogę wrócić tu jutro albo za parę dni. Naprawdę mi zależy na odnalezieniu Marianny.

– W to nie wątpię. Tylko zastanawiam się, czy ona chce być odnaleziona. Skoro przez

tyle lat nie dawała znaku życia...

– Początkowo też tak myślałem, ale teraz, po latach, jestem coraz bardziej przekonany, że tego chce, tylko z jakiegoś powodu nie może, chyba że... – zawiesił na chwilę głos – chyba że stało jej się coś złego.

– Spokojnie, odsuń czarne myśli. Wszystko w rękach Boga.

– Moja mama bardzo wierzyła, że Bóg w końcu się zlituje i sprowadzi moją siostrę do domu. Ale gdy umierała, chyba trochę w to zwątpiła, bo prosiła mnie, bym odszukał Mariannę. – Antek spuścił głowę, jakby po tych słowach nie miał śmiałości spojrzeć w oczy zakonnicy. Ona jednak przywykła do tego, że wielu ludzi wątpi w bożą moc w chwilach niepowodzenia. Kiedyś ją to irytowało, że ludzie traktują Boga jak sługę spełniającego niekończące się prośby, a nie widzą, że wiele nieszczęść spotyka ich na własne życzenie. Teraz nieco inaczej to rozumiała, chociaż jej wiara wciąż była niezachwiana.

– Wróć, proszę, za dwa, trzy dni. Musimy przejrzeć rejestr naszych podopiecznych sprzed kilku lat. Podaj jakieś bliższe informacje o siostrze, może masz jej zdjęcie?

– Tak. Mam jej zdjęcie i inne dane, które może pomogą. Policja znalazła kilkanaście kobiet o tym samym imieniu i nazwisku, ale żadna z nich nie była moją siostrą...

*

To była dla Ludwiki jedna z najtrudniejszych nocy w życiu. Kilka godzin spędziła na klęczniku, modląc się i prosząc o mądrość, która pozwoli jej rozwiązać problem, jaki ją dręczył. Niestety Bóg na razie był głuchy na jej prośby, wciąż nie umiała znaleźć wyjścia. Teraz, leżąc w łóżku, po raz enty przywoływała w pamięci zdjęcie dziewczyny. Fotografia przedstawiała młodą, piękną kobietę o czarującym uśmiechu. Prawdziwą Mariannę. Prawdę mówiąc, bardzo podobną do Zuzy, która się pod nią podszywała. Ludwika zastanawiała się, jakim cudem nikt nie skojarzył jej z poszukiwaną. Przecież fałszywa Marianna urodziła dziecko, korzystała z przychodni lekarskiej, z banku. Nawet wymieniła zniszczony dowód na całkiem nowy ze swoim zdjęciem. Nikt nawet nie podejrzewał, że ma do czynienia z oszustką. I to ona Zuzannie w tym oszustwie pomogła. I wcale tego nie żałowała, przecież nikomu przez to krzywdy nie zrobiły. Chociaż... jak teraz o tym myślała, to już sama nie potrafiła powiedzieć, czy rzeczywiście nie zrobiły, bo tak naprawdę cierpiały dwie rodziny: Marianny i Zuzy. Pierwsza dziewczyna ją okłamała, że nie ma nikogo bliskiego, druga ukrywała jakąś tajemnicę. Ludwika była załamana. Na starość wpakowała się w taką historię. Kryjąc Zuzannę, sama stała się oszustką, ale przecież nie mogła wydać swojej młodej przyjaciółki. To życia prawdziwej Mariannie nie przywróci, a Zuzannie być może skomplikuje to, co już sobie poukładała i z czym wydaje się szczęśliwa.

Boże! Co ja narobiłam? Wybacz mi, jeśli postąpiłam źle. Ale wtedy wydało mi się to idealnym posunięciem. Nie powstrzymałeś mnie. A może tak właśnie miałam postąpić? Pozwól mi to zrozumieć... Zatoniona w cichej modlitwie, zakonnica czuła się zagubiona i bezradna.

Zasypiała zmęczona gonitwą myśli, wierząc, że jutro znajdzie rozwiązanie. Przypomniało jej się powiedzenie matki: „Dzień jest mądrzejszy od nocy”.

– Idź spać, poranek przyniesie rozwiązanie... – mawiała jej mama, gdy córkę nurtował jakiś problem.

– Mama – szepnęła już prawie na granicy snu. Ogarniał ją sen o dalekiej przeszłości, gdy była małą dziewczynką, szczęśliwą i bezpieczną, bo czuwała nad nią matka.

*

Ares tulił się do Marianny najmocniej, jak potrafił. Matce serce się krajało, gdy musiała

siłą oderwać od siebie przerażonego synka i przekazać opiekunce w przedszkolu.

– Proszę się nie denerwować, początki są zawsze trudne – pocieszała ją nauczycielka. – Dzieci zazwyczaj szybko się uspokajają i chętnie bawią się z innymi. Samo rozstanie jest dla nich smutne, ale to normalne u maluchów, które nigdy nie rozstawały się z mamą.

Marianna robiła wszystko, żeby zachować spokój. Było jej równie trudno jak synowi, a może i trudniej. Gdy tylko wyszła z budynku przedszkola, nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem. To tylko cztery godziny – myślała. Czas szybko zleci – pocieszała sama siebie, wycierając mokre od łez policzki. Niestety wciąż napływały nowe i za nic nie mogła ich powstrzymać.

– Niech pani nie płacze, to naprawdę świetne przedszkole. Mój siostrzeniec je uwielbia.

Dziewczyna odwróciła się w stronę, skąd dochodził głos. Młody mężczyzna szczerze się uśmiechał. Trochę się zirytowała, że wtrąca się w nie swoje sprawy, i już chciała coś odfuknąć, ale nie zdążyła.

– Wiktor jestem. – Mężczyzna był tak bezpośredni i tak miły, że zrezygnowała z zamiaru zbesztania go. Zamiast tego podała mu rękę.

– Marianna – powiedziała smutno.

– Piękne imię, takie rzadkie. – Uściskał jej dłoń, wciąż się uśmiechając.

– Dziękuję. Mazgaj ze mnie – powiedziała cicho.

– Nie mazgaj, tylko czuła matka. Jakbym widział moją siostrę. Też tak płakała przez cały miesiąc, dzień w dzień.

Marianna uśmiechnęła się i otarła kolejną łzę.

– To ma być pocieszenie?

– Takie malutkie. – Pokazał palcami, jak bardzo małe.

Marianna znowu się uśmiechnęła.

– Jednak trochę działa. Uśmiechasz się. Dasz się zaprosić na kawę? Może uda mi się bardziej cię pocieszyć. Wiem dużo o tym przedszkolu.

Chwilę się zastanawiała. Prawdę mówiąc, przez ostatnie lata trochę dzikus się z niej zrobił. Jedynym towarzystwem byli jej synek i zakonnica. Jakoś nie zależało jej na zawieraniu nowych znajomości. Podświadomie chyba się bała, że zostanie zdemaskowana. Przeszłość wciąż czaiła się tuż za jej plecami.

– To jak? Chyba że spieszysz się do pracy... – Wiktor się nie zniechęcał.

– Pracę zaczynam dopiero za tydzień. Na razie wdrażam nowy schemat dnia. I Ares, i ja musimy się nieco przestawić.

– Czyli kawa? Super. Tu niedaleko jest świetna kawiarnia.

– Nie powiedziałam, że się... No dobrze, chodźmy – zdecydowała w końcu.

Wiktor okazał się bardzo miłym kompanem do kawy. I dotrzymał słowa, udało mu się uspokoić Mariannę i przekonać, że w przedszkolu jej synkowi nie przytrafi się nic złego.

– Daję głowę, że za kilka dni nie będziesz mogła wyciągnąć Aresa do domu. Maluchy świetnie się tam czują.

– Obyś miał rację.

– Mam. Sama się przekonasz.

Przekonała się już tego samego dnia. Gdy odbierała syna z przedszkola, była mile zaskoczona. Chłopiec wybiegł do niej z uśmiechem i od razu rzucił jej się na szyję. Nie było śladu po wcześniejszym strachu i smutku.

– I jak, Ares? Przyjdiesz do nas jutro? – spytała opiekunka.

– Tak – odpowiedział radośnie. – Jutro.

– Więc do zobaczenia. I naprawdę proszę się nie martwić – powiedziała przedszkolanka

do Marianny.

– Postaram się nie rozklejać. Dziękuję bardzo – odpowiedziała i mimochodem spojrzała w bok. Na drugiej ławeczce siedział Wiktor. Puścił do niej oko i się uśmiechnął. W tej chwili podbiegł do niego chłopiec nieco starszy od Aresa.

– Cześć, wujek. Biłem się dzisiaj z Maćkiem – powiedział zadowolony.

– O właśnie... – Nauczycielka podeszła teraz do Wiktora. – Wojtuś dzisiaj miał mały konflikt z kolegą.

– Ale to on zaczął, a sam mówiłeś, że mam się nie dać. – Mały odważnie patrzył Wiktorowi w oczy.

– Tak, to prawda, tak mówiłem. Kto był prowodyrem? – spytał Wiktor, spoglądając na nauczycielkę.

– Tego już się chyba nie dowiemy – powiedziała z uśmiechem. – Ale wolałabym, żeby chłopcy nie rozstrzygali takich nieporozumień siłowo.

– To naprawdę Maciek zaczął – bronił się Wojtek.

Wiktor wzruszył ramionami.

– Już dobrze, ale na drugi raz zrób to, o co prosi pani. Spróbuj załatwić sprawę bez bójki.

Marianna przysłuchiwała się tej rozmowie z zainteresowaniem. Wojtek i Maciek byli starszakami, jej Ares dopiero zaczynał chodzić do przedszkola. Wszystko było przed nią.

– Chodź, przedstawię ci młodszego kolegę. – Wiktor podszedł do Marianny, prowadząc za rękę siostrzeńca.

– Nie bawię się z maluchami – odpowiedział chłopiec nieco naburmuszony.

– No nie, Wojtek! Ale wstyd mi dzisiaj przynosisz. Co w ciebie wstąpiło?

– Licho...

– Co?

– Pani tak powiedziała, że likho we mnie wstąpiło.

– Tak, Wojtuś mówi prawdę – pospieszyła z wyjaśnieniem nauczycielka. – Był dzisiaj wyjątkowo niegrzeczny i powiedziałam, że chyba likho w niego wstąpiło – wyznała z przeproszającą miną.

– Takie bardzo małe likho, ale zaraz je wypędzimy – podjął temat Wiktor, uśmiechając się do przedszkolanki.

– A jak? – zaciekawił się Wojtek.

– A to będzie niespodzianka. Zamykaj szafkę. Idziemy. I Aresa z mamą też zapraszamy.

Wojtek trochę się skrzywił. Perspektywa spędzenia czasu z maluchem nie bardzo mu się podobała, ale skoro będzie też jego ulubiony wujek i do tego niespodzianka, to był gotów się poświęcić.

Tą niespodzianką była wizyta w Bobolandzie, nowo otwartym placu zabaw dla dzieci. Wojtek był zachwycony, Ares początkowo trochę nieśmiały, ale w końcu też dał się skusić nieznanym do tej pory atrakcjom.

Wiktor z Marianną, pijąc kawę, czuwali nad bezpieczeństwem dzieci i prowadzili luźną rozmowę. Kobieta była zaskoczona, jak świetnie odnajduje się jej synek wśród innych dzieci. Do tej pory nie miał zbyt wielu okazji bawić się z rówieśnikami. Pomyślała, że musi nieco wyjść do ludzi, to izolowanie siebie i dziecka zrobi z nich dzikusów.

– I jak? Jesteś trochę spokojniejsza o Aresa? Myślisz, że sobie poradzi? – zasypał ją pytaniami Wiktor.

Marianna się zarumieniła. Tak dziwnie na nią patrzył. Poczula się jak małolata, gdy spojrzy na nią chłopak, który jej się podoba. Na szczęście Wiktor tego nie zauważył, tak jej się przynajmniej wydawało.

– Myślę, że to ja miałam większe obawy niż moje dziecko – powiedziała, spuszczać głowę.

– Matki tak mają. Żywym przykładem jest moja siostra – zauważył z uśmiechem Wiktor. – Takie już są mamusie: troskliwe, opiekuńcze, i tak powinno być – dodał, wciąż patrząc na Mariannę, która teraz też na niego spojrziała i poczuła, że znowu się czerwieni.

– Wujek, ja chcę tam, wysoko! – Wojtek podbiegł do nich, zaczął ciągnąć wuja za rękę i nalegać, by ten za nim szedł.

Marianna obserwowała, jak Wiktor wdrapuje się na wielką dmuchaną górę, jak z niej zjeżdża, trzymając za rękę roześmianego Wojtka. Jak wreszcie podbiega do niej i ciągnie ją w stronę tej niebywałej atrakcji. Pełna obaw próbowała się bronić, w końcu skapitulowała, gdy Wiktor złapał na ręce Aresa. Cała ich czwórka świetnie się bawiła. Gdyby ktoś patrzył na nich z boku, na sto procent uznałby ich za szczęśliwą rodzinę.

*

Tego wieczoru długo nie mogła zasnąć. Jej synek po obfitym w atrakcje dniu już dawno smacznie spał. A ona... ona raz jeszcze analizowała to, co się dzisiaj wydarzyło. Tak się bała tego pierwszego dnia, w którym będzie musiała rozstać się z dzieckiem na kilka godzin. Odkąd Ares się urodził, byli zawsze razem. Nie licząc tych kilkunastu minut, gdy któregoś razu zostawiła śpiącego synka pod opieką siostry Ludwiki i pobiegła do pobliskiego sklepu na szybkie zakupy. Tyle się naczytała w Internecie, jak ciężkie są pierwsze dni dzieci w przedszkolu, jak trudno niektórym maluchom zaakceptować brak matki. Tak bardzo się tego bała, a tu proszę, jaka niespodzianka. Okazało się, że to ona miała z tym zdecydowanie większy problem niż jej synek. Pomógł jej Wiktor... Wiktor! O nim też myślała tej bezsennej nocy. Zjawił się tak nagle i od razu świetnie się dogadywali, jakby znali się od dawna. Polubiła go, chyba jednak brakowało jej towarzystwa. Nie była takim odludkiem, jak jej się wydawało. Ale spotkanie z Wiktorem obudziło też wspomnienia. Gdy na nią patrzył, oczami wyobraźni zobaczyła Apolla; kiedy przypadkiem jej dotknął, gdy szaleli z dziećmi na placu zabaw, w pamięci wracały chwile, gdy to Apollo ją dotykał. Udawało jej się to opanować, ale teraz myśli i wspomnienia wróciły z podwójną mocą, nie pozwalając zasnąć. Minęło kilka lat. Ma już nowe życie, już nie jest Zużą. Teraz jest Marianną, matką Aresa. Tyle że Apollo jest ojcem jej dziecka i czy chce, czy nie, co jakiś czas będzie go wspominała. Ich synek jest tak bardzo do niego podobny. A co będzie, jeśli Ares kiedyś zapyta o ojca? Co mu wtedy powie?

Rano bolała ją głowa. Nieprzespana noc odbiła się wprawdzie na jej twarzy, ale mimo podkrążonych oczu i tak wyglądała dobrze. Zresztą teraz specjalnie o to nie dbała. Lubiła ładnie wyglądać dla Apolla. Nawet ukryta w małym mieszkanku na poddaszu robiła wszystko, by wyglądać pięknie na jego przyjście.

Korzystając z tego, że Ares jeszcze spał, postanowiła wziąć szybki prysznic. I tu też dopadły ją wspomnienia. Dobrze pamiętała, jak wspólnie z Apollem kąpali się w jej małej łazience. To właśnie wtedy, pod strumieniami wody, naszły ją pierwsze przebłyski wspomnień. Pomału odzyskiwała pamięć. Dzień po dniu docierało do niej, kim jest i co się wydarzyło. Gdy przypominała sobie wszystko, dla niej i dla Apolla było już za późno, on układał sobie nowe życie, a ona nie chciała mu w tym przeszkadzać...

*

W poniedziałek w przedszkolu nie spotkała Wiktora ani jego siostrzeńca Wojtusia. Pomyślała, że może dzisiaj przyszli wcześniej.

– Dzień dobry. Dzieci już na ciebie czekają... – przywitała ich z uśmiechem

nauczycielka, gdy tylko zjawili się w szatni.

– Pójdiesz z panią? Ja niedługo po ciebie przyjdę – powiedziała Marianna, całując małego na pożegnanie.

Chłopczyk bez sprzeciwu podał opiekunce rączkę i poszedł z nią na salę do innych dzieci. Marianna poczuła ukłucie w okolicy serca. Z jednej strony cieszyła się, że Ares tak dzielnie znosi rozstania z nią, ale z drugiej była odrobinę rozczarowana. Czyżby jej dziecko tak bardzo się z nią nudziło, że z największą chęcią idzie do przedszkola, i to już od pierwszych dni? Szybko jednak zganiła się za te myśli. Przecież niejedna matka by chciała, żeby jej dziecko tak bez bólu zaakceptowało pobyt w przedszkolu. Chwilę patrzyła, jak Ares i przedszkolanka znikają za drzwiami, i wyszła z budynku. Nie wiedziała, co z sobą zrobić, tak dawno nie miała czasu tylko dla siebie. Pracę zaczynała dopiero za kilka dni. Na razie mogła robić to, na co miała ochotę. Ale tak naprawdę na nic nie miała ochoty. Nie chciała szwendać się bez celu po ulicach. Na zakupy też jej nie ciągnęło. Nie miała tu żadnej koleżanki, o przyjaciółce nie wspominając. No chyba że siostra Ludwika. W jakimś stopniu była jej przyjaciółką. Wsparła ją w najtrudniejszym czasie i wciąż wspiera. To właśnie ona pomogła Mariannie znaleźć pracę w banku, za co dziewczyna była jej niezmiernie wdzięczna. Tak, siostra Ludwika zdecydowanie była jej przyjaciółką, ale czy to nie dziwne, że młoda kobieta przyjaźni się tylko ze starą zakonnicej? Przez chwilę myślała o Wiktorze, wydawało jej się, że pomału rodzi się między nimi przyjaźń, ale czy tak było, to się dopiero okaże. Zbyt krótko się znali.

Pograżona w zadumie podążała w miejsce, gdzie spoczywała kobieta, dzięki której mogła zacząć nowe życie. Ten grób był chyba najbardziej zadbaną mogiłą wśród wszystkich mogił na świecie z napisem N.N. Przychodziła tu, kiedy tylko mogła, przynosiła kwiaty, paliła znicze. Jesienią zbierała zeschnięte liście, wiosną pielęgnowała rosnącą na grobie trawę. Aż dziw, że nikt nie zwrócił na to uwagi. Inne mogiły bezimiennych były w o wiele gorszym stanie, czasem ktoś postawił na nich małą świeczkę albo położył jakiś niewielki bukiet. Niektórymi grobami opiekowała się siostra Ludwika, ale żaden nie był tak wypielęgnowany jak ten, nad którym stała teraz Marianna, a raczej Zuzanna.

– Dziękuję ci z całego serca i przepraszam. Czy kiedyś mi wybaczysz? – szeptała, patrząc na drewniany krzyż opleciony bluszczem, który posadziła tu poprzedniej wiosny. Zmówiła jeszcze krótką modlitwę w intencji zmarłej i pospieszyła do wyjścia. Zostało jej niewiele czasu, żeby dotrzeć do przedszkola po synka.

*

Następnego i również kolejnego dnia też nie spotkała Wiktora ani małego Wojtka. Nie miała śmiałości spytać o nich nauczycielki. Czekwała więc cierpliwie na rozwój sytuacji. Podświadomie tęskniła za nowym znajomym, który tak nagle się pojawił i równie nagle zniknął.

*

Siostra Ludwika podążała do gabinetu matki przełożonej z lekkim niepokojem. Domyślała się, o co będzie ją pytać matka Anna, i zupełnie nie wiedziała, jak w tej sytuacji powinna się zachować. Przrzekała posłuszeństwo i oddanie, i przez kilkadziesiąt lat udawało jej się tej przysięgi dochować, ale dzisiaj... dzisiaj miała dylemat. Zdawała sobie sprawę, że kilka lat temu zrobiła coś wbrew prawu. Wtedy wydało jej się to słuszne, wciąż jej się tak wydaje. Ale jak to odbierze siostra przełożona? Co będzie z Marianną, a raczej z Zuzanną, kiedy prawda wyjdzie na jaw?

– Boże, błagam, pomóż mi, nie zostawiaj mnie z tym samej... – szeptała cicho, przekraczając próg gabinetu. – Szczęść Boże – powiedziała głośno, zamykając za sobą ciężkie

drzwi.

– O, dobrze, że siostra jest. Mamy tu coś do wyjaśnienia, a siostra, o ile wiem, jest w temacie... – Matka przełożona spojrzała na nią spoza okularów.

Ludwika zmarszczyła brwi, jakby się nad czymś zastanawiała, chociaż dobrze wiedziała, o co chodzi. To niewinne oszustwo miało na celu uzyskanie kilku cennych chwil. Może w ostatniej sekundzie Bóg podrzuci jej rozwiązanie. Matka Anna, widząc zakłopotanie Ludwiki, pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Chodzi o jakąś dziewczynę, która prawdopodobnie u nas przebywała. Brat jej szuka. Rozmawiała z nim siostra kilka dni temu i poleciła zgłosić się do mnie. Był tu dzisiaj.

– A... tak, tak. Miły młody człowiek. Antoni zdaje się.

– Być może, nie mam pamięci do imion. Ani do dat. O ile jednak pamiętam, była tu taka nieboraczka, która szybko zmarła. Była bardzo młoda, dlatego ją zapamiętałam. Siostra Justyna bardzo to przeżywała. Całe szczęście, że ojciec Fryderyk zdążył z ostatnim namaszczeniem. I to chyba siostra miała wtedy dyżur... – Przełożona podniosła wzrok na Ludwikę i przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. – Nie żebym aż tak dokładnie to pamiętała – kontynuowała Anna – ale mam tu wszystko zapisane, o proszę... – Stuknęła palcem w otwartą księgę.

– Tak, pamiętam tę dziewczynę, była skrajnie wyczerpana. Zmarła, nim przybyło pogotowie.

– Nie miała przy sobie żadnych dokumentów, taką mam tu informację... – Przełożona wciąż patrzyła w zapiski w dużym zeszyte.

– Zgadza się. – Ludwika zdrętwiała na dźwięk własnych słów. Czowała, że cała płonie, już widziała siebie w ogniach piekielnych, gdzie zapewne trafi za to kłamstwo.

– Jej rysopis wyjątkowo się zgadza, i to zdjęcie zrobione po śmierci. Niech siostra spojrzysz. Wygląda wprawdzie na trochę starszą, ale myślę, że to ona. – Zakonnica trzymała w dłoni zdjęcie zmarłej i to drugie, dostarczone przez jej brata.

Zdjęcia! Ludwika zupełnie zapomniała, że osobom bez tożsamości robiły po śmierci zdjęcia, na wypadek gdyby ktoś kiedyś ich poszukiwał, co rzadko się zdarzało. Ale akurat w tym przypadku się zdarzyło... Boże, dlaczego mi to robisz? – myślała.

– Zobaczy siostra? – ponagliła ją przełożona.

– Tak... – Podeszła bliżej i spojrzała na zdjęcia. Jedno już widziała, wciąż ją prześladowało, ale to drugie... błada, wychudzona twarz, zapadnięte oczy. Dobrze pamiętała tę biedną dziewczynę. Jakże się różniły te dwie fotografie, chociaż przedstawiały tę samą kobietę. – Jej brat to widział? – spytała.

– Jeszcze nie. Chciałam się upewnić, czy dobrze kojarzę tę dziewczynę. Trochę czasu upłynęło, a tych biedaków dużo się u nas przewija, łatwo o pomyłkę. Ale skoro obie stwierdziłyśmy, że to ona, to z pewnością tak jest.

– Tak... – odpowiedziała cicho Ludwika i już chciała odejść, gdy Anna ją zatrzymała.

– Jeszcze jedno. Jej brat zapewne będzie chciał znać miejsce pochówku. Ty, siostrze, zajmujesz się mogiłami. Zaprowadzisz go tam, jeśli taka będzie jego wola.

– Oczywiście – wychrypiała Ludwika.

Matka przełożona machnęła ręką, dając do zrozumienia, że zakonnica może już iść.

– Mam nadzieję, że nie zażąda ekshumacji, to profanacja ciała, ale niczego nie można wykluczyć – powiedziała jeszcze jakby do siebie, bo znów patrzyła na zapiski w rejestrze.

Ludwika pośpiesznie opuściła gabinet i prawie pobiegła do kaplicy.

– Boże, na jaką próbę mnie wystawiasz? Co mam począć? Jak daleko jeszcze mam w to brnąć? – Kołatała jej się w głowie wiele pytań, na które nie знаła odpowiedzi. Bała się o Mariannę, a raczej Zuzannę. Nie było tajemnicą, że przyjaźni się z tą dziewczyną, zawsze gdy

do niej wychodziła, informowała o tym przełożoną. Młodszym siostrzom pokazywała zdjęcia Aresa. Czasem jadły razem upieczone przez Mariannę ciasto, którym ta chętnie się dzieliła. Czy nikt nie skojarzy jej z poszukiwaną kobietą? Na szczęście młode zakonnice miały tak napięty grafik, że chyba brakowało im już siły i czasu, by się nad tym zastanawiać. Zresztą pewnie żadnej nie przyszłoby do głowy, że Ludwika, ten wzór wszelkich cnót, mogłaby mieć coś wspólnego z oszustwem. Tylko ojciec Fryderyk znał prawdę, ale jego była pewna. Nawet można powiedzieć, że miała jego ciche pozwolenie na to, co robiła. Sam miał okazję poznać Mariannę; cicha, skromna, też ją polubił, chociaż nigdy się do tego głośno nie przyznał.

*

Nadszedł pierwszy dzień pracy Marianny. Była dziwnie spokojna, praca w banku nie była jej obca. Była już kiedyś zatrudniona w banku jako Zuzanna, choć oczywiście nie mogła się do tego przyznać ani tego udowodnić. Mimo to dzięki siostrze Ludwice mogła podjąć na okres próbny pracę w banku. A potem firma miała zdecydować, czy przedłuży umowę.

– O nic mnie, dziecko, nie pytaj. Ta praca jest ci potrzebna, a ja mogłam ci pomóc ją zdobyć. Są jeszcze dzięki Bogu dobrzy ludzie na tym świecie – powiedziała któregoś dnia zakonnica.

Marianna o nic więc nie pytała, była niezmiernie wdzięczna Ludwice, zgłosiła się, gdzie jej kazano, omówiła wstępne warunki i dostała dokładną datę rozpoczęcia pracy. I ten dzień właśnie nadszedł. Teraz poczuła jednak stres. Spokój gdzieś się ulotnił, drżała na całym ciele. Z duszą na ramieniu weszła do środka. Ale tu została mile przyjęta przez panią w średnim wieku.

– Ty zapewne jesteś Marianna? – Kobieta się uśmiechnęła. – Śmiało, my tu nie gryziemy. Zaraz ci wszystko pokażę. Przepraszam na chwilę... – powiedziała, odbierając natarczywie dzwoniący telefon.

– Tak, słucham... Tak, już ją prowadzę, właśnie przysła.

Marianna domyśliła się, że to o niej mowa, wciąż trochę zestresowana starała się, by jej uśmiech nie wypadł sztucznie.

– No widzisz, już nie mogą się na ciebie doczekać. Chodźmy, będziesz pracowała na piętrze.

*

Była już prawie szesnasta, gdy Marianna wpadła zdyszana do przedszkola. Pierwszy raz przysłała po dziecko tak późno. Pełna obaw nacisnęła dzwonek i wywołała imię synka. Już po chwili w drzwiach ukazała się nauczycielka z Aressem. Jej lęki od razu się rozplynęły. Chłopiec wyglądał na bardzo zadowolonego.

– Mama! – krzyknął radośnie, podbiegł do Marianny i zawiesił się na jej szyi.

– Tak tęskniłam, kochanie... – powiedziała, tuląc go do siebie. – Grzeczny byłeś?

– Tak – odpowiedział malec, wciąż uczipiony matki.

– Potwierdzam. Ares jest wyjątkowym dzieckiem. Naszym ulubieńcem. – Opiekunka z nieudawaną przyjemnością przyglądała się scenie powitania syna z matką.

– Cieszę się. Dzisiaj byłam pierwszy dzień w pracy. Nie mogłam odebrać go wcześniej.

– Może być pani dumna z syna. Proszę mi wierzyć, chcielibyśmy, żeby wszystkie dzieci takie były.

Mariannę ucieszyły te słowa. W ogóle miała udany dzień. W pracy było lepiej, niż sobie wyobrażała. Wprawdzie na razie miała wykonywać proste czynności, jak segregowanie dokumentów czy rozsyłanie poczty do klientów. Umiała o wiele więcej, ale w tej chwili nie chciała się do tego przyznawać. Uśmiechnęła się z wdzięcznością do nauczycielki. W tym

momencie do szatni weszła młoda kobieta.

– Dzień dobry – przywitała się.

– Dzień dobry, już idę po Wojtusia. – Przedszkolanka zniknęła za drzwiami, by po chwili wrócić z dzieckiem.

– Cześć, mamoo... – Do szatni wbiegł wesoły chłopiec i zatrzymał się przy matce.

– Dzień dobry, skarbie, mam nadzieję, że dzisiaj nie rozrabiałeś za bardzo.

– Tylko trochę. Ale Konrad zabrał mi ludzika z Lego, ja go pierwszy zobaczyłem...

– Oj, synku, czy wy zawsze musicie się o wszystko kłócić?

– Ja go pierwszy zobaczyłem... – powtórzył uparcie Wojtuś.

– Już dobrze, cicho, nie jesteśmy sami. – Kobieta spojrzała przeproszająco na Mariannę.

– To jest Ares. On jest w maluchach... – oświadczył Wojtuś takim tonem, jakby to była jakaś ujma być maluchem.

– Wojtek, proszę cię, to nieładnie, to twój młodszy kolega. – Matka chłopca czuła się zakłopotana.

– Proszę się nie przejmować, to tylko dzieci, są szczerze do bólu. – Marianna trochę z grzeczności, trochę z ciekawości chciała nawiązać kontakt z tą kobietą. Wojtka już poznała, a ona to zapewne siostra Wiktora, domyśliła się.

– No tak, ma pani rację. A o Aresie już coś słyszałam od brata.

– Jeśli Wiktor jest pani bratem, to owszem, poznaliśmy się.

– Tak, Wiktor to mój brat. Wyjechał służbowo na kilka dni, zazwyczaj to on odbiera Wojtka z przedszkola.

– Mamoo, a kiedy wujek wróci? – spytał chłopiec.

– W sobotę, mówiłam ci.

– Kiedy będzie sobota? – nie przestawał się dopytywać Wojtuś.

– Za dwa dni. Schowaj, proszę, swoje buty do szafki.

Wojtek niechętnie, ale wykonał polecenie matki.

– Brat jakoś lepiej sobie radzi z moim dzieckiem. Ja dałam sobie wejść na głowę – powiedziała kobieta dość cicho, tak żeby mały nie usłyszał.

Marianna się uśmiechnęła. Dobrze rozumiała tę kobietę, sama rozpieszczała Aresa, chociaż wiedziała, że nie powinna.

– Ja też mam z tym problem – przyznała. – Nie potrafię postawić twardych granic. Płacz Aresa za każdym razem zmiękcza moje serce.

Obie panie jednocześnie wybuchnęły śmiechem. Chłopcy patrzyli ze zdziwieniem na swoje matki. Ktoś wszedł do szatni, jakiś starszy mężczyzna. Zapewne dziadek któregoś dziecka. Przywitał się i nacisnął dzwonek przywołujący dzieci.

– Małgorzata jestem... albo po prostu Gośka, jak kto woli – przedstawiła się siostra Wiktora.

– Marianna – odpowiedziała, podając nowo poznanej kobiecie dłoń. A w myślach dodała: dla niektórych Zuzanna... Minęło kilka lat, a ona wciąż nie mogła zapomnieć, kim naprawdę jest. Zapewne nigdy nie zapomni. Nie chciała zapomnieć.

*

Był niedzielny wieczór. Ares już spał, a Marianna przeglądała swoją garderobę. Dawno nie była na babskich zakupach. Jeśli już coś kupowała, to raczej jakiś drobiazg do domu albo coś dla dziecka. Jej potrzeby nie były wielkie. Miała w swojej szafie niedużo rzeczy, ale wszystkie dobrej jakości, do tego zawsze przywiązywała wagę. Teraz jednak, gdy podjęła pracę, musi co nieco uzupełnić. Robiła w myślach listę potrzebnych rzeczy, gdy usłyszała cichy odgłos

przychodzącej wiadomości. Sięgnęła po telefon i odczytała wiadomość od siostry Ludwika.

„Chciałabym ci złożyć krótką wizytę, tylko nie wiem, czy nie za późna pora”.

„Nie śpię, zapraszam siostrę na wieczorną herbatkę” – odpisała czym prędzej Marianna.

Nie minęło dziesięć minut i w drzwiach stanęła Ludwika.

– Wybacz, skarbie, ale nie mogłam się wcześniej wyrwać. My w niedzielę mamy więcej obowiązków niż wszyscy. Dla duchownych to nie jest dzień odpoczynku, niestety.

– Nie jest jeszcze tak późno, Ares śpi, możemy spokojnie porozmawiać.

– To dobrze. Teraz masz więcej obowiązków i myślałam, że może będziesz chciała wcześniej się położyć.

– Nie chodzę spać z kurami. – Marianna się zaśmiała.

– No, ja zdecydowanie też nie, ale wstawać muszę z kurami. Klasztorny rygor obowiązuje nas wszystkie bez wyjątku. Ale nie o tym chciałam rozmawiać. Powiedz mi, dziecino, czy jesteś zadowolona z pracy? Jak cię w ogóle przyjęli?

– Jest wspaniale i bardzo siostrze dziękuję, nie wiem, jak się odwdzięczę za tyle dobra. Siostra jest moim aniołem.

– Nie przesadzaj. – Zakonnica skromnie spuściła oczy. – Ja jestem tylko narzędziem w rękach Boga.

– Czasami przed zaśnięciem zastanawiam się, co by się ze mną... – spojrzała na śpiącego synka – z nami stało, gdyby nie siostra. Nie poradziłabym sobie sama. Porwałam się z motyką na słońce.

– Przeszłość jest czasami jak cień w samo południe. Nie da się przed nią uciec. Ale ty sobie świetnie radzisz, wydaje się, że nie pozwalasz, by za bardzo wpływała na twoje teraźniejsze życie.

Marianna posmutniała, Ludwika dotknęła czulej struny. O przeszłości dziewczyna nie chciała rozmawiać, jeszcze nie, a zakonnica konsekwentnie, chociaż z wyczuciem co jakiś czas wracała do tego tematu. Młoda kobieta zdawała sobie sprawę, że w końcu nadejdzie dzień prawdy i będzie musiała odkryć karty. Nie może w nieskończoność tego przeciągać. Komu jak komu, ale Ludwice mogła zaufać, tylko że tu nie chodziło o zaufanie, lecz o ból, który pojawiał się za każdym razem, gdy wracała do przeszłości. Zakonnica od razu wyczuła nastrój Marianny; jej uwadze nie uszło też to, że dziewczyna spojrzała nie tylko na łóżeczko ze śpiącym Aresem, ale też na tajemniczą szkatułkę, przy której stał jak zwykle wazon z białymi różami. Cóż takiego ona tam trzyma? – myślała Ludwika. Z Internetu dowiedziała się już co nieco o swojej młodej przyjaciółce, wiedziała już na sto procent, kim ona jest, ale szkatułka wciąż pozostawała dla siostry zakonnej tajemnicą. Dzisiaj też pewnie jej nie pozna. No trudno, nie będzie nalegać, poczeka. A z Antonim jakoś sobie poradzi. Bo tak jak przewidywała matka przełożona, mężczyzna chciał poznać miejsce pochówku siostry i Ludwika miała mu je wskazać. Upiła łyk aromatycznej herbaty i jej wzrok padł na stosik równo poukładanych patchworkowych kap.

– Już pewnie nie będziesz miała czasu na te swoje cudeńka... Szkoda, są naprawdę piękne.

– Myślę, że wciąż będę je szyła, może nieco mniej, ale będę. Lubię to robić, odpoczywam przy tym – odpowiedziała cicho Marianna i znowu się zamyśliła.

– To dobrze, nie można rezygnować z wszystkiego, co daje nam radość albo budzi wspomnienia. – Zakonnica dotknęła starą dłonią delikatnego materiału i poczuła dziwny spokój. Chciałaby mieć taką kapę.

– Nie wiem, czy siostra by chciała, ale tak pomyślałam...

Ludwika spojrzała na nią z iskierką radości. Czyżby jednocześnie pomyślały o tym samym? Nigdy nie wierzyła w takie bzdury, w telepatię ani tym podobne rzeczy, ale teraz...

– Chciałabym podarować siostrze jedną, jeśli siostra przyjmie...

Uśmiech na twarzy kobiety mówił wszystko. Marianna była zła na siebie, że dopiero teraz na to wpadła. Zakonnica od początku zachwycała się jej narzutami, już dawno powinna była jej jakąś podarować.

– Naprawdę? Mogłabym taką dostać? Tę na przykład? – Znowu dotknęła kapy, która wydała jej się taka wyjątkowa. Była w odcieniach zieleni i starego złota i działała na nią jakoś kojąco.

– Oczywiście. Proszę wybierać. Ta się siostrze podoba? – Marianna sięgnęła po tę zieloną i podała zakownicy. Radość, jaką zobaczyła w jej oczach, była najlepszą zapłatą.

*

Ludwika wracała do klasztoru obdarowana i szczęśliwa. Czuła się tak, jakby dostała coś pięknego od swojej córki, której nigdy nie miała. Traktowała Mariannę jak córkę, lubiła ją bardziej niż kogokolwiek innego. Wyobrażała sobie, że tak właśnie matki miłują swoje dzieci. Wybierając życie zakonne, była świadoma, że nigdy nie będzie ich miała. Niekiedy tego właśnie żałowała, czasem pragnęła być matką, taką prawdziwą. Długie modlitwy nieco tę tęsknotę łagodziły, ale jednak wciąż powracała. Teraz, na starość, Bóg dał jej namiastkę tego ludzkiego szczęścia. Ma Mariannę i małego Aresa. Córkę i wnuka. Tak właśnie sobie marzyła, zmierzając do domu, domu innego, niż mają wszyscy.

*

Było tak, jak powiedziała Małgorzata – w poniedziałek rano w przedszkolu spotkali się z Wiktorem. Ares pierwszy go zobaczył. Gdy Marianna wieszała ubranko na zmianę w szafce, jej synek podbiegł do wchodzących do szatni mężczyzny i chłopca.

– Cześć, Ares! Przybij piątkę... – z uśmiechem przywitał chłopca Wiktor.

Maluch niezdarnie wyciągnął małą piątkę. Stojący obok Wojtek prychnął z pogardą.

– Nawet piątki nie umie przybić. Tak się to robi...

Zademonstrował najpierw z Wiktorem, a potem powtórzył z Aresem.

– No, już lepiej... – pochwalił malca, za co wujek obdarował go uśmiechem. A że mężczyzna był dla Wojtka autorytetem, chłopiec nie posiadał się z dumy.

– Dzień dobry, Marianno – przywitał się Wiktor.

– Dzień dobry – odpowiedziała z uśmiechem.

– Miło was znowu widzieć. Musiałem pilnie wyjechać na parę dni... taka praca.

– Wiem, poznałam twoją przemiłą siostrę.

– Gośka jest w porządku, fajnie, że się poznałyście. A jak twoja praca? Już chyba zaczęłaś, jeśli dobrze pamiętam.

– Tak, już tydzień pracuję i jestem zadowolona. I... właśnie nie mam za dużo czasu. – Spojrzała na zegarek.

– Chłopaki, pośpieszcie się! – Wiktor spojrzał na chłopców, a oni jak na komendę stanęli przed drzwiami.

– Do zobaczenia, kochanie. – Marianna pomachała synkowi.

– Pa, pa, mama.

Po chwili zjawiała się nauczycielka i zabrała obu chłopców. Marianna chwilę patrzyła na zamknięte już drzwi.

– Co jest? Wciąż ci smutno, gdy go zostawiasz? – Wiktor zauważył niepokój na jej twarzy.

– Trochę tak. Chyba jestem nadopiekuńcza. Wiem, że mu tu dobrze, chętnie idzie do

przedszkola, ale...

- Ale serce matki boli...
- Nic na to nie poradzę – odpowiedziała zrezygnowana.
- On tu jest bezpieczny, ale ty zaraz spóźnisz się do pracy.
- Ojejku, rzeczywiście, praca... Która to godzina? Chyba uciekł mi autobus.
- Spokojnie, jestem samochodem, podrzucę cię.
- Nie musisz, może zdążę. – Marianna była zakłopotana.
- Pewnie, że nie muszę, ale chcę. Zapraszam. – Otworzył przed nią drzwi wejściowe.

Całą drogę rozmawiali o pracy, o dzieciach, o zwierzętach. Byli jak para starych znajomych, a przecież tak krótko się znali.

- O której kończysz? – spytał, gdy byli już na miejscu.
- O piętnastej trzydzieści. Przed szesnastą jestem w przedszkolu. Poszli mi na rękę i mam tylko pierwsze zmiany ze względu na Aresa. Nie miałabym go z kim zostawiać popołudniami.
- Do zobaczenia więc...
- Do zobaczenia i dziękuję za podwózkę.
- Było mi miło, że mogłem ci pomóc. Zresztą to prawie po drodze. Mieszkam pięć minut stąd.

Nie wiedziała, czy mówił prawdę, ale i tak zrobiło jej się przyjemnie. Jej życie powoli stawało się normalne. Zaczynała przebywać wśród ludzi i coraz mniej się bała, że ktoś ją zdemaskuje. Jej przeszłość schowała się za grubą kotarą i na razie drzemała.

Dzień w pracy również należał do udanych – no prawie. Wiedziała już, kto jest jej życzliwy, kto zupełnie obojętny, a kto chyba nie do końca ją polubił, chociaż bardzo się starała nikogo do siebie nie zrazić. Liliana była chyba mniej więcej w jej wieku. Bardzo atrakcyjna, pewna siebie, była w banku wiceprezeską i wysoko zadzierała nosa. Miała niemiły zwyczaj przyglądania się Mariannie. Patrzyła na nią z pewnym politowaniem i wyższością. Marianna znosiła cierpliwie jej spojrzenia, przełykając ślinę. Miała nadzieję, że ich współpraca się ułoży i nie będzie żadnych spięć. Starła się jak najlepiej wypełniać wszystkie obowiązki, by zadowolić panią wiceprezes.

Wyszła z banku o piętnastej czterdzieści. Ktoś ją zagadał i na chwilę zatrzymał. Miała mało czasu, prawie biegła, by zdążyć na autobus, lecz niestety odjechał. Patrzyła bezradnie, jak znika za zakrętem, następny miał być dopiero za dwadzieścia minut. Zastanawiała się, czy pieszo nie będzie szybciej, w końcu przedszkole nie było aż tak daleko.

- Chyba jedziemy w tym samym kierunku. Zapraszam – usłyszała znajomy głos.
- Uśmiechnęła się na widok Wiktora.
- Uciekł mi autobus... – powiedziała smutnym głosem. – Znowu.
- I bardzo dobrze – odpowiedział, zatrzymując się tuż przed nią.
- No dobrze, dzisiaj skorzystam, ale na przyszłość nie chcę robić ci kłopotu.
- Kłopotu? Chyba żartujesz.

*



Ludwika wstała z klęczek. Prawie półtoragodzinną modlitwa wcale nie zmniejszyła jej złości, za to sprawiła, że stare ciało bolało ją od stóp do głów. Co się ze mną dzieje? – myślała. Przerażało ją to, że jej umysł coraz częściej się buntował, a modlitwy, nawet najgorliwsze, nie przynosiły ukojenia. Dawniej nie miała z tym problemu, przyjmowała wszystkie decyzje

przełożonej z pokorą, nawet gdy wydawały jej się niesprawiedliwe, a w modlitwie znajdowała pocieszenie i spokój. Od jakiegoś czasu to się zmieniło, zaczęła mieć swoje zdanie, którego nie potrafiła jeszcze głośno wyrazić, ale czuła, że i to wkrótce nastąpi. Czy stanę się jak zbuntowany anioł? – myślała. Czy przeciwstawię się matce przełożonej? Wczoraj tak niewiele brakowało. Sama nie wie, co ją powstrzymało. Tak bardzo cieszyła się z prezentu od Marianny, już nawet czuła, jak miło będzie jej zasypiać pod tą piękną narzutą, ale nie dane jej było cieszyć się zbyt długo z podarku od swojej przybranej córki. Matka przełożona pozbawiła ją tej małej przyjemności. Wczorajsza rozmowa utkwiła jej w pamięci.

– Siostró Ludwiko, muszę siostrę upomnieć. Zbyt mocno przywiązała się siostra do tej dziewczyny. Naszym obowiązkiem jest służyć wszystkim jednakowo, nie wyróżniać nikogo. A siostra...

– Nie zaniedbuję swoich obowiązków. Robię nawet więcej, niż do mnie należy – próbowała się bronić, bo czuła, do czego zmierza ta rozmowa.

– Nie ma granic dla dobra. Musimy dać z siebie wszystko, by zadowolić Pana.

– Co robię złego, pomagając tej dziewczynie?

– Wszystkich traktujemy jednakowo, nie ma wyjątków.

– Ale... Jezus też miał swojego ulubionego apostoła – wciąż broniła się Ludwika.

– Tego tak do końca nie wiemy. Ślubowałaś posłuszeństwo, chyba nie muszę ci tego przypominać, siostró. – Matka przełożona była nieugięta.

– Tak – odpowiedziała Ludwika, spuszczając głowę.

– Zostaw to tu, cokolwiek to jest. – Surowy głos przełożonej przeszył jej serce jak sopel lodu. Posłuszenie położyła na biurku patchworkową narzutę, którą dostała od Marianny.

– Przypominam, że jutro będzie tu brat tej zmarłej przed kilkoma laty dziewczyny. Chce poznać miejsce pochówku swojej siostry.

– Tak, pamiętam – odpowiedziała Ludwika pokorna i nieszczęśliwa. Na zewnątrz, bo w środku wszystko się w niej buntowało.

– Możesz odejść, i myślę, że długa rozmowa z Bogiem rozjaśni i oczyści twój umysł.

Rozcierała bolące kolana, nie czując się ani odrobinę lepiej. Miała wrażenie, że jej wiara przechodzi kryzys. Bóg nie może być taki bezduszny – myślała. Przecież jest miłosierny i kocha wszystkich ludzi jak najlepszy ojciec. Była pewna, że nie widziałby nic złego w jej przyjaźni z Marianną i zapewne nie zabroniłby jej zatrzymania podarunku od dziewczyny. To przecież On sam któregoś dnia postawił tę młodą kobietę na jej drodze. Czuła się za nią odpowiedzialna. I nieważne, co mówi matka przełożona, jest tylko człowiekiem, może się mylić. Ludwika nie czuła wcale potrzeby wyznania grzechu nieposłuszeństwa w sakramencie spowiedzi. Była pewna, że niczym nie obraziła Boga. Wręcz przeciwnie, czyni dobro, nawet jeśli matka przełożona sądzi inaczej.

*

Antoni zjawił się punktualnie o godzinie dziewiątej. Był niespokojny. Nerwowo zaciskał dłonie i zagryzał wargi. Spacerował po krótkim korytarzu, gdzie został wpuszczony przez jedną z zakonnicek.

Ludwika była na schodach, gdy naprzeciw niej wyszła siostra Justyna.

– Siostró Ludwiko, ten pan już czeka – powiedziała cicho.

– Tak, już do niego schodzę – odpowiedziała, patrząc na młodą zakonnicek. I nie była pewna, czy jej się zdawało, czy siostra, mówiąc to, pokryła się rumieńcem. Antoni był przystojnym młodzieńcem i zapewne podobał się płci przeciwnej, a Justyna była przecież młodą kobietą, tyle że w habitcie, co nie czyniło jej odporną na zwykłe ludzkie odczucia. Ludwika przez

chwilę myślała, czy Bóg naprawdę wymaga takiego poświęcenia od zakonników? Ostatnio z jej umysłem działy się dziwne rzeczy. Otwierały jej się oczy i widziała to, czego nie potrafiła zobaczyć przez wszystkie lata spędzone w klasztorze. Do tej pory przyjmowała każdą decyzję przełożonej jako słuszną, nawet jeśli jej nie rozumiała, ale odkąd poznała Mariannę, coś w jej rozumowaniu zaczęło się zmieniać.

– Dzień dobry... – powiedział Antoni, gdy tylko ją spostrzegł.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – odpowiedziała, uśmiechając się do niego. Współczuła mu i chciała pomóc. Wciąż miała dobre serce mimo wewnętrznego buntu, jaki przechodziła.

– Zaparkowałem tu niedaleko... – oświadczył podekscytowany.

– Jeśli obiecasz opanować nerwy, to z tobą pojedę. Chciałabym dotrzeć tam w całości. Możemy też pojechać autobusem.

– Nie, nie. Potrafię się opanować za kierownicą. Proszę mi zaufać.

– Chodźmy więc. Boże, miej nas w opiece – szepnęła, wychodząc z klasztorowego budynku.

*

Szli cmentarną aleją w milczeniu. Ludwika tuż przed Antonim. Mężczyzna, choć nieco objuczony, dotrzymywał jej kroku. Zakonnica z bijącym sercem zbliżała się do mogiły jego siostry. Już ją widziała, niebieskie motylki powiewały na wietrze. To zapewne nowa kompozycja Marianny – pomyślała. Dziewczyna bardzo dbała o ten grób. Twierdziła, że jest to winna prawdziwej Mariannie. Byli tuż-tuż, gdy nagle zmieniła zdanie. Tylko nieznacznie zwolniła, ledwo rzucając okiem na oryginalną ozdobę, Antoni też spojrział w tę stronę, coś kazało mu przystanąć. Chwilę wpatrywał się w kolorowy bukiet, nie wiedział dlaczego, ale i jemu serce zaczęło bić mocniej.

– To już niedaleko, następna alejka. – Drżący głos Ludwiki nawet jej samej wydał się nienaturalny. Poprowadziła Antoniego na grób innej nieznannej kobiety i wcale nie czuła się z tego powodu winna.

– To tu – powiedziała cicho.

Przypomniała ją sobie. Ta kobieta umarła w tym samym dniu co Marianna, tylko o świcie. I chociaż była u nich kilka miesięcy, nie udało się ustalić jej tożsamości. Sama o sobie mówiła „Celina” albo „Niunia”. Była starsza od Marianny i zmarła na marskość wątroby. Była jedną z najmniej uciążliwych mieszkanek przytułku. Cierpiała niemal w milczeniu, niewiele mówiła, niewiele wymagała, ale nigdy nie podała swojego prawdziwego nazwiska, nie miała przy sobie żadnych dokumentów. W końcu co za różnica, na czyj grób Antoni położy przytасzczone kwiaty i znicze – pomyślała. To i tak nic nie zmieni, żadnej z nich to życia nie wróci i nawet sam Bóg nie patrzy, jak przystrojony jest grób. To nie o to chodzi, chociaż przykro jest patrzeć na zaniedbane mogiły.

– Dziękuję – powiedział mężczyzna i stanął nieruchomo, wpatrując się w mogiłę. Milczał kilka minut, może wspominał siostrę, może się cicho modlił.

Ludwika cierpliwie czekała.

– To pani opiekuje się tym grobem? – spytał cicho.

– Tak. Mamy tu kilka grobów naszych zmarłych podopiecznych, dokładnie dziewięć. Staram się, żeby nie wyglądały na opuszczone.

– Są skromne, ale zadbane. Widowałem czasem groby bezimiennych, wyglądały okropnie. Już lepiej, żeby ich wcale nie było.

Zakonnica skinęła głową, nie mogła wypowiedzieć słowa. Czuła się niezręcznie,

oszukując Antoniego, ale wciąż nie uważała się za winną. Coś jej szeptało, że dobrze zrobiła. Tylko nie wiedziała, od kogo te myśli pochodziły – od Boga czy... Przeraziła ją ta myśl i szybko ją odsunęła, wierząc, że zło nie ma dostępu do jej umysłu.

Wracając, ponownie mijali grób prawdziwej Marianny i ponownie zwolnili kroku, po czym spojrzeli w jego stronę. Żadne z nich nic nie powiedziało. Do samochodu dotarli, milcząc.

*

Był koniec tygodnia. Dokładnie sobotni poranek. Marianna pozwoliła sobie nieco dłużej pozostać w łóżku. Przeciągając się leniwie, patrzyła na łóżeczko, w którym słodko spał Ares. Dziecko najwidoczniej też czuło, że to dzień odpoczynku, i zupełnie nieświadomie korzystało z okazji. Wstała po cichu, by go nie obudzić. Zdażyła wziąć szybki prysznic i zaparzyć sobie kawę, gdy usłyszała:

– Mama... mama...

– Jestem, kochanie. – Marianna przybiegła z kuchni. – Wypałeś się? – Pochyliła się nad dzieckiem i pocałowała je w czołko.

Gdy jadła z synkiem śniadanie, zadzwonił telefon. To był Wiktor. Zapraszał ich na wycieczkę. Nie od razu się zgodziła. Polubiła go, ale czuła się trochę osaczona. Nieco odwykła od czasów, gdy była adorowana przez mężczyzn, zwłaszcza jednego. Kilka lat spędzonych niemal w zupełnej samotności teraz zbierało żniwo. Ale Wiktor był uparty i tak długo ją przekonywał, aż w końcu się zgodziła. Miała tylko godzinę, żeby się przygotować.

– Włóżcie coś wygodnego, a o resztę się nie martw.

– A dokąd nas zabierasz?

Nie dostała odpowiedzi, rozłączył się. Kilkanaście minut przerzucała ubrania, szukając czegoś wygodnego. Wszystko wydawało jej się jakieś nijakie. Wmawiała sobie, że jej nie zależy, by dobrze wyglądać, a jednak kilka razy zmieniała T-shirty, w żadnym nie czując się wystarczająco dobrze. Ostatecznie włożyła szare spodnie rybaczkki i granatową bawełnianą koszulkę w delikatne kolorowe motyle. Lubiła motyle i ich motyw często pojawiał się nie tylko w jej garderobie, ale także w wystroju mieszkania.

Wiktor był punktualny. Przyjechał dokładnie po godzinie. Wiedział, gdzie mieszkała, bo zdarzyło mu się, mimo protestów Marianny, kilka razy odwiedzić ją i Aresa z przedszkola.

– Pięknie wyglądasz – stwierdził ze szczerym uznaniem, stojąc przy samochodzie. Ale Marianna zdażyła już zauważyć, że mu się podoba, i podejrzewała, że nawet gdyby włożyła na siebie worek po ziemniakach, to w jego oczach i tak wyglądałaby pięknie.

– Cześć... – dało się słyszeć z wnętrza samochodu. Na tylnej kanapie siedział w dziecięcym foteliku Wojtek.

– Nie odpuścił, jak usłyszał, że planuję wycieczkę.

– Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej. Bardzo cię lubi, nie da się ukryć. – Marianna z uśmiechem pomachała dziecku.

– Bardziej niż swojego ojca. Adrian jest czasem zazdrosny. Ale akurat dzisiaj nie. Obchodzą właśnie piątą rocznicę ślubu i chcieli ją spędzić tylko we dwoje.

– Jak romantycznie – powiedziała z pewnym smutkiem. W takich chwilach wracało wspomnienie Apolla, co wywoływało u niej żal. Nie rozumiała, dlaczego to właśnie ją życie pozbawiło tego szczęścia, jakim jest odwzajemniona miłość.

– Należy im się. Harują całymi dniami, mają tak mało czasu dla siebie. – Wiktor był taki szczerzy i naturalny w tym, co mówił.

– No kiedy pojedziemy... wujek? – niecierpliwił się Wojtuś.

– Zaraz ruszamy. Tylko jeszcze jeden drobiazg. – Wiktor otworzył bagażnik, wyjął

z niego fotelik i zamontował go sprawnie obok fotelika Wojtka.

– O wszystkim pomyślałeś! – Marianna była pod wrażeniem.

Mężczyzna tylko się uśmiechnął. Podniósł Aresa i posadził w foteliku.

– To w drogę, chłopaki. Przygoda czeka.

– Co to jest przygoda? Powiedz, wujek...

– Wkrótce się przekonacie.

Park z dinozaurami, do którego Wiktor ich zabrał, zrobił ogromne wrażenie nie tylko na dzieciach, ale także na Mariannie.

– Wyglądają jak żywe, momentami się ich boję. – Kobieta przyglądała się z zachwytem kopalnym gadom. Były ogromnych rozmiarów, większość się poruszała i wydawała groźne dźwięki.

– Prawda, że piękne? Jestem ciekawy, czy rzeczywiście tak dokładnie wyglądały. Budowę pewnie było łatwo określić na podstawie wykopalisk, ale kolor czy wydawane dźwięki? To już pewnie fantazja naukowców.

– Jeśli nawet jest tak, jak mówisz, to i tak robią ogromne wrażenie.

– Wujek, jak się nazywa ten tam, taki ogromny i rusza głową? Mogę go dotknąć?

– Możesz, tylko uważaj, żeby cię nie połknął.

– Mówiłeś, że nie są prawdziwe. Ja się nie boję. A ty, Ares? Boisz się?

– Nie boję... – odpowiedział maluch trochę niepewnie. Na wszelki wypadek złapał mamę za rękę, bo bardzo chciał być odważny jak Wojtek, ale jego małe serduszko momentami truchlało, zwłaszcza gdy te niesamowite stworzenia wydawały groźne dźwięki.

Podeszli do największego dinozaura w parku.

– To jest gigantozaur – przeczytał głośno Wiktor. – Dinozaur z podrzędu teropodów żyjący na terenach współczesnej Argentyny we wczesnym cenomanie... ble, ble, ble... – zakończył, bo spostrzegł, że nikt go nie słucha. Marianna i chłopcy głaskali olbrzymie nogi potwora, był tak ogromny, że sięgali tylko jego łap, i to ich dolnych części.

– Dobrze, że współczesne zwierzęta nie są takie wielkie. Pożerałyby pewnie ludzi. – Marianna była jednocześnie zachwycona i przerażona.

– Te największe były roślinożerne. Nie miałyby szans przy współczesnej ingerencji człowieka w naturę. Ledwo słonie mają się czym żywić, a i dla nich zapewne niebawem braknie roślinności. Ludzie są największymi wrogami świata. Niszczą go w zaskakującym tempie – zauważył ze smutkiem Wiktor. Nie krył, że martwią go losy Ziemi.

– Myślisz, że ludzkość się nie opamięta?

– Zapewne tak, ale obawiam się, że będzie już za późno, żeby ocalić niektóre gatunki zwierząt i roślin. Świat pędzi do przodu, ale tak naprawdę jest coraz uboższy.

Zrobiło się trochę smutno. Na szczęście dzieci tego nie zauważyły, oglądając rekonstrukcję ogromnych odchodów dinozaura.

– Mam tylko nadzieję, że oni nie doczekają światowej katastrofy. Ale ich dzieci i wnuki... – Wiktor pokręcił głową, patrząc na chłopców.

– Dlaczego ludzie sami sobie to robią? – Mariannie udzielił się ponury nastrój. Mężczyzna to zauważył i od razu zareagował.

– Nie smuć się – powiedział. – Katastrofa nie nastąpi z pewnością ani dzisiaj, ani jutro. A może nigdy... kto to wie.

– Masz rację. Nie warto psuć tak pięknego dnia.

Wiktor obdarzył ją szczerym uśmiechem, a zaraz potem zwrócił się do dzieci:

– Cóż tam macie, młodzi odkrywcy?

– Jakaś dziwna góra. – Wojtek przyglądał się ciekawie eksponatowi. Musiał zadzierać

głową, żeby zobaczyć wierzchołek tego wzniesienia.

– Nigdy nie zgadniecie, co to jest... – Wiktor był rozbawiony, co rozładowało nieco atmosferę.

– Serio!? To były aż takie wielkie? – Marianna też się roześmiała, czytając wyjaśnienie na tabliczce.

– Co to jest? Wujek, powiedz... – Wojtek niecierpliwie stukał w eksponat.

– Lepiej nie dotykaj, bo będziesz musiał umyć ręce.

Chłopiec ze zdziwieniem spojrział na wujka.

– To jest kupa dinozaura – powiedział ze śmiechem Wiktor.

– Kupa??? – Wojtuś z obrzydzeniem wycierał rękę o spodnie. – Prawdziwa?

– Nie... To sztuczna kupa, tak samo jak dinozaury. Ale takie właśnie były odchody tych olbrzymów. Kiedyś, bardzo dawno temu. Gdy żyły na świecie dinozaury. Jadły bardzo dużo i robiły ogromne kupy.

– To dobrze, że już ich nie ma. Robiły brzydkie i wielkie kupy – skwitował maluch.

Wiktor i Marianna spojrzeli na siebie porozumiewawczo, usiłując zachować powagę.

– Dostyc tego zwiedzania. Proponuję, byśmy zjedli obiad. Nie wiem, jak wy, ale ja jestem głodny. Pożegnajcie się z kupą, chłopcy. – Wiktor, maskując rozbawienie, prowadził z dziećmi całkiem poważną rozmowę. Widząc skupione miny chłopców, Marianna udawała zainteresowanie mapką wskazującą tereny występowania dinozaurów, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Pa, kupo... – Wojtek pomachał w stronę eksponatu.

– Pa, kupo... – Ares powtórzył jego gest.

W drodze do restauracji Wiktor, nieco speszony swoim zachowaniem, tłumaczył się Mariannie.

– Wybacz ten cyrk, ale czasem nie mogę się powstrzymać. Prostota w myśleniu dzieci bardzo mnie bawi. Lubię czasem zejść do ich poziomu i poczuć się jak dziecko.

– Ależ twój wykład był bardzo ciekawy. – Marianna nie kryła rozbawienia. – Zwłaszcza jako preludium do obiadu.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

– Zapewne pojutrze całe przedszkole się dowie, jak ogromne kupy robiły dinozaury.

Wojtek jest strasznym gadułą.

– Bez wątpienia będzie to temat numer jeden – przytaknęła Marianna.

*

Do domu wracali, gdy już się ściemniało. Obaj chłopcy zasnęli, zmęczeni wycieczką. Wiktor podjechał najpierw pod dom siostry.

– Zaniose śpiocha i zaraz wracam – powiedział, parkując pod dużym drzewem.

– Nigdzie się stąd nie ruszę, obiecuję... – Marianna spojrzała na mężczyznę, mrużąc oczy.

Ich spojrzenia przez chwilę się spotkały, każdemu z nich zapadając w pamięć.

*

Winda w budynku, gdzie mieszkała Marianna, była nieczynna. Czekala ich wspinaczka na czwarte piętro. Dziewczyna spojrzała przepaszajaco na Wiktora, który trzymał w ramionach śpiącego Aresa.

– Jeszcze rano działała...

– Damy radę... – odpowiedział z uśmiechem Wiktor i ruszył po schodach. Rzeczywiście

był w dobrej kondycji, gdy dotarli do celu, nie było po nim widać zmęczenia. Wciąż uśmiechnięty czekał z dzieckiem na rękach, gdy Marianna nerwowo szukała klucza w plecaku.

– Jest... – odetchnęła z ulgą i otworzyła drzwi. – Połóż go tutaj, proszę.

Podeszła do łóżeczka i odchyliła kołderkę.

– Będzie spał jak kamień. Pewnie jutro nie obudzi się do południa. – Wiktor ułożył małego w łóżeczku tak sprawnie, jakby robił to codziennie.

– To był piękny dzień. Wyczerpujący, ale piękny. Dziękuję... – Marianna była mu naprawdę wdzięczna, dawno nie spędziła tak intensywnego, a zarazem miłego dnia.

– Ja też dziękuję. Trochę się bałem, że mój pomysł z wycieczką ci się nie spodoba. Ale było fantastycznie. – Znowu posłał jej czarujący uśmiech. – Mógłbym prosić trochę wody? Zaszło mi w gardle...

– Oczywiście. Ależ jestem niegościnna. Sama powinnam była ci zaproponować coś do picia. Może herbaty?

– Woda wystarczy. Ładnie mieszkasz – dodał cicho, rozglądając się po pokoju.

Marianna już tego nie słyszała, zniknęła w kuchni, by po chwili wrócić ze szklanką zimnej wody.

– Ależ byłem spragniony. – Wypił płyn do dna.

– Może jeszcze?

– Dziękuję. Pójdę już, ty na pewno też jesteś zmęczona. Raz jeszcze dziękuję za wspinały dzień i do zobaczenia.

Nie zaprzeczyła, była zmęczona, nawet bardzo. Ale towarzystwo Wiktora było tak miłe, że w ogóle nie myślała o zmęczeniu. Dopiero gdy zamknęła za nim drzwi, poczuła się taka wyczerpana, że ledwo dowlekła się do łóżka. Zасыpiając, pomyślała jeszcze, że na szczęście jutro jest niedziela i nie będzie musiała zrywać się skoro świt.

*

Ludwika unikała spotkania z przełożoną. Wiedziała, że jako zakonnicy nie wypada jej, a nawet nie wolno czuć urazy do kogokolwiek, a tym bardziej do przełożonej. Nie umiała się jednak pozbyć tego uczucia żalu, jakie ją ogarnęło. Spędzała wiele godzin w przytułku, pomagając chorym, samotnym i smutnym ludziom. Miała nadzieję, że w ten sposób zagłuszy złe myśli, których nie mogła się pozbyć. Nawet jadła razem z nimi, rezygnując z posiłków w klasztornej jadalni, a wszystko po to, by nie spotkać Anny, matki przełożonej.

– Siostrzyczko Ludwiko, proszę iść dzisiaj na obiad do jadalni. Ja tu zostanę i wszystkiego dopilnuję. – Siostra Justyna, przekonana, że starsza zakonnica rezygnuje ze wspólnych posiłków po to, żeby pomóc niesamodzielnym chorym, chciała ją zastąpić.

– Zostanę, nic tam po mnie, a tu się przydam. Zresztą nie mam ostatnio apetytu. Ale ty biegnij, powinnaś dobrze jeść, jesteś młoda, musisz być silna.

Justyna skromnie spuściła głowę, ale po chwili spojrzała w oczy starej zakonnicy.

– Ja też nie mam ostatnio apetytu. Zostanę, jeśli mogę... – powiedziała bardzo cicho i smutno.

Ludwika popatrzyła na nią z niepokojem. Uświadomiła sobie, że Justyna jest ostatnio jakaś nieswoja. Zawsze wygadana, teraz niepytana prawie się nie odzywała. Często bywała zamyślona... Może w takich chwilach pogrążała się w modlitwie, ale czy na pewno?

– Czy ty się aby dobrze czujesz?

– Ja... Tak. Właściwie nic mi nie dolega.

Jej odpowiedź nie zadowoliła Ludwiki, ale nie było czasu na dalszą rozmowę.

– Siostrzyczko! Ja umieram... – Starsza kobieta chora na raka żałośnie przywoływała kogoś,

kto by jej towarzyszył w ostatnich minutach życia. Ludwika skierowała się w jej stronę.

– Zostań, jeśli chcesz, tu ciągle jest coś do roboty – powiedziała do Justyny i zniknęła za drzwiami izolatki.

*

Po wieczornych modlitwach Ludwika poprosiła ojca Fryderyka o rozmowę.

– Chcesz się wyspowiadać, córko? – spytał duchowny.

– Nie. Chcę porozmawiać na osobności, ale nie w konfesjonale. Poświęci mi ojciec kilkanaście minut?

Ojciec Fryderyk westchnął. Tak naprawdę czekał na to. Był pewien, że kiedyś to nastąpi. Już od jakiegoś czasu widział, że Ludwika jest jakaś inna. Nieco obawiał się tej rozmowy, ale wiedział, że jest nieunikniona.

– Wróć tu za piętnaście minut. Będę czekał.

– Dziękuję.

W milczeniu udała się do swojej celi jak reszta zakonnice. Te piętnaście minut wlokło się niemiłosiernie długo. W końcu się doczekała. Cichutko jak myszka wymknęła się ze swojej małej izdebki i z biciem serca, jakby robiła coś bardzo złego, zbiegła po schodach prosto do pustej, spowitej słabym światłem kaplicy. Ojciec Fryderyk już tam był. Siedział w ostatniej ławce i wyglądał całkiem zwyczajnie. Jak mężczyzna w średnim wieku ubrany w dżinsy i szary sweter.

– Jestem, ojcze... – szepnęła.

– Jak długo się znamy, Ludwiko? – spytał duchowny.

– Nie wiem... długo.

– Bardzo długo. Wydaje mi się, że znam cię od zawsze.

– Też tak to czuję, ojcze.

– Zostawmy konwenanse. Mów mi po imieniu.

– Nie wiem, czy potrafię...

– Potrafisz, potrafisz... Celowo zdjąłem sutannę, żeby ci było łatwiej.

– Skoro tak... to bardzo się cieszę, że zgodziłeś się ze mną spotkać, chociaż to wbrew obowiązującym zasadom.

– O ile mi wiadomo, niespecjalnie przejmujesz się zasadami. Zwłaszcza ostatnimi czasami. – Uśmiechnął się przyjaźnie, co dodało Ludwice otuchy i pewności siebie.

– No tak, wiesz o mnie prawie wszystko.

– Zapomnij, proszę, że jestem księdzem. Zawsze chciałem się poczuć jak zwykły świecki człowiek. Zazdrościłem nawet naszemu konserwatorowi, że taki zwyczajny, że żartuje, czasem przeklnie. Przede mną wszyscy czują respekt, zachowują się nienaturalnie, mam czasem tego dość.

– Ty też? – Patrzyła z niedowierzaniem na ojca Fryderyka.

– Zdziwiona?

– Trochę.

– Jestem tylko małym człowieczkiem, od którego wymaga się zbyt wiele. Tyle lat wypełniałem wszystkie swoje obowiązki najlepiej, jak potrafiłem. Ale jestem już zmęczony.

– Też masz chwile zwątpienia?

– Każdy ma.

– Tak myślisz?

– Ja to wiem.

No tak – pomyślała – Fryderyk całe lata spowiada, nasłuchiwał się historii, o jakich świat nie słyszał. Jeśli mówi, że tak jest, to z pewnością tak jest.

– Ja jestem przerażona tym, co czuję. Zawsze ślepo wierzyłam, ufałam. Ale ostatnio już nie jestem taka pewna, czy Bóg jest taki, jak go nam przedstawiają. Przecież to niemożliwe, żeby... Wybacz, Boże... – Zamknęła oczy i zamilkła.

Fryderyk położył swoją starą dłoń na pomarszczonej dłoni Ludwiki. Poczowała dziwną przyjemność. Nic zdrożnego, po prostu przyjemność dotyku kogoś przyjaznego.

– Śmiało – zachęcał. – To Bóg nas stworzył i On sam zna najlepiej nasze słabości, nasze zwątpienia.

– Matka przełożona nakazała mi ograniczyć kontakt z Marianną, odebrała mi podarunek od niej. Czuję złość do matki Anny. Ja... ja jej nie lubię – wyrzuciła z siebie i poczuła się jakoś tak lekko.

– Matka przełożona ma twardą rękę, to prawda. Sam nieraz zwracałem jej na to uwagę. Jest ostra szczególnie dla nowicjuszek. Niejedna przez nią płakała.

– To jest nieludzkie. Nie wierzę, że Bóg właśnie tego od niej wymaga.

– Surowe zasady zakonu pozwolą przetrwać najsilniejszym. Nie każda kobieta i nie każdy mężczyzna potrafi im sprostać. Tylko prawdziwa wiara pozwala to znosić i czerpać siłę z modlitwy i ciężkiej pracy. Tak było od wieków... – Ojciec Fryderyk mówił cicho i spokojnie.

– Czasy się zmieniają, ludzie się zmieniają.

– Bóg wciąż jest ten sam. Zawsze tak samo dobry, tak samo miłosierny.

– Właśnie, dobry i miłosierny, a nie chłodny i bezduszny...

– Ludwiko, przemawia przez ciebie osobisty żal. Pozbawiono cię tej odrobiny radości, jakiej doznawałaś, przyjaźniąc się z Marianną. Potrafię to zrozumieć. I masz rację, my też mamy uczucia, które czasami domagają się uwagi.

– Więc to nie grzech? To, że czasem zapragnę czegoś dla siebie...? I wiesz co? Uważam, że wcale nie jestem przez to gorszą zakonnica, a nawet wręcz przeciwnie, czuję, że jak sama jestem szczęśliwa, to mogę zrobić więcej dobrego dla innych.

– Nie przeczę, jest tak, jak mówisz. – Duchowny wydawał się zatroskany i trochę zapędzony w kozi róg. Nie przywykł, by ktoś miał inne zdanie od niego i na dodatek otwarcie o tym mówił. Przebywał na ogół z zakonnicami. Cichymi, skromnymi, pracującymi w pocie czoła. Dla których nawet myśl o dłuższym wylegiwaniu się w łóżku była grzechem, z którego się spowiadały. Żal mu było tych kobiet. Ale na współczuciu się kończyło. Nie robił nic, żeby im ulżyć. No może poza zdawkowym zwróceniem uwagi siostrze Annie, że jest zbyt surowa dla młodych zakonnicek. Czy Bóg właśnie tego od niego oczekuje? Ludwika ma dużo racji i ma odwagę o tym mówić, lecz on nie może przecież spiskować z nią przeciwko matce przełożonej.

– Ślubowaliśmy posłuszeństwo naszym przełożonym – powiedział zrezygnowany.

– Też mam tego świadomość – westchnęła smutno Ludwika.

Fryderyk znów położył dłoń na jej dłoni i popatrzył na jej niemłodą twarz. W słabym świetle kaplicy wydawała się taka blada, wątła i słaba. A tak naprawdę była silną kobietą, znał ją od lat i zawsze doceniał to, co robiła dla innych. Chociaż czasem łamała przyjęte w zakonie reguły.

– Myślę, że dobry Bóg nie pogniewa się na ciebie za drobne nieposłuszeństwa względem matki przełożonej. Zwłaszcza że robisz to w dobrej wierze. Sam Jezus miał słabości. Miał swoich ulubionych uczniów, znajomych. To takie ludzkie. A On przecież stał się człowiekiem...

Wracała do swojej celi uspokojona i z dziwną radością w sercu. Czy to jest to działanie adrenaliny, o którym nieraz słyszałam? – myślała, wspinając się po schodach na swoje piętro. To krótkie sekretne spotkanie z ojcem Fryderykiem było dla niej niezwykłym przeżyciem. Wciąż czuła ciepły dotyk jego dłoni i ten wzrok, gdy na nią patrzył. Było jej przyjemnie. Na stare lata Bóg pozwala jej odczuwać coś, o czym tylko słyszała albo czytała. Była mu za to wdzięczna.

*

Ares rozplakał się w środku nocy. Marianna z niepokojem dotknęła jego rozpalonego czoła. Była przerażona, nie wiedziała, co ma począć. Jeszcze wieczorem był taki wesoły i zupełnie zdrowy. Odruchowo otworzyła szafkę z lekami. Niewiele tam było: jakiś plaster, woda utleniona, polopiryryna, tampony i tyle. Pomyślała, że jest złą matką, powinna mieć coś na wszelki wypadek. Ale co by to miało być? Nie wiedziała, co się podaje małym dzieciom. Ares nigdy dotąd nie chorował. Drżącą ręką wybrała numer alarmowy. Ktoś bardzo miły z drugiej strony spokojnie o wszystko wypytał, przede wszystkim zalecił jej, żeby opanowała nerwy. Zrobiła tak, jak ją pouczone. Położyła zimne okłady na czoło i przeguby dziecka i gdy mały nieco się uspokoił, podała mu wodę do picia. Pił chętnie, już nie płakał. Miał szklisty wzrok i czerwone policzki. Zmieniła okład, ujęła jego małą rączkę i obsypała ją pocałunkami. Nic więcej nie mogła zrobić. Usłyszała dźwięk domofonu. To zapewne lekarz.

Pani doktor z pogotowia nie była już taka miła jak dyspozytor z numeru alarmowego.

– Jak to nie ma pani termometru?

– Nigdy nie był potrzebny – tłumaczyła się Marianna.

– Przy małym dziecku termometr to podstawa. Co za nieodpowiedzialni rodzice teraz są – mamrotała pod nosem lekarka. – Otwórz buzię, muszę zajrzeć do gardła – poleciała przerażonemu chłopcu, który znowu się rozplakał. – Proszę go uspokoić, jak mam go zbadać? – powiedziała podniesionym głosem.

Marianna tylko chwilę stała jak sparaliżowana. Nagle coś w nią wstąpiło. Miała ochotę rzucić się na tę kobietę z pięściami.

– Proszę nie krzyżeć. To jest małe dziecko. Pierwszy raz choruje, nie wie, co się dzieje. A pani powinna mu pomóc, a nie jeszcze bardziej je denerwować! – Marianna starała się mówić spokojnie, ale dobitnie. Nie chciała przestraszyć i tak już przerażonego synka.

Chyba podziałało, bo lekarka spokorniała.

– Proszę się uspokoić i proszę mnie zrozumieć. Jestem po długim dyżurze, czasami trudno mi się opanować. Przepraszam.

– W porządku, tylko proszę mi pomóc. Pierwszy raz zachorował, jestem bezradna. – Marianna, teraz już całkiem spokojna, patrzyła z nadzieją na panią doktor.

– Mały chodzi do przedszkola?

– Tak. Od niedawna.

– Wygląda mi to na szkarlatynę. Ta wysypka i gorączka... – Lekarka przyglądała się drobnej wysypce na rękach dziecka.

– Szkarlatyna? Ale jak, skąd?

– W ostatnich dniach miałam kilka przypadków szkarlatyny. W przedszkolach roznosi się błyskawicznie.

– Nie słyszałam, żeby w przedszkolu Aresa ktoś chorował.

– Może to dopiero początek. Mogę się mylić, ale wszystko wskazuje na to, że to szkarlatyna. Za kilka dni skóra będzie się łuszczyć.

– I co teraz?

– Przepiszę antybiotyk i coś na obniżenie temperatury. Trochę pobędziecie w domu i będzie dobrze. Proszę się nie martwić.

*

Pogotowie odjechało, a Marianna została sama z plikiem recept i chorym dzieckiem. Zapewniała lekarkę, że ma kogo wysłać do apteki, bo obawiała się, że zabiorą jej dziecko do

szpitala. Tak naprawdę chciało jej się płakać, nie miała właściwie nikogo, kogo mogłaby w środku nocy poprosić o pomoc. Popatrzyła na synka, spał. Oddech miał spokojny, ale zaczerwienione policzki wyglądały tak nienaturalnie. W tej chwili zdała sobie sprawę, jak bardzo bezradna jest samotna matka. Gdyby Apollo tu był...

– Co ja ci zrobiłam, synku? – wyszeptwała, hamując łzy. – Gdyby tatuś był z nami... Nigdy go nie poznasz – załkała żałośnie pochylona nad łóżeczkiem dziecka.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk. Wstrzymała oddech, nasłuchując. Znowu coś usłyszała. Podniosła się i próbowała zgadnąć, skąd pochodzi ten odgłos. Już wiedziała. Ktoś bardzo cichutko pukał do drzwi. Prawie bezszelestnie podeszła bliżej i z lękiem wyjrzała przez wizjer. Pod drzwiami stała sąsiadka. Kobieta w średnim wieku. Właściwie się nie znały, wymieniały zdawkowe „dzień dobry”, gdy spotykały się na korytarzu. Niekiedy któraś wspomniała coś o pogodzie, czasami sąsiadka zachwycała się małym Aresem. Marianna nie znała nawet jej imienia.

– Ja bardzo panią przepraszam – powiedziała, gdy dziewczyna uchyliła drzwi. – Nie chciałabym, żeby pani pomyślała, że jestem wścibska. Ja po prostu cierpię na bezsenność i widziałam, że u pani było pogotowie.

– Tak. Mój synek zachorował.

– No właśnie. Domyśliłam się. Moje dzieci prawie zawsze zaczynały chorować w nocy. I tak pomyślałam, czy nie potrzebuje pani pomocy. Bo chyba mieszka pani sama z synkiem...?

– Dziękuję. To miło, że pani o nas pomyślała. Rzeczywiście powinnam pójść do apteki, ale nie mogę zostawić go samego.

– Nie może pani sama w środku nocy biegać po ulicach, to niebezpieczne. Różne typy włóczą się po nocach.

Marianna patrzyła na sąsiadkę, nieco zdziwiona jej troską. Ale nie zdążyła nic powiedzieć, gdy kobieta zaczęła mówić dalej:

– Mój Radzio pójdzie. Kupi, co trzeba.

– Nie chcę robić kłopotu...

– Jaki tam kłopot. On i tak nie śpi, oboje miewamy kłopoty ze spaniem. Zresztą sam pani powie.

Kobieta spojrzała gdzieś w bok.

– No chodź, powiedz pani, że to żaden kłopot – ponagliła męża.

Szpakowaty mężczyzna podszedł do kobiet szepczących w otwartych drzwiach.

– Oczywiście, to żaden kłopot. Chętnie pani pomogę.

– No widzisz, kochaniutka. Dawaj te recepty. Bo pewnie masz jakieś recepty?

– Tak, mam. – Marianna, wciąż zaskoczona, cofnęła się do pokoju i sięgnęła po leżące na stole recepty.

Pan Radek pojechał do nocnej apteki, a Marianna z panią Jadzią siedziały w przytulnym pokoju i rozmawiały cichutko, żeby nie obudzić śpiącego dziecka.

– Podziwiam panią. Tak dobrze pani sobie radzi, i to całkiem sama. A pani synek taki śliczny i grzeczny.

– Dziękuję, staram się i kocham go do szaleństwa.

– Już dawno chciałam panią zagadnąć, spytać, czy nie potrzeba jakiejś pomocy przy małym, tylko nie miałam odwagi. Ale dzisiaj, jak zobaczyłam to pogotowie pod naszym blokiem, a potem usłyszałam, że to do pani... Och, tak się zdenerwowałam.

– Z nieba mi pani spadła. Naprawdę nie wiem, jak się państwu odwdzięczę.

– Ależ nie ma sprawy, kochaniutka, to dla nas przyjemność. Nasze dzieci wyjechały, tak rzadko się widzimy. I wiesz, mamy nawet wnuczkę Klaudusię, ma dwa latka. Bardzo za nią

tęsknię.

Wrócił pan Radek z lekami. Marianna podziękowała sąsiadom, była im naprawdę wdzięczna za pomoc. Po raz kolejny pomyślała, że siostra Ludwika ma rację. Ktoś nad nią czuwa, zawsze gdy jest w kłopotcie, zjawia się osoba, która ją z niego wybawi.

*

Sąsiedzi okazali się pomocni także następnego dnia. Pani Jadzia z chęcią zrobiła potrzebne zakupy, polecając się na przyszłość. Marianna raz jeszcze podziękowała za pomoc i troskę. Była wdzięczna, ale miała też obawy, czy sąsiedzi nie zaczną aby zanadto ingerować w jej życie. Nie miała ochoty na codzienne wizyty nudzącej się sąsiadki. Raz na jakiś czas mogły się spotkać, ale jednak Marianna zdecydowanie ceniła spokój. Miała nadzieję, że uczynna kobieta to zrozumie i uszanuje.

Kolejną niespodzianką była popołudniowa wizyta człowieka, którego Marianna ostatnio polubiła i nawet chwilami łapała się na tym, że o nim myśli. A może tymi myślami go ściągnęła? Ponoć zdarzają się takie rzeczy. Najpierw zadzwonił.

– Dzień dobry. Nie chciałem przeszkadzać, ale słyszałem, że Ares jest chory. Może mógłbym się na coś przydać?

– Cześć, to miło, że o nas pomyślałeś. Sąsiadka była tak dobra i zrobiła mi rano zakupy, ale...

– Ale? – Krótkie słowo w słuchawce i cisza. Czekał z bijącym sercem. Miał wrażenie, że ona usłyszy, jak mu się tłucze w piersi. Chciał ją zobaczyć. Sam jej głos sprawiał mu przyjemność. Dawno się tak nie czuł. Był zawiedziony, gdy nie spotkał jej rano w przedszkolu. Gdy się dowiedział, że Ares jest chory, postanowił, że po pracy odwiedzi Mariannę, dowie się, czy nie potrzebuje pomocy.

– Jeśli masz ochotę na herbatę, to zapraszam, Ares też pewnie się ucieszy – zaproponowała nieśmiało.

– Będzie mi miło. Do zobaczenia.

Marianna drżącą ręką odłożyła telefon. Rozejrzała się po pokoju, szukając czegoś, co należałoby poprawić przed przyjściem gościa. Wszystko było jednak w jak najlepszym porządku. Zerknęła do lusterka i z niepokojem stwierdziła, że nieprzespana noc zostawiła ślad na jej twarzy. Pod oczami wyraźne sińce, włosy w nieładzie. Już sięgała po kosmetyczkę, by przykryć mankamenty makijażem, gdy usłyszała dzwonek domofonu.

– Och... – westchnęła cicho, przygładziła ręką włosy i podeszła do drzwi.

Wiktor zjawił się z siatką pełną owoców i małym prezentem dla Aresa.

– Jak się czujecie? Połowa przedszkola choruje na szkarlatynę. W zeszłym roku też dużo dzieci chorowało, Wojtek zresztą też. Pamiętam, że bardzo gorączkował. – Mężczyzna wydawał się przejęty sytuacją.

– Ares podobnie. Teraz temperatura nieco spadła, ale w nocy... byłam przerażona. To nasza pierwsza choroba.

– Już dzisiaj będzie lepiej, pierwsza noc jest najgorsza.

– Dziękuję za pocieszenie. – Uśmiechnęła się i nieco rozluźniła. – To kawa czy herbata?

– Kawę poproszę.

– Mama... – rozległ się nagle głos z dziecinnego pokoju.

– Mogę ja? Jestem ciekawy, jak zareaguje... – Wiktor spojrział w stronę drugiego pokoju.

Marianna skinęła głową. Też była ciekawa reakcji synka. Po chwili usłyszała ich rozmowę.

– Witaj, bohaterze!

– Wujek! – Dziecko wyraźnie się ucieszyło. Marianna z uśmiechem zniknęła w kuchni.

Wiktor gościł u nich do późnego wieczora. Głównie zabawiał Aresa. Chłopiec się ożywił i chętnie pokazywał mu swoje zabawki, zwłaszcza małe samochodziki, które uwielbiał. Gdyby nie wypieki na twarzy, nikt by nie zgadł, że jest chory. Wiktor miał podejście do dzieci, sam był trochę jak dziecko. Zwłaszcza gdy jeździł po dywanie resorakami. Marianna tymczasem wymknęła się do łazienki. Zrobiła delikatny makijaż, spięła włosy. Spojrzała w lusterko. Była zadowolona z tego, co zobaczyła.

– Jak tam sytuacja na autostradzie? – zażartowała, zaglądając do pokoju. Wiktor i Ares, wciąż zajęci zabawą, spojrzeli na nią z uśmiechem.

– Świetnie, zaraz będzie kraksa. – Wiktor wjechał autkiem w drugie, symulując wypadek.

– Kraksa! – krzyknął chłopiec, uderzając kolejnym samochodzikiem.

– Teraz to już karambol...

– Katambol! Mama, patrz!

– Patrę, patrę... A czy moi kierowcy nie zgłodnieli? Niedaleko jest zajazd, może jakaś kolacja? – Marianna dołączyła do zabawy.

– Spaghetti! – krzyknął Ares. – Chcę spaghetti!

– Dobrze, sprawdzę, czy mają to w menu – odpowiedziała Marianna i wyszła przygotować ulubione danie Aresa. Miała nadzieję, że Wiktor też lubi spaghetti.

Lubił. Poprosił nawet o dokładkę.

– Przepyszne to twoje spaghetti, prawda, Ares? – mówił, wciągając ustami makaron. Może niezbyt grzecznie, ale zabawnie. I Marianna, i Ares śmiali się do rozpuku.

– Pysne – powtarzał chłopczyk i też próbował wciągnąć makaron ustami jak Wiktor.

– No ładnie. Moja nauka kulturalnego jedzenia poszła w las. – Marianna udawała zagniewaną, ale jej serce się radowało. Mały synek mimo choroby bawił się świetnie, a i jej towarzystwo Wiktora sprawiało przyjemność.

*

Ares spał, ściskając w rączce auto, które dostał od Wiktora. Marianna wyszła cicho z pokoju. Mężczyzna wciąż był w salonie, zauważyła, że posprzątał wszystkie rozsypane zabawki. Uśmiechnął się do niej.

– Zasnął? – spytał.

– Po takich emocjach? Pewnie. Ledwo przyłożył główkę do poduszki i już spał.

– Fajny dzieciak – powiedział cicho Wiktor i zapatrzył się w szkatułkę stojącą na komodzie.

Jakoś ona dziwnie wszystkich przyciąga – pomyślała Marianna. – A przecież jest w pokoju tyle innych drobiazgów.

– Dziękuję – odpowiedziała również cicho – za miłe odwiedziny i zabawę z Aresem. Był naprawdę szczęśliwy.

– Mnie też było bardzo miło. Aż szkoda, że czas tak szybko zleciał. Pewnie jesteś zmęczona...? – spytał z grzeczności, bo wcale nie chciał jeszcze opuszczać jej mieszkania.

– Nie bardzo... – odpowiedziała jeszcze ciszej i zbliżyła się nieco do Wiktora. Stali teraz blisko siebie, milcząc. On pierwszy wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Nie zaprotestowała, co jeszcze bardziej go ośmieliło. Zbliżył twarz do jej twarzy i delikatnie pocałował ją w usta. Zamknęła na chwilę oczy, poczuła delikatny jak muśnięcie motyla pocałunek i jego ciepły oddech na twarzy. Było jej przyjemnie, zapragnęła poczuć to raz jeszcze. Spojrzała mu w oczy. Zrozumiał. Następny pocałunek był długi i namiętny. Sprawił, że zaszumiało jej w głowie, gdyby nie jego silne ręce, pewnie osunęłyby się na podłogę. Przytrzymał ją i mocno przytulił. Poczuła

jego zapach, jego ciepło. Zapragnęła do końca życia zostać w jego ramionach. Chciała mu to powiedzieć, ale nie zdążyła. Kolejny gorący pocałunek zawładnął nią całą. Czowała rozkosz od pięt do czubka głowy. Nie potrafiła opanować drżenia całego ciała. Ciała, które tak długo nie czuło dotyku mężczyzny. Teraz ze wszystkich sił domagało się jego bliskości.

– Późno już, pójdę... – szepnął i odsunął ją delikatnie od siebie. Nie zatrzymała go, a tak na to liczył. Nie chciał być natrętny, użył całej swojej siły woli, żeby wypuścić ją z ramion. Marianna patrzyła na niego z pożądaniem, ale pozwoliła mu odejść. Serce jej krwawiło, gdy zniknął za drzwiami. Oparła się o chłodną ścianę, przygryzając wargi do bólu. Coś dziwnego się z nią działo. Chciała, by wrócił... i w tym samym momencie usłyszała pukanie. Zerwała się i dopadła drzwi.

– Chciałbym...

Nie dała mu dokończyć. Chwyciła go za bluzę i wciągnęła do środka. On jakby tylko na to czekał, przylgnął do niej i tym razem już nic nie było w stanie ich od siebie oderwać.

*

Ludwika szła z duszą na ramieniu. Nerwowo rozglądała się wokoło. Miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą, że srogie spojrzenie matki przełożonej nawet tu ją dopadnie. Ktoś ją pewnie zobaczy, rozpozna i doniesie siostrze Annie, że wcale nie była na cmentarzu, tylko szwendała się po całkiem innej dzielnicy. Serce tłukło jej się jak młotem, a przecież nie robiła nic złego. Chciała tylko odwiedzić przyjaciółkę. Musiała użyć podstępów, bo z jakiegoś powodu, którego nie rozumiała, matka przełożona zakazała jej tych odwiedzin. Oficjalnie wyszła więc na cmentarz uporządkować groby. Nie mogła tak zostawić przyjaciółki bez pomocy. Marianna napisała jej SMS-a, że Ares jest chory. Ludwika martwiła się, że dziewczynie nie będzie miał kto pomóc, a przecież jest sama z dzieckiem. Jeszcze tylko dwa zakręty i będzie na miejscu. Stała na skrzyżowaniu, czekając na zmianę świateł. Samochody śmigały jej przed oczami jeden za drugim. W pewnym momencie struchlała, jednym z aut był samochód ojca Fryderyka. Wprawdzie tylko jej mignął, ale to z pewnością był on. Szary citroën. I była niemal pewna, że kierowca na nią spojrzał. Nawet wydawało jej się, że się uśmiechnął.

– Boże, pomóż, bo oszaleję – szepnęła. – Wybacz mi to nieposłuszeństwo. Jestem tylko słabym człowiekiem.

Dotarła w końcu pod drzwi Marianny.

– Siostra Ludwika! Witamy! Patrz, Aresku, kto do nas przyszedł. – Marianna przywitała ją z taką radością, że zakonnica momentalnie przestała się czuć winna. A kiedy synek Marianny podbiegł do niej, by pochwalić się nową zabawką, zrobiło jej się tak ciepło na sercu, że sama siebie rozgrzeszyła; była pewna, że dobrze postąpiła i nie powinna mieć wyrzutów sumienia, że powiedziała nieprawdę matce Annie.

– Też się cieszę, że was widzę. Jak się czuje mały? Jak w ogóle sobie sama radzisz? – Jej troskliwe słowa rozczuliły Mariannę. Wcześniej myślała, że w trudnych sytuacjach jest zdana sama na siebie. Okazało się, że tak nie jest. Gdy znalazła się w potrzebie, kilka osób zaoferowało jej pomoc. Sąsiedzi, Wiktor, Ludwika.

– Nie jestem sama – odpowiedziała z uśmiechem. – Mam uczynną sąsiadkę, jeden znajomy również zaoferował mi pomoc. A Ares czuje się już lepiej. Pierwsza doba była ciężka, gorączkował, był taki słaby.

– Masz, dziewczyno, dobrego opiekuna tam w niebie. Cieszy mnie to bardzo i dziękuję za to Bogu w swoich modlitwach.

– Zawsze to siostra powtarza, aż w to uwierzyłam – odpowiedziała Marianna, a w duchu pomyślała, że nie zawsze otaczała ją ta opieka. A może otaczała, tylko ona tego nie widziała?

W końcu tylko ona jedna ocalała z pamiętnej wyprawy, której nie chciała wspominać. Może i wtedy ktoś nad nią czuwał?

Bawiąc się z Aressem, Ludwika obserwowała kątem oka jego matkę. Spostrzegła jej zamyślenie, nie pierwszy zresztą raz. Coś gryzie tę małą – pomyślała – czy kiedyś dowiem się co? Czy Marianna zaufa mi kiedyś na tyle, żeby zdradzić swoją tajemnicę? Teraz spojrzysz na szkatułkę... zawsze to robi, gdy się tak zamyśli.

Tak było i tym razem. Marianna zawiesiła wzrok na tym tajemniczym puzderku i na chwilę przestała być sobą. Jej nieobecne oczy widziały coś, czego nikt prócz niej nie mógł zobaczyć.

– Mama! – Głos dziecka sprawił, że się otrząsnęła i wróciła z duchowej wycieczki w daleką przeszłość.

– Tak, kochanie? Co tam masz? – spytała z uśmiechem. Znowu była sobą.

– Auto... – Chłopiec trzymał w rączce samochodzik, który dostał od Wiktora. Praktycznie się z nim nie rozstawał.

– Piękne auto. Pokaż cioci, jak jeździ, a ja zrobię nam herbatki.

Gdy wróciła z kuchni, zastała zabawny widok. Ludwika i Ares leżeli na dywanie i jeździli autkami po niewidzialnej drodze, głośno warcząc, co miało naśladować pracę silników. O ile widok dziecka bawiącego się samochodami nie był niczym dziwnym, o tyle wiekowa zakonnica poruszająca się na czworakach z samochodzikiem w ręku niejednego by rozśmieszyła. Marianna starała się zachować powagę i prawie jej to się udało.

– Przerwa na herbatę! – krzyknęła, wnosząc tacę z kubkami.

Ludwika podniosła się z podłogi, posapując.

– Ojejku, to już nie na moje stare kości takie zabawy... muszę odpocząć. Pobaw się teraz sam, Aresku.

Chłopiec nie przerwał zabawy. Jeździł dalej po dywanie, głośno warcząc.

– Proszę usiąść w fotelu, będzie wygodniej.

– Oj tak, kochana. Twój fotel jest wspaniały. Tęskniłam za nim – powiedziała z uśmiechem zakonnica.

– Dawno siostry u nas nie było. Pewnie nie ma siostra czasu...

Zakonnica się zamyśliła, jakby nie słyszała Marianny. Dopiero po chwili na nią spojrzała.

– Ile to lat już się znamy? – spytała tak jakoś poważnie.

– No... będzie trochę ponad cztery.

– No właśnie. Co ty na to, żebyśmy mówiły sobie po imieniu? To znaczy ty do mnie, bo ja to od zawsze tak do ciebie mówię.

Marianna nie potrafiła ocenić, czy czuje się bardziej zdziwiona, czy zaskoczona. Bardzo lubiła siostrę Ludwikę, wiele jej zawdzięczała, miała dla niej ogromny szacunek. Nigdy by się nie odważyła sama tego zaproponować, zakonnica była od niej dużo starsza. Czy to wypada, by mówiła jej po imieniu? Ale skoro sama tego chce...

– Nie wiem, co powiedzieć. Jestem zaskoczona, mile zaskoczona.

– Czyli się zgadzasz? – Ludwika patrzyła z nadzieją na swoją młodą przyjaciółkę. Jeszcze niedawno nawet by jej to do głowy nie przyszło. Ale ostatnio bardzo się zmieniła. Miała ochotę robić coś, na co do tej pory by się nie ośmieliła. I wcale nie uważała tego za grzech. Nikomu przecież nie robiła krzywdy, a rozmowa z Fryderykiem dodała jej odwagi. Odczuwała wprawdzie pewien lęk – w końcu lata bezwzględnego posłuszeństwa matce przełożonej zrobiły swoje – ale czuła, że potrafi go opanować. A bliższy kontakt z Marianną być może sprawi, że ta jej zaufa i pozwoli sobie pomóc. Była pewna, że dziewczynę coś trapi...

– Taak... – przytaknęła nieśmiało Marianna. Skoro Ludwika tego chce, mogą sobie

mówić po imieniu.

– Super! – Zakonnica klasnęła w ręce. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę.

– Niewiele ci do szczęścia potrzeba.

– A żebyś wiedziała, moja kochana. Ostatnio wciąż odkrywam coś nowego i bardzo mnie to bawi.

Dziewczyna się uśmiechnęła. Cieszyło ją, że jej przyjaciółka jest taka odmieniona. Domyślała się, że życie w zakonie jest, delikatnie mówiąc, niezbyt łatwe.

Apollo

Apollo z Elizą i małą Olą spacerowali po promenadzie, ciesząc się ładną pogodą. Było późne popołudnie, ale ludzi wciąż mnóstwo. Jak to nad morzem w sezonie.

– Jaki piękny balonik... – zachwycała się dziewczynka. – Kupisz mi, tatusiu? – Zrobiła słodką minkę i spojrzała ojcowi w oczy.

– Olu! Masz już cztery balony, po co ci następny? – Eliza próbowała zniechęcić córeczkę do kolejnego niepotrzebnego zakupu.

– Ale takiej małpki nie mam. Tatusiu... – Złożyła usta w podkówkę i znowu spojrzała na ojca.

– Kupię. Ale na tym koniec, zgoda? Bagażnik nam się nie domknie. – Mężczyzna bezradnie popatrzył na żonę. I zwrócił się do sprzedawcy, prosząc o balon.

Mała skakała z radości i wyciągała rączki po zabawkę.

– Rozpieszczasz ją. Kiedyś to się na nas zemści, zobaczysz.

Eliza udawała zagniewaną. Zdawała sobie sprawę, że Oleńce Apollo niczego nie odmówi, zresztą tak samo jak jej. Rozpieszczał je obie i kochała go za to. Czuła się z nim szczęśliwa.

– Lubię rozpieszczać moje księżniczki – powiedział jakby na potwierdzenie jej myśli, ujął jej dłoń i lekko ją uściskał.

Oboje patrzyli z miłością na swoją małą córeczkę dumnie niosącą napełniony helem balon w kształcie zabawnej małpki.

– Może pójdziemy już na kolację? Ola pewnie zmęczona... – Apollo patrzył wymownie na Elizę. Kobieta wiedziała, co to oznacza. Zapowiadała się namiętna noc. Apollo grę wstępną rozpoczynał zwykle kilka godzin wcześniej, wzbudzając w niej i w sobie nieodparte pragnienie, by się w końcu do siebie dorwać i popłynąć z falami miłości do całkowitego spełnienia. Oczywiście spontaniczne zrywy też im się zdarzały i były równie cudowne. Ale takie zbliżenia przedłużane wyczekiwaniem, nakręcane tęsknotą i wyobraźnią były ich ulubionym sposobem uprawiania miłości.

– Dobry pomysł, ale może znajdziemy jakąś przytulną restaurację, gdzie nie będę czuła kogoś za plecami, spożywając posiłek.

– Oczywiście. Zmykamy stąd.

W głębi nadmorskiego miasteczka znaleźli małą knajpkę, gdzie oprócz wszechobecnych ryb serwowano także naleśniki, gołąbki i placki ziemniaczane.

Najedzeni, rozmarzeni, z myślami napełnionymi tym, co się wydarzy, gdy tylko mała uśnie, prawie milcząc, szli w stronę wynajętej kwatery. Tylko Ola szczebiotała do małpki, informując ją, gdzie będzie dzisiaj spała. Mijali właśnie wystawę sklepu z pamiątkami z wyższej półki, nie takimi jak bezużyteczne przedmioty na stoiskach na promenadzie. Tu było zapewne drożej, ale za to oryginalnie i z gustem. To właśnie tu coś przyciągnęło wzrok Apolla i sprawiło, że na chwilę przestał oddychać. Wszędzie by je rozpoznał. Poukładane w mały stosik, jedna rozłożona, pokazująca swoje piękno w całej okazałości. Patchworkowe narzuty, które oferował sklep, sprawiły, że świat mu zawirował. Skąd się tu wzięły? – pomyślał. Przecież wszystko spłonęło. Ocalała jedna, którą ogień tylko częściowo strawił, ale ona znajduje się u niego w domu, przechowywana niemal jak relikwia.

– Apollo! Coś tam zobaczył? – Eliza z córeczką znacznie go wyprzedziła i teraz nawoływała, widząc, że został w tyle, zatrzymawszy się przed jakąś wystawą.

– Już idę... – odpowiedział i ruszył w kierunku żony i córki. Może są tylko podobne,

myślał. Przecież zapewne nie tylko Zuza umiała szyć patchworki.

*

Ten wieczór, aczkolwiek zapowiadał się romantycznie, dla Apolla nie całkiem taki był. Gdy tylko Ola usnęła, Eliza postarała się o odpowiedni nastrój. Były świece i wino, tak jak lubił. Rozpuściła swoje ognistorude włosy, w zwiewnej kusej koszulce wyglądała zjawiskowo. Zazwyczaj taki widok sprawiał, że burzyła się w nim krew, jego samcza natura brała górę i dopadał ją jak głodny zwierz swoją ofiarę. Dzisiaj nie mógł zebrać myśli. Ona co prawda nie zorientowała się, że nie do końca był sobą, bo z całych sił próbował to ukryć. Gdy kochał się z Elizą, przed oczami miał Zużę, niemal czuł zapach perfum, których używała, ręce Elizy, które go pieściły, zdały się być rękoma Zuzy... Zamknął oczy, by nie dostrzegła w nich tęsknoty, jaka go nagle dopadła. Nawet w chwili głębokiego uniesienia wyszeptał jej imię. Na szczęście głośne westchnienia żony zagłuszyły jego szept...

Rano obudził się pierwszy. Cichutko, żeby nie zbudzić Elizy, wstał i czym prędzej ruszył do sklepu z pamiątkami. Nie mógł tego tak zostawić. Musiał się przekonać, czy to, co podejrzewał, było prawdą. O tak wczesnej porze sklep był zamknięty, ale przyjrząwszy się raz jeszcze dokładnie przez okno, nabrał pewności, że to dzieło Zuzy. Postanowił pod jakimś pretekstem wrócić tu później. Musi zobaczyć z bliska, dotknąć i poczuć... Gdy dotknie materiału, będzie miał stuprocentową pewność. Stał jeszcze chwilę, próbując przebić wzrokiem szkło, po czym ruszył w kierunku piekarni. Kupił kilka jeszcze ciepłych bułek na śniadanie. Eliza pewnie go pochwali, pomyślał, ale nie czuł się z tym dobrze.

Przez cały poranek i długie popołudnie myślał tylko o jednym. Przed oczami miał te narzuty z wystawy, za wszelką cenę musiał tam znów wrócić. Był przekonany, że były dziełem Zuzanny. A to by znaczyło, że ona żyje, nie spłonęła w tym okropnym pożarze. Zawsze w to wierzył, miał nadzieję, że zaszła się gdzieś i żyje sobie spokojnie z dala od przykrych wspomnień.

Los mu sprzyjał, późnym popołudniem Eliza poprosiła go, by poszedł do apteki. Trochę przesadziła z opalaniem i potrzebowała kremu łagodzącego skutki nadmiernej kąpieli słonecznej.

Szybko załatwił sprawunki w aptece, a stamtąd udał się prosto do sklepu z pamiątkami. Małe nadmorskie miejscowości mają to do siebie, że wszędzie jest w miarę blisko. Co mu bardzo ułatwiło zrealizowanie planu bez narażenia się na wyrzuty, że zbyt długo zajęła mu wyprawa po krem.

– Mógłbym prosić taką narzutę z wystawy? – Głos mu drżał, gdy mówił do ekspedientki.

– Chodzi panu o te patchworkowe kapy?

– Tak, właśnie tak – odpowiedział trochę nieśmiało.

– Proszę bardzo, mamy kilka wzorów. Piękna ręczna robota. – Położyła przed nim kilka złożonych w kostkę kap i zajęła się następnym klientem.

Apollo dotknął materiału tak delikatnie, jakby dotykał ciała kochanki. Przesuwał palcem po równiutkim szwie, wyobrażając sobie, jak Zuza sprawnymi palcami zszywała te kolorowe kawałki, tworząc prawdziwe dzieło. Nie miał już wątpliwości: przed nim leżały kapy, które z pewnością szyła Zuzanna. Ona żyła... Serce zaczęło mu bić mocniej. Nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić. Czy ma ją odszukać? A może ona nie chce być odnaleziona? Może żyje sobie gdzieś spokojnie, a on nie powinien jej niepokoić?

– Wybrał pan jakąś? – wyrwała go z zamyślenia ekspedientka.

– Jeszcze chwilę... – Położył dłoń na narzutach, jakby się bał, że kobieta zaraz je zabierze.

– Trudny wybór, wiem. Wszystkie są bardzo ładne.

– Czy to ma być prezent? – spytała starsza pani, która również zatrzymała wzrok na patchworkach. – Kiedyś też takie szylałam, dawno temu. Teraz już i oczy, i ręce niezdolne do takiej roboty...

Jakaś inna kobieta też zaczęła mu się przyglądać, a może narzutem, sam już nie wiedział. Zaczął czuć się niekomfortowo.

– Wezmę te dwie – powiedział pospiesznie, oddzielając wybrane od pozostałych. Najchętniej kupiłby wszystkie; może jeszcze po nie wróci. Na razie weźmie dwie.

– Piękny prezent. Ktoś się bardzo ucieszy – stwierdziła starsza pani, która nie otrzymawszy odpowiedzi na swoje pytanie, uznała za pewnik, że nabywa je właśnie na prezent.

– Dziękuję... – Apollo zapłacił i wyszedł z pakunkiem ze sklepu.

Ukrył go w bagażniku auta i wrócił na kwatery.

Do końca pobytu nad morzem jeszcze dwa razy udało mu się zajść do sklepu z pamiątkami. Kupił trzy kolejne narzuty. W sumie miał ich już pięć, wszystkie ukryte w samochodzie. Zastanawiał się, czy nie powinien pokazać ich Elizie. Mógłby jej wytłumaczyć, że kierował nim sentyment. Pewnie sama pamiętała, że przed pożarem jego dom był wręcz zarzucony patchworkowymi kapami. Wyjaśnił jej wtedy, że to rodzinne pamiątki. Kiedyś jakoś łatwiej przychodziło mu mówienie nieprawdy, zwłaszcza gdy chodziło o ochronę Zuzanny. Czy teraz też mógłby skłamać? Z pozoru wydawało się to proste, ale był taki szczęśliwy z Elizą, nie chciał tego zepsuć kłamstwem. Na razie postanowił zostawić sprawę patchworków w tajemnicy. Najpierw porozmawia z Agnieszką. Matka Elizy o wszystkim wiedziała, od początku go kryła. Jej mógł zaufać. No i Joachim, on też o wszystkim wie, chyba z nim też powinien porozmawiać. Jest im to winien, w końcu kiedyś uratowali mu skórę.

Do domu wracali nocą. Perspektywa spędzenia w upalny dzień pięciu, może sześciu godzin w samochodzie z dzieckiem nie była zachęcająca, wybrali więc na podróż noc.

– Zatrzymaj się, proszę, gdzieś na stacji. Muszę do toalety – poprosiła cicho Eliza.

– Dobrze. Sam też rozprostuję kości i może kawy się napiję.

– Może ja poprowadzę? Ty odpoczniesz.

– Wystarczy, że napiję się kawy. Całkiem dobrze się czuję.

– Jak chcesz, ale jakby co, to mogę cię zastąpić – powiedziała z ulgą, bo wcale nie rwała się do zajęcia miejsca za kółkiem. Zdecydowanie wołała wygodnie siedzieć obok kierowcy.

Na krótkim postoju napili się kawy i ruszyli w dalszą drogę. Chcieli jak najszybciej znaleźć się w domu. Lubili podróże, ale w dzień i połączone ze zwiedzaniem ciekawych miejsc. Taka jazda od celu do celu oboje ich męczyła. Na szczęście Ola spała, bo podróż z marudzącym dzieckiem byłaby jeszcze trudniejsza.

– Połowę drogi mamy chyba za sobą... – spytała, a raczej stwierdziła w którymś momencie Eliza, zerkając na zegarek.

– Tak, połowa za nami. Teraz z górki... – próbował żartować Apollo, ale sam też nie mógł się już doczekać końca podróży.

– Mam nadzieję, że dziadkowie stęsknili się za wnuczką i zabiorą ją z samego rana. Zamierzam do wieczora nie wychodzić z naszego wygodnego łóżka...

– Czy brałaś pod uwagę moje towarzystwo w tym wygodnym łóżku? – spytał, kładąc rękę na jej kolanie.

– Bez ciebie nie jest wcale takie wygodne... – powiedziała zalotnie.

Uśmiechnął się i wpatrzył w drogę przed siebie. Jestem szczęśliwy, pomyślał. Mam piękną, kochającą żonę, uroczne dziecko, dobrą pracę, zdrowie. Czego mi więcej trzeba? Co los mi jeszcze zaplanował? Uśmiech znikł z jego twarzy, gdy przypomniał sobie, w jakim żył stresie, gdy ukrywał Zuzannę, jak bardzo lawirował między swoimi kobietami, żeby jego tajemnica nie

wyszła na jaw. Chociaż nie robił tego z próżności ani chęci zatrzymania dla siebie ich obu, to jednak czuł się winny. Wprawdzie nieumyślnie, ale w jakiś sposób przyczynił się do tragedii. Popęłił błąd, chociaż początkowo wydawało mu się, że to jedyne wyjście z tamtej trudnej sytuacji. Skąd mógł wiedzieć, że tak to się potoczy...? Jedna nieprzemyślana decyzja zmieniła jego życie na zawsze, i nie tylko jego... Problem poniekąd sam się rozwiązał. Czy na pewno sam? Teraz miał wątpliwości. Nigdy nie dowiedział się prawdy, sprawę umorzono z powodu braku dowodów. Zuzannę uznano za zaginioną, tak samo jak jego matkę. Ale obie zaginęły w jakże różnych okolicznościach. A jeśli Zuza żyje? Może i matka gdzieś żyje wśród dzikusów. Przeraziła go ta myśl, zaszumiało mu w głowie.

– Uważaj!! Uważaj...! – Krzyk żony go otrzeźwił. Zawędrował tak daleko myślami, nie zauważył, że zjeżdża na przeciwległy pas, wprost pod koła auta pędzącego z naprzeciwka. Kierowca drugiego samochodu zaczął rozpaczliwie trąbić. Apollo w ostatniej chwili zjechał na swój pas.

– Boże! Co się dzieje? Dobrze się czujesz? Tak się wystraszyłam.

– Przepraszam, kochanie, zamyśliłem się.

– Jak to się zamyśliłeś? Mogłeś nas zabić. – Eliza cała się trzęsała.

– Przepraszam – powtórzył cicho. Sam też był tak zdenerwowany, że nic innego nie mógł powiedzieć.

– Zjedź, proszę, na najbliższy parking, muszę ochłonać.

– Dobrze...

Już po chwili zobaczył zjazd. Płynnie skręcił i zatrzymał się na leśnym parkingu. Oparł głowę o fotel i zamknął oczy. Trwał tak chwilę, Eliza czekała, aż się uspokoi. Widziała, że bardzo przeżywa ten niebezpieczny dla nich wszystkich incydent. Było jej go żal.

– Już dobrze, kochanie. Na szczęście nic się nie stało. – Przytuliła się do niego i poczuła, jak bardzo mocno bije mu serce.

– O czym myślałeś? – spytała, trzymając głowę na jego torsie.

– Raczej o kim...

– Tak? – Przytuliła się jeszcze mocniej.

– O mojej matce. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem sobie, że może ona gdzieś tam żyje, uwięziona wśród dzikusów. Przecież nigdy nie odnaleziono jej ciała, może wcale nie umarła... – Czuł ulgę, że Eliza nie patrzyła mu w oczy. To, co mówił, było prawdą, ale nie całą. Przecież myślał nie tylko o matce, ale tego nie mógł jej powiedzieć. To i tak nic by nie zmieniło, a tylko by ją zdenerwowało.

– Myślałeś o mamie? Ale dlaczego akurat dzisiaj, teraz? Przecież prawie nigdy o niej nie mówisz.

– Nie wiem. Przepraszam. Jak pomyślę, że mogliśmy wszyscy zginąć przez moją głupotę...

– Myślenie o matce to nie głupota, byle nie w czasie jazdy.

– Wiem...

– Dobrze, że mała śpi. Też by się przestraszyła. – Eliza spojrzała na tylne siedzenie, gdzie dziewczynka smacznie spała w foteliku.

– Swoją drogą ma kamienny sen – zauważył już nieco spokojniej Apollo.

– Ciekawe po kim? – Eliza, już całkiem rozluźniona, uderzyła lekko pięścią w pierś męża.

– Wiadomo... Ale mocny sen to zdrowy sen – powiedział, widząc z ulgą, że jego żona podeszła do tej sytuacji ze zrozumieniem. Tak bardzo kochał je obie. Gdy pomyślał, że mógł im zrobić krzywdę, to aż się w nim gotowało.

– Wysiadał... – zażądała stanowczo Eliza.

– Ale czuję się już całkiem dobrze i będę uważał – próbował protestować.

– Wsiadaj! – powtórzyła.

Przesiadł się na miejsce obok kierowcy. Nie było sensu dyskutować. Wiedział, że Eliza nie ustąpi, i wcale jej się nie dziwił.

Do domu dotarli wczesnym rankiem. Wjechawszy na swoje podwórko, starali się zachowywać cicho, żeby nie obudzić rodziców. Dzielili ich niewielka odległość, a w nocy wszystko było słycać o wiele bardziej. Ich ostrożność na nic się zdała. Już po chwili z domu obok wybiegła Agnieszka.

– Jesteście w końcu. Tak długo jechaliście. Chciałam dzwonić, ale Joachim mi zabronił – powiedziała trochę jak nadąsane dziecko.

– Bo nie wolno przeszkadzać w podróży – dał się słyszeć męski głos.

– Mamo, Joachim! Dlaczego nie śpicie?

– Agnieszka nie mogła się doczekać waszego powrotu. Wypatrywała was od południa, aż byłem zazdrosny. Na mnie nigdy tak nie wyczekuje – żartował Joachim z matki Elizy.

– Cudownie być w domu. – Eliza przywitała się z matką i Joachimem.

– Było naprawdę super, ale dom to dom – dodał Apollo i również się przywitał.

– A jak tam nasza kruszynka? – Agnieszka zajrzała do samochodu.

– Śpi jak kamień. Też już za wami tęskniła. Przywiozła wam w prezencie tonę kamyczków i muszelek. – Eliza też pochylała się nad śpiącym dzieckiem.

– Mam pomysł. Pewnie jesteście padnięci. Przynieście małą do nas. Wy się wyśpicie, a my zajmiemy się Olą, jak się obudzi. Zgoda? – Agnieszka patrzyła na nich z nadzieją.

Apollo spojrzał na Elizę. Zrozumieli się bez słów.

– W porządku. Otwierajcie wrota. Zaniosę do was małą księżniczkę. Ale zgłosimy się po nią najszybciej wieczorem. – Apollo wziął na ręce śpiącą córkę i zaniósł ją do domu uszczęśliwionej babci.

*

Apollo obudził się pierwszy. Było jeszcze dość wcześnie, ale on czuł się wyspany. Z miłością patrzył na śpiącą Elizę. Wydawało mu się, że wszystko się poukładało. Odbudowali spalony dom prawie w tym samym miejscu. Prawie, bo Agnieszka się uparła. Ponoć jest jakiś przesąd, że nie stawia się domu na pogorzeliisku. Jemu było wszystko jedno, ale nowe miejsce może i było lepsze. Zyskali ładniejszy widok z salonu, a plac po starym domu zagospodarował ogrodnik. To był naprawdę mistrz w swoim fachu, od lat ten sam. Ulubiony ogrodnik mamy i wciąż jej wierny. Pamiętał, że Basia kochała białe róże, było ich w ogrodzie mnóstwo. Chyba nie było w okolicy piękniejszego ogrodu niż ten stworzony przez pana Rysia.

Apollo wziął szybki prysznic i wyszedł do ogrodu. Musiał wszystko przemyśleć. Przeszłość zakradała się w jego myśli, burząc spokój, jaki zapanował w jego życiu. Ogród go uspokajał, tu mógł pomyśleć w samotności. Udał się w ulubione miejsce. Przysiadł na małej ławeczce pod akacją. Zapach kwiatów koił jego zmysły. Przed sobą miał widok bliski swemu sercu. Krzak białych róż. W ogrodzie wiele ich było, ale ten był wyjątkowy. Skrywał ogromną tajemnicę. Przez kilka lat krzak się rozrastał, pielęgnowany kwitł wyjątkowo obficie. Mężczyzna wstał z ławki i kucnął przy nim. Ujął w dłonie jeden kwiat. Miał tak delikatne płatki, tak białe, niewinne... Wspomnienie tamtego dnia wróciło jak bumerang. Zobaczył siebie i Zuzę. Przerażonych, zasmuconych i nieszczęśliwych. Wciąż nie wiedział, czy ona rozumiała, czy zdawała sobie sprawę z tego, co się wtedy stało. Była jak przerażone zwierzątko i tylko jemu jednemu ufała.

– Gdzie jesteś? – spytał cicho, pieszcząc w dłoni białą różę.

Nagle usłyszał jakiś szmer. Odwrócił się w stronę, skąd dobiegał.

- Spokojnie, to tylko ja. Wiedziałem, że cię tu znajdę.
- Tato? Nie mogłem spać...
- Wiem. Widziałem przez okno, jak wychodziłeś. Stęskniłeś się za ogrodem?
- To też. Nie ma drugiego tak pięknego jak ten. Przynajmniej dla mnie.
- Racja... ale chyba nie tylko tęsknota cię tu sprowadziła. Co się dzieje, synu? Tylko szczerze... Mam nadzieję, że nie posprzeczałeś się z Elizą.
- Ależ nie, z nią wszystko w porządku. Cudowna kobieta mi się trafiła.
- Racja, i nie schrzań tego, bo ja pierwszy ci przyłożę.
- Lubisz Elizę... wiem.
- Lubię, a jej matkę kocham, nie kryję tego, chyba to widać.
- Tak, tato, pewnie, że widać.
- No dobrze... Mów, co cię gryzie. I to szybko, póki nas nasze cudowne kobiety nie znajdą.

Apollo wstał, chwilę patrzył ojcu w oczy.

– Coś ci pokażę.

Ruszyli w stronę domu. Apollo zatrzymał się przy samochodzie. Otworzył bagażnik. Wśród kilku walizek, których jeszcze nie wypakował po powrocie, leżała dość duża papierowa torba. Apollo sięgnął po nią, rozejrzał się konspiracyjnie i spojrzał na ojca.

– Jakiś prezent znad morza? – spytał Joachim tak tylko z rozpędu. Domyślał się, że to coś poważnego. Znał przecież swojego syna.

– Może być i prezent, ale wyjątkowy, sam zobacz. – Apollo delikatnie, niemal z pietyzmem wyciągnął zawartość torby.

– O kurczę! Skąd to masz? Czy to jest to, o czym myślę? – Joachim wpatrywał się z niedowierzaniem w patchworkową narzutę.

– Jestem pewien, że to jej dzieło. Tato, ona żyje!



Marianna

– Fryderyku, znajdziesz chwilę po mszy? Chciałam porozmawiać – szepnęła Ludwika do przechodzącego obok ławek księdza.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się do niej dyskretnie.

Zakonnica nie mogła się doczekać końca mszy, co nie uszło uwadze innych sióstr. Zerknęły na nią z niedowierzaniem, gdy myliła się przy modlitwie, odpływając gdzieś myślami. Ale ona zupełnie się tym nie przejmowała, chciała jak najszybciej porozmawiać z Fryderykiem.

Piętnaście minut po mszy zeszła po schodach, by udać się do pustej kaplicy. Fryderyk już tam był w swoim szarym swetrze. Uśmiechał się do niej ciepło, co sprawiło jej nieskrywaną radość.

– Może wyjdziemy do ogrodu? Taki ładny dzisiaj wieczór.

Ludwikę zamurowało. Ich spotkania odbywały się w tajemnicy, a on proponuje spacer po ogrodzie?

– Ale...

– Boisz się, że ktoś nas zobaczy?

Odniosła wrażenie, że jej niepokój go rozbawił.

– Matka Anna nie będzie zachwycona, i tak ostatnio jej podpadłam.

– Ty? Najświętsza zakonnica w tym klasztorze?

– A jednak... Sama nie wiem, co się ze mną dzieje. Mam ochotę robić wszystko wbrew matce przełożonej. Chyba oszalałam... – powiedziała cicho Ludwika i spuściła głowę.

– Zapewniam cię, że nie oszalałaś – uspokoił ją duchowny, kładąc dłoń na jej dłoni. Przyjemne ciepło przeszło przez jej ciało. Wzdrygnęła się. Fryderyk uśmiechnął się i mocniej zacisnął dłoń. Jemu ten dotyk też był miły. Tak długo tłamsił w sobie ludzkie uczucia, a przecież był człowiekiem z krwi i kości. Dlaczego zakonnicy musieli udawać, że ich to nie rusza? Czy Bóg naprawdę tego od nich wymaga? W swoim życiu spowiadał wielu duchownych, księży, zakonnice... wszyscy wcześniej czy później ulegali tej słabości i wielu z nich miało z tego powodu wielkie poczucie winy. Fryderykowi było ich żal, dawał im rozgrzeszenie, zadawał pokutę, nakazywał poprawę, ale w gruncie rzeczy czuł, że to nie jest sprawiedliwe. Im też powinno być wolno kochać jak każdemu innemu człowiekowi. Teraz patrzył w smutne, przerażone oczy Ludwiki, tyle było w nich miłości i żalu... Aż dziw, że nie zrobiła się zimna i oschła, niewyrozumiała dla innych, jak większość starszych zakonnice. Po latach się wypalały, gasła w nich dobroć, a górę brały puste nakazy panujące w różnych formach we wszystkich zakonach.

– To chodźmy do tego ogrodu – powiedziała, delikatnie wysuwając rękę z jego zacisniętej dłoni.

– Chodźmy.

Spacerowali po pustym, ciemnym ogrodzie. Wbrew obawom Ludwiki nikt ich tu nie zobaczył. Wszystkie mniszki odpoczywały w swoich celach i żadnej nie przyszło do głowy, żeby wyglądać przez okno.

– Pięknie tu jest nocą – zauważyła z zachwytem zakonnica.

Cały ogród był pograżony w ciemnościach. Tylko księżyc rzucał blade światło na ledwo widoczne alejki.

– Lubię tu spacerować po zmroku. Dobrze mi się myśli w ciszy i ciemności – odezwał się Fryderyk.

– Przychodzisz tu w nocy?

– Prawie codziennie...

No tak, pomyślała Ludwika, Fryderyk może więcej niż ona czy inne zakonnice. Nie musi zgłaszać każdego wyjścia. Jakie to niesprawiedliwe. Westchnęła i spojrzała w gwiazdy. Chciała się na nie napatrzeć. Nie wiedziała, kiedy je znowu zobaczy. Z jej celi nie było widać nieba. Przysłał ją piękny rozłożysty kasztan. Fryderyk jakby czytał w jej myślach.

– Możesz tu przychodzić razem ze mną. Będzie mi niezmiernie miło.

Dziwnie się poczuła. Mężczyzna proponuje jej spotkania w ogrodzie nocną porą. Nie miała żadnego doświadczenia w kwestiach damsko-męskich, ale słyszała i widziała różne rzeczy. W świecie poza klasztorem takie propozycje są pewnie codziennością, ale dla niej... Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Czy to wypada? Ale w końcu to tylko spacer, dlatego więc ma takie obawy i zastanawia się, czy ma przyjąć zaproszenie?

– Nie wiem, czy mi wolno... – powiedziała Ludwika cicho, jakby do siebie.

– A ktoś ci zabroni? Matka przełożona? Przecież i tak jej nie słuchasz. – Fryderyk sam nie wierzył, że to mówił. Namawiał zakonnice do złamania klasztornej regulaminu. Wiedział, że siostron nie wolno wychodzić bez pozwolenia, zwłaszcza nocą, a jednak kusił ją spacerem po ogrodzie i bardzo chciał, żeby dała się namówić. Nie poznawał sam siebie.

– Może czasami wybiorę się z tobą na nocny spacer po ogrodzie – powiedziała, patrząc w gwiazdy.

– Może być czasami – odpowiedział. – Zobaczysz, jak dobrze te spacerki wpłyną na twoje samopoczucie. Odstresują cię, wyciszą, dadzą siły na kolejny dzień.

Uśmiechnęła się. W blasku księżyca zobaczył lśniąco oczy otoczone gęsto zmarszczkami. Była nawet ładna mimo wieku. Zwłaszcza gdy się uśmiechała. Zastanawiał się, jak wyglądała w młodości. Znał ją od dziesięciu lat, była wzorową zakonnice. Tak przynajmniej uważała matka przełożona. Była... bo od pewnego czasu coś się zmieniło. Ludwika zaczęła zauważać świat poza klasztorem i o ile on się orientował, bardzo jej się ten świat podobał.

– Jak masz naprawdę na imię? – spytał Fryderyk.

– Ludwika, przecież wiesz.

– To imię zakonne. Pytam, jakie imię dostałaś na chrzcie.

– Elżbieta. Miałam na imię Elżbieta... Jak to dziwnie brzmi. Jak nie o mnie.

– Elżbieta, Ela... pięknie, tak miękko i ciepło.

Spuściła głowę. Czowała, że robi jej się gorąco. Tak ładnie wypowiedział jej imię. Boże, ratuj mnie, prosiła, bo czuła dziwnie miłe łaskotanie w brzuchu i coś jej mówiło, że nie wypada, żeby stara zakonnice czerpała przyjemność z niewinnych komplementów równie niemłodego księdza.

– Wolę Ludwikę – powiedziała trochę sztucznie.

– W porządku, Ludwiko. – Zauważył jej zmieszanie, a nie chciał jej denerwować. I tak trochę za dużo sobie pozwolił, nie planował tego, tak wyszło. – Z tego wszystkiego zapomniałem, po co tu przyszliśmy. Chyba chciałaś porozmawiać?

– Tak. – Próbowала pobierać myśli. – Chodzi o grób Marianny.

Z Fryderykiem mogła rozmawiać szczerze, wiedział przecież o wszystkim i czuła, że popierał to, co robiła.

– Co z tym grobem?

– Jej brat chce przejąć opiekę nad mogiłą. Postawić pomnik, dać tablice. To już nie będzie grób NN.

– I w czym problem? Niech to zrobi, jeśli chce.

– Ale wiesz, że...

– To nic nie zmieni. To tylko nagrobek. Twoja Marianna będzie dalej żyła spokojnie. Jest wiele zbieżnych nazwisk, to się zdarza. Powinnaś myśleć o duszy prawdziwej Marianny i za nią się modlić. Jak będzie wyglądał jej nagrobek, to naprawdę bez znaczenia.

– Masz rację... Aż się dziwię, że nikt się nie zorientował.

– Mam nadzieję, że tak zostanie. Jeśli to kiedyś nastąpi, ta cała... Jak jej naprawdę na imię?

– Zuzanna...

– Zuzanna... A więc, jeśli to się kiedyś wyda, to będzie się musiała dziewczyna grubo tłumaczyć.

– O mój Boże. Tego się boję, co ona wtedy pocznie? A Ares? Nie, nie, nawet nie dopuszczam do siebie takiej myśli.

– Spokojnie. Jeśli nie zadrze z prawem, raczej nikt nie będzie grzebał w jej życiu. Brat prawdziwej Marianny zaopiekuje się grobem, a Zuzanna będzie sobie spokojnie żyła dalej.

– Obyś miał rację...

– Mam. Wiele czasu minie, zanim ktoś się zorientuje. A być może to nigdy nie nastąpi. Chyba że ta Marianna czy tam Zuzanna sama zechce się ujawnić.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Nie wiem. Ale sama mówiłaś, że ona ukrywa jakąś tajemnicę. Może ta tajemnica zacznie jej ciążyć, a może coś się wyjaśni i nie będzie musiała się już ukrywać pod cudzym nazwiskiem. Życie jest pełne niespodzianek.

– O tak... – Ludwika pomyślała o swoim życiu, dawniej tak poukładanym i tak bardzo przewidywalnym, a od niedawna pełnym dziwnych zdarzeń. – Życie jest pełne niespodzianek – powtórzyła cicho.

*

Następnego dnia zakonnica na próżno czekała kilka godzin na brata prawdziwej Marianny. Chociaż był umówiony i zapewniał matkę przełożoną, że jest zdecydowany zaopiekować się grobem siostry, nie zjawił się w klasztorze. Nie odbierał również telefonu, zniknął równie nagle, jak się pojawił. Matka przełożona schowała przygotowane dla niego dokumenty do szarej teczki, którą następnie zamknęła w wielkiej szafie służącej za klasztorne archiwum.

– Myślę, że już się nie zjawi. Przemyślał sprawę i stwierdził, że nie ma sensu zajmować się grobem siostry.

– Może coś złego mu się przydarzyło? Był taki przejęty, gdy mu pokazałam grób Marianny – próbowała bronić młodego mężczyzny Ludwika.

– Nie sądzę, ale poczekajmy. Jak się nie zjawi, uznam sprawę za zamkniętą. Mam dość obowiązków wobec żywych potrzebujących. Ta kobieta już nie żyje, a od nas potrzebuje tylko modlitwy, jej grób, jakkolwiek by był, w żaden sposób jej nie pomoże.

Ludwika nie miała pojęcia, dlaczego brat Marianny nie podjął się opieki nad mogiłą siostry, chociaż tak bardzo tego chciał. Miała tylko nadzieję, że nic złego mu się nie stało. Prawdę mówiąc, jego decyzja właściwie była jej na rękę. Oddaliła, przynajmniej na jakiś czas, niebezpieczeństwo zdemaskowania Zuzanny.

Późnym popołudniem zakonnica wybrała się na cmentarz. Szła wolno, myśląc zupełnie o czym innym niż zwykle, gdy odwiedzała mogiły bezdomnych. W jej głowie aż się kotłowało. Na nowo przeżywała wczorajszy wieczór. Wspominała ciepły głos Fryderyka, jego spojrzenia i delikatny przypadkowy dotyk. Te natarczywe myśli ku jej rozpaczy sprawiały jej przyjemność. Tak bardzo pograżyła się we wspomnieniach, że mijała kolejno groby, przy żadnym się nie

zatrzymując. Opamiętała się dopiero, gdy dotarła pod sam mur cmentarza.

– O mój Boże! Co ja wyprawiam? – spytała sama siebie i czym prędzej zawróciła. Na jednym z grobów czekała na nią wiadomość. Pod palącym się dużym zniczem tkwiła złożona kartka. Ludwika delikatnie ją wyjęła.

„Przepraszam, że nie stawiłem się na umówione spotkanie, ale zrozumiałem, że moja siostra nie chciała być odnaleziona. Niech więc tak zostanie. Z całego serca dziękuję za opiekę nad jej mogiłą.

Wdzięczny za wszystko Antek”.

Uśmiechnęła się. Na razie Zuzanna jest bezpieczna. Poprawiła odruchowo znicze na grobie i poszła na prawdziwy grób Marianny.

– Wybacz, że wprowadziłam twojego brata w błąd, ale sama rozumiesz. Tobie już wszystko jedno, a ta biedna dziewczyna miałaby kłopoty. Niech twoja dusza zazna spokoju wśród innych szczęściarzy oglądających Boga – szeptała, poprawiając wazonie kwiaty, które zapewne przyniosła Zuzanna. Mimo że właściwie wszystko układało się pomyślnie dla jej młodej przyjaciółki, zakonnica nie mogła się na niczym skupić. Nawet modlić się nie potrafiła z taką pobożnością jak zwykle. Nie rozumiała, co się z nią dzieje, a może rozumiała, tylko bała się prawdy. Dopadło ją uczucie, jakiego do tej pory nie знаła, a najgorsze było to, że nie potrafiła tego uczucia opanować.

*

Wiktor bywał u Marianny prawie codziennie. Często wpadał ze swoim siostrzeńcem, który w końcu zaakceptował Aresa, mimo że był on „maluchem”. Chłopcy najczęściej bawili się klockami Lego. Ares miał ich całe mnóstwo.

Marianna szykowała kolację dla całej czwórki, gdy do kuchni wszedł Wiktor. Podeszedł do niej od tyłu, przytulił się do jej pleców, całując jednocześnie jej szyję.

– Mrrrr – zamruczał, wzmacniając uścisk. – Pragnę cię – wyszeptał.

Kobieta się uśmiechnęła. Też miała ochotę zapomnieć się w jego ramionach, ale nie byli przecież sami. Chłopcy byli wprawdzie zajęci budową stadionu z klocków, ale w każdej chwili któryś mógł wparować do kuchni, nie mogli sobie pozwolić na miłosne uniesienia w tym akurat momencie. Jedyne, co im pozostało, to namiętny pocałunek, i to nie za długi, bo malcy wykazali się perfekcyjnym wyczuciem czasu i jeden za drugim wbiegli do kuchni.

– Mamo, pić mi się chce!

– Ciocia, pić!

Para odskoczyła od siebie w ostatniej chwili.

– Już wam nalewam. Woda z sokiem może być?

*

Godzinę później Wiktor z Wojtusiem zbierali się do domu. Chłopcy niechętnie się rozstawali, dzisiaj zabawa szła im wyjątkowo zgodnie.

– Już późno. Rano trzeba wstać do przedszkola i do pracy. Zbieramy się. – Wiktor był bezwzględny.

– No dobra... Cześć, Ares – pożegnał się z kolegą zrezygnowany Wojtek.

Mariannie było żal chłopców, ale nie dała tego po sobie poznać. Z kamienną miną stała przy drzwiach wyjściowych.

– Jutro po przedszkolu gdzieś razem pójdziemy. Obiecuję. – Wiktor czule poczochnął czuprynę Aresa i pochylił się do Marianny.

– Wróć za godzinę, nie zaśniesz? – szepnął jej prosto do ucha.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– Godzinę chyba wytrzymam, chociaż nie ukrywam, że jestem zmęczona – odpowiedziała, figlarnie mrużąc oczy.

To była chyba najdłuższa godzina w jej życiu. Zdążyła posprzątać zabawki, włożyć naczynia do zmywarki, wzięła szybki prysznic i ubrała się w nowiutki szaro-różowy dres, zajrzała do śpiącego Aresa i co chwilę zerkała na zegarek. Wydawało jej się, że czas zwolnił, a może się zatrzymał. Wciąż miała jeszcze pół godziny do przyjścia Wiktora. Zaczęła się nerwowo rozglądać po pokoju, jej wzrok padł na szkatułkę z macicy perłowej. Uśmiechnęła się i położyła na niej dłoń.

– Będzie dobrze, skarbie, będzie dobrze... – powiedziała.

W tej chwili rozległ się dzwonek domofonu.

– Jestem już, wyjątkowo długa ta godzina... – usłyszała w słuchawce ciepły głos Wiktora.

Otworzyła mu z bijącym sercem. Gdy czekała na niego przy drzwiach, zerknęła w lustro i przeszło jej przez myśl, że dres nie był dobrym pomysłem na romantyczne spotkanie, nawet nowy i jak na dres dość elegancki. Ale nie miała już czasu się przebrać. Wiktor wpadł dosłownie jak burza, chwycił ją w ramiona i zaczął okrywać pocałunkami. Stało się zupełnie nieważne, w co była ubrana.

Apollo

Joachim spacerował po pustym ogrodzie, próbując zebrać myśli. Kilka lat minęło od tego tragicznego zdarzenia. Wszystko pomału zaczęło się układać, stare rany zdawały się goić, a tu nagle... Okazało się, że tamta historia ma ciąg dalszy. Jak to możliwe? – myślał. – Ta dziewczyna przechytrzyła wszystkich. Wprawdzie on sam miał wątpliwości co do ustaleń policji, ale w końcu przyjął do wiadomości oficjalną wersję przebiegu wydarzeń, jak chyba wszyscy zainteresowani.

– Joachim... tu jesteś. Co się dzieje? Czemu chodzisz o świcie po ogrodzie? Nie możesz spać? – Agnieszka otulona w miękką chustę zarzuconą na koszulę nocną wyłoniła się zza drzewa i od razu zalała go potokiem pytań. Właściwie go to nie zdziwiło. Mógł się spodziewać, że szybko odkryje jego nieobecność w sypialni. Miała czujny sen i wyjątkową intuicję. Była cudowna, tak bardzo ją kochał, a ona kochała jego. Był tego pewny.

– Chodź tu do mnie, bo zmarzniesz. Poranki są już chłodne. – Objął ją i przytulił do siebie.

– Masz jakiś problem, widzę to. Od paru dni chodzisz jakiś zamyślony. – Przyłgnęła mocniej do niego i podniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Obawiam się, że my mamy problem – powiedział cicho, nie spuszczać z niej wzroku.

– Co się dzieje? Powiedz mi, proszę, bo zaraz zwariuję.

– Dobrze, ale wejdźmy do domu. Nie chcę, żebyś się przeziębiła.

Wracali w milczeniu, mijając krzaki białych róż, których było tu całe mnóstwo. Nim weszli do środka, mężczyzna spojrzął na dom obok. Dom jego syna i jego rodziny. Miał nadzieję, że powracająca przeszłość nie zaburzy spokoju, jaki tam panował.

*

– Ale jak to możliwe? Jak ona sobie poradziła? Jeśli to jest ona... – drżącym głosem wyrażała swoje zdziwienie Agnieszka. Trzymała w dłoniach jedną z patchworkowych narzut. Siedzieli w przytulnej kuchni przy kubkach aromatycznej kawy, której Joachim zażyczył sobie, nim zaczął zdawać żonie relację.

– Nie było łatwo, ale dotarłem do dostawcy tych kap. Na początku nie chciał zdradzić źródła ich pochodzenia, ale... – Joachim westchnął i na moment zawiesił głos – udało mi się go przekonać.

– To Zuzy? Jesteś pewien?

– Masz wątpliwości? – Otworzył schowek pod kuchennym blatem i wyjął następną patchworkową narzutę. Podał ją żonie.

Agnieszka wstrzymała oddech. Nie miała wątpliwości. To było dzieło Zuzanny. Widziała ich całe mnóstwo, zanim spłonął dom Apolla. Wzięła narzutę do ręki i niepokój zalał jej serce.

– Co teraz będzie? Joachim...

– A co ma być? Według mnie tej dziewczynie wróciła pamięć. Wszystko zrozumiała i na nasze szczęście postanowiła zniknąć, nie komplikując nikomu życia. I za to jestem jej wdzięczny, jednocześnie bardzo jej współczuję. Wyobrażam sobie, co przeżywała.

– Spaliła wasz dom... – szepnęła Agnieszka tak cicho i niepewnie, że Joachim bardziej się domyślił, niż usłyszał, co powiedziała.

– Myślę, że ona dokładnie to przemyślała. W ten sposób mogła zniknąć, pozorując swoją śmierć w płomieniach, a także w pewien sposób zemścić się na Apollu za to, co jej zrobił. Myślę,

że biżuterię, która w tajemniczy sposób zaginęła, też ona zabrała. Tylko tak mogła sobie zapewnić nowe życie.

– Nie wiem, co o tym myśleć. Żal mi jej, tyle przeszła, ale z drugiej strony chodzi o szczęście mojej córki... i twojego syna.

– Ależ skarbie – mężczyzna ujął ręce Agnieszki i mocno je ścisnął – przecież ona po to zniknęła, żeby tego szczęścia nie burzyć. Nie rozumiesz tego? Spalony dom to i tak mała kara za to, co Apollo jej zrobił. Nieświadomie wprowadzie, działał w dobrej wierze, ale co z tego wyszło, sama wiesz.

– Masz rację. Ale i tak się boję o przyszłość naszych dzieci. Przecież Apollo będzie chciał wiedzieć, czy ona żyje, czy te kapy to na pewno jej robota. Będzie chciał ją odnaleźć. To może wszystko zniszczyć. Jak Eliza się dowie... – Agnieszka była bliska płaczu.

– Spokojnie. Mój syn potrafi być dyskretny i zrobi wszystko, by nie zranić Elizy. Rozmawiałem z nim.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie będzie chciał sprawdzić, czy Zuza żyje? Jak sobie radzi? Gdzie mieszka? A może on wciąż ją kocha...

– A czy ty wciąż mnie kochasz? – zapytał nieoczekiwanie Joachim.

– No pewnie, jak możesz pytać? Przecież wiesz – odparła zaskoczona Agnieszka.

– Wiem... dlatego uwierz mi, że ani ja, ani mój syn nie zrobimy nic, żeby zranić nasze ukochane kobiety.

– Tobie wierzę, ale Apollo... On czasami postępuje dziwnie w imię miłości – powiedziała jakby do siebie, miętosząc w dłoniach patchworkową narzutę.

– Zachowaj, proszę, spokój, bo pożałuję, że ci powiedziałem. I schowaj to. Eliza tu idzie – powiedział, patrząc w okno.

Agnieszka szybko ukryła kapę, a na jej twarzy pojawił się szczery, chociaż może nieco smutny uśmiech.

– Dzień dobry. Widziałam, że już nie śpicie, ranne z was ptaszki – powiedziała wesoło Eliza, wchodząc do kuchni.

– Szkoda tak pięknego poranka na spanie. Może kawy? – Joachim starał się, by wszystko wypadło naturalnie. Ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, było zmańcenie sielanki, jaka od kilku lat panowała w życiu jego i Apolla.

– Poproszę. – Eliza usiadła koło matki, a Joachim zaczął robić kawę. – Coś taka markotna, mam? – Młoda kobieta zaczęła się przyglądać matce.

– Nic się przed tobą nie da ukryć. Mamy dylemat... – odpowiedziała Agnieszka, a Joachim spojrział na nią z obawą.

– O co chodzi? – spytała Eliza.

– Niby drobiazg, ale... Joachim chce mnie wyciągnąć na wycieczkę, a ja mam artykuł do skończenia. Ważny artykuł, nie mogę go schrzanić.

Mężczyzna odetchnął z ulgą. W myślach zganił sam siebie za to, że przez chwilę zwątpił w rozsądek żony.

– No właśnie – wtrącił się do rozmowy. – Twoja mama wciąż ma problem z oddzieleniem pracy od życia rodzinnego. Dzisiaj jest sobota. Sprawy służbowe powinny zejść na drugi plan.

– Mamo, Joachim ma rację. Za dużo pracujesz. Ta twoja redakcja jest zbyt wymagająca.

– To nie tak. Redakcja jest w porządku, to ja mam przerost ambicji. Osiągnęłam pewien poziom i za nic nie chciałabym go obniżyć.

– To ci nie grozi. Jesteś naprawdę dobra w tym, co robisz, mamo.

– Czyli dwa do zera. Jedziemy na wycieczkę. – Joachim zatarł ręce z zadowoleniem.

– A dokąd zabierasz mamę? – spytała Eliza.

Joachim tylko przez chwilę wydał się zaskoczony.

- Myślałem o Pradze. Piękne miasto. W sam raz na wycieczkę z ukochaną osobą.
 - Świetnie. Też tak słyszałam, ale nigdy tam nie byłam. Musicie tam pojechać. To takie romantyczne. – Elizie udzielił się entuzjazm Joachima.
 - Sama nie wiem. Wciąż mnie zaskakujesz. – Agnieszka spojrzała na Joachima.
 - To chyba dobrze. Przynajmniej w naszym związku nie jest nudno.
 - Oj tak. Nudno to u nas nie jest – odpowiedziała Agnieszka z tajemniczym uśmiechem.
- *

Mknęli drogą szybkiego ruchu. Po obu stronach ciągnął się szpaler wysokich drzew.

- Już tylko pięćdziesiąt kilometrów i będziemy na miejscu. – Joachim spojrzał czule na Agnieszkę.
 - Życie jest naprawdę pełne niespodzianek. Budząc się rano, nawet nie pomyślałam, że najbliższy wieczór i noc spędzimy w Pradze.
 - W gruncie rzeczy to twoja zasługa. Ty wypaliłaś z tą wycieczką.
 - A ty z Pragą.
 - Ale w sumie dobrze wyszło. – Położył dłoń na jej dłoni i delikatnie ją ścisnął. – A w Pradze dawno nie byłem, chętnie ją znowu odwiedzę. Zobaczysz, jaka jest piękna.
 - Z tobą wszędzie jest pięknie – powiedziała czule Agnieszka.
 - Wiesz, jak się cieszę, że ciebie mam. Ja, stary obieżyświat niemogący nigdzie zagrać na dłużej miejsca, znalazłem szczęście przy tobie. I wcale nie mam już ochoty włączyć się po świecie bez celu. Chyba że po Pradze z tobą.
- Agnieszka się uśmiechnęła. Ona też czuła się szczęśliwa przy Joachimie. Wcześniej różnie z nią bywało, odkąd była z nim, wszystko wydawało się piękne. Tylko teraz ta sprawa z Zuzanną zakłócała jej spokój. To nieco przyćmiło radość z nieoczekiwanej wycieczki.
- *

Zakwaterowali się w hotelu, który Joachim wynalazł w Internecie tuż przed wyjazdem, i od razu ruszyli na zwiedzanie miasta. A było co oglądać. Pełne turystów urokliwe uliczki z domami o czerwonych dachach tętniły życiem. Joachim z Agnieszką wtopili się w ten kolorowy tłum i podziwiali okolicę, popijając czeskie piwo. Trzymali się za ręce i prawie nie odzywali do siebie. Dopiero na moście Karola Agnieszka wróciła do dręczącego ją tematu.

- Tu jest pięknie – powiedziała – ale nie mogę przestać myśleć o Zuzannie.
- Ja też. Sądziłem, że potrafię nad tym panować, ale tak nie jest. Ta dziewczyna nie daje mi spokoju.
- Może to jednak nie ona? – Eliza chwyciła się resztek nadziei.
- Widziałaś narzutę. Masz wątpliwości?
- Właściwie nie. Ale myślę nad tym, co powiedziałeś, że ona celowo zniknęła z życia Apolla, żeby mu nie szkodzić.
- Jestem tego pewny. W przeciwnym razie już dawno zniszczyłaby mu życie.
- Dlaczego więc tak nas to męczy? Może powinniśmy o tym zapomnieć.
- Apollo chce poznać prawdę. To on wypatrzył te kapy. Zrozum go. On kocha Elizę i Oleńkę, ale Zuza...
- Tak, wiem, kim była dla niego Zuza, i to mnie martwi. Współczuję tej dziewczynie, ale myślę o swoim dziecku. Też postaraj się mnie zrozumieć.
- Rozumiem cię aż nadto. Ale rozumiem też Apolla. Czuje się winny. Byłoby mu łatwiej, gdyby wiedział, że Zuzanna ma się dobrze.

– Najwidoczniej tak właśnie jest. Urządziła się gdzieś daleko stąd i żyje sobie spokojnie, nie maćmy tego.

– Łatwo mówić. To tylko kapy, nie ma pewności... On chciałby wiedzieć, ja chyba też.

– Ja mam pewność i myślę, że Apollo też. Tylko nie wiem, dlaczego chce to drążyć. – Podniosła nieco głos, co zwróciło uwagę jakiegoś turysty. Zatrzymał się na chwilę, ale chyba doszedł do wniosku, że nie jest ciekaw, o czym rozmawiają, i poszedł w swoją stronę. – Jak chcesz, to sprawdzimy. Wiesz, gdzie mieszka ta dziewczyna?

– Tak. Wciąż mam dobrych znajomych. Mam jej adres, ale to daleko.

– Miejmy to już za sobą. – Agnieszka była gotowa wyruszyć nawet w tej chwili, by się przekonać, czy ta dziewczyna to naprawdę Zuzanna.

Marianna

Marianna i jej synek byli w pobliskim parku na placu zabaw. Niebawem miał do nich dołączyć Wiktor z Wojtkiem. Asekurowała Aresa, który z radością korzystał z zakręconej zjeżdżalni, gdy w torebce zadzwonił jej telefon. Pomyślała, że to pewnie Wiktor. Przyszło jej nawet do głowy, że może coś mu wypadło i nie będzie mógł przyjść. Posmutniała na tę myśl, ale gdy spojrzała na telefon, poczuła ulgę. To nie był Wiktor. Dzwonił mężczyzna, który odbierał od niej patchworki. Trochę zdziwiona odebrała.

– Słucham...

– Dzień dobry. Przepraszam, może przeszkadzam, ale mam ważną sprawę. Mogę zająć chwilkę?

– Tak, oczywiście, o co chodzi?

– Chodzi o pani piękne narzuty...

– Pewnie słabo się sprzedają, są chyba niemodne... Ale proszę się nie martwić, mam już pracę – przerwała mu, pewna, że chce jej powiedzieć, że nie będzie już od niej kupował narzut.

– Ależ nie. Wręcz przeciwnie. Mam ekstra zamówienie na czterdzieści sztuk.

– Ale... jak to?

– No tak, pani Marianno. Komuś bardzo się spodobały pani patchworki. Klient zamówił taką dużą partię. Myślałem, że się pani ucieszy...

– No... cieszę się, ale aż tyle? Nie wiem, czy dam radę, podjęłam pracę. – Marianna była bardzo zaskoczona.

– Będzie odbierał systematycznie po kilka sztuk. Nie określił konkretnego terminu.

Marianna przez chwilę milczała. Lubiła szyć kapy, były jakby nicią łączącą ją z przeszłością, o której z jakiegoś powodu nie chciała zapomnieć, ale ostatnio coraz mniej miała na to czasu.

– To jak? Halo... jest pani tam? Co mam odpowiedzieć klientowi?

– Tak, tak, jestem. Sama nie wiem. Kim jest ten klient? Wie pan coś o nim? – Jakieś czerwone światełko zapaliło się w jej głowie, lecz zaraz zgasło, bo na horyzoncie pokazał się Wiktor. Stał nieopodal i czekał, aż skończy rozmowę. Zachował się bardzo dyskretnie, ale ona straciła czujność, która na moment zjawiła się w jej umyśle.

– Nie wiem zbyt wiele. Był gdzieś nad morzem i zachwycił się pani pracą.

– Dobrze. Proszę powiedzieć, że zamówienie przyjęte. Do zobaczenia. – Szybko zakończyła rozmowę i spojrzała na Wiktora. Był sam.

– A gdzie Wojtek?

– Dziadkowie zabrali go na rejs statkiem po rzece. Zupełnie zapomniałem, że mu to obiecali. Mam nadzieję, że Ares nie będzie zawiedziony skazany tylko na moje towarzystwo.

– On cię przecież uwielbia... – Nie zdążyła dokończyć, gdy podbiegł do nich Ares.

– Wujek! Wujek!

Mężczyzna chwycił go na ręce i podrzucił do góry. Chłopiec piszczał z zachwytu. Marianna przyglądała się tej zabawie ze smutnym uśmiechem. Widziała, jak bardzo jej synkowi brakuje ojca. Gdy Ares był malutki, nie myślała o tym. Wydawało jej się, że ona mu wystarczy, że będzie dla swojego syna i matką, i ojcem. I tak było, do czasu. Przez pierwsze dwa lata była dla niego całym światem. Ale im Ares był starszy, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że w pewien sposób skrzywdziła swoje dziecko, świadomie pozbawiając je ojca. Czy Wiktor mu go zastąpi? Czy przyzwyczai do siebie, pozwoli się pokochać, a potem zniknie z życia ich

obojga? Wzdrygnęła się na tę myśl. Ona sama zdążyła się już zadurzyć w Wiktorze i nie wyobrażała sobie, żeby mogło go nagle zabraknąć. Nie była pewna, jak on traktuje ich znajomość. Może są dla niego tylko chwilową przygodą? Może niedługo się nimi znudzi? Natarczywe myśli nie dawały jej spokoju.

– Ej, coś tak posmutniała? Proszę o uśmiech, bo i ciebie zacznę podrzucać. – Wiktor wykonał ruch, jakby chciał ją pochwycić i podrzucić, ale umknęła mu w ostatniej chwili.

– O nie, tylko nie to! – krzyknęła ze śmiechem.

– W porządku. My pobawimy się później. – Dotknął jej ramienia i puścił do niej oko. – Teraz zabieram was na lody.

– Lody, lody – powtarzało wesoło dziecko, biegając naokoło matki i Wiktora.

*

Było już późno. Mały Ares spał, a Marianna przeglądała kawałki materiałów, które mogłaby wykorzystać do szycia narzut. Po wstępnym rozpoznaniu stwierdziła, że starczy ich najwyżej na kilka sztuk, nici też jej się kończyły. Będzie musiała się wybrać na zakupy. Niespodziewanie dopadło ją wspomnienie: siedziała na dywanie i układała kwadraty materiału, gdy się zorientowała, że braknie jej na całą narzutę, bez wahania sięgnęła po sukienkę leżącą na oparciu krzesła i ją pocięła. Uśmiechnęła się sama do siebie. Pamiętała, że wtedy zaczęło do niej coś docierać. Jakieś strzępy dawnego życia przebijały się przez jej myśli, aż do momentu tego strasznego zdarzenia. Gdy tylko przypomniała sobie ten koszmar, w jej umyśle nagle zatrzaszkiwały się drzwi i wszystko się urywało, był tylko Apollo. Z nim czuła się bezpieczna.

– Apollo... – szepnęła i zamknęła oczy, przywołując w pamięci jego twarz. W tym momencie usłyszała dźwięk przychodzącej wiadomości. Sięgnęła po telefon.

„Dziękuję za przyjemny wieczór i życzę miłych snów. Dobranoc”.

Przeczytała wiadomość i dotknęła palcami swoich ust. Poczowała smak pocałunku, jakim pożegnał ją Wiktor. Zrobiło jej się dziwnie nieswojo. Dawne wspomnienie Apolla mieszało się z całkiem nowym wspomnieniem Wiktora. Nagle zdała sobie sprawę, że boi się przyszłości. Jak sobie poradzi z nawracającymi myślami o dawnym życiu, jak to pogodzi z nowym życiem? Czy jej umysł to zniesie? A jeśli wszystko się wyda? Albo powróci niepamięć? Co się stanie z Aresem? Mnóstwo niepokojących myśli kłębiło się w jej głowie. W końcu rozplakała się z bezradności i żalu, jaki ją ogarnął. Chwilę chlipała, gdy usłyszała kolejną nadchodzącą wiadomość. Otarła łzy i sięgnęła po telefon.

„Wszystko w porządku? A może już śpisz?”

Wiktor najwidoczniej spodziewał się odpowiedzi. Gdy jej nie uzyskał, zaniepokoił się, a może miał jakieś przeczucie.

„Nie wiem, nic nie jest w porządku...” – Sama nie wiedziała, dlaczego wysłała mu tę niepokojącą wiadomość. Chyba potrzebowała męskiego wsparcia. Zbyt dużo się zważyło na jej drobne barki.

Odpowiedział dopiero po chwili.

Spojrawszy na wyświetlacz, zerwała się na równe nogi i podbiegła do drzwi. Gdy tylko je otworzyła, wpadł przez nie z impetem Wiktor.

– Co ty tu robisz? – spytała.

– Co się dzieje? Skarbie, ty płaczesz? – Chwycił ją w ramiona i przytulił.

Teraz rozplakała się na dobre. Nie zważała na nic, wraz ze łzami wyrzuciła z siebie cały smutek i żal. A on tulił ją i głaskał po głowie, o nic nie pytając. Gdy już opadła z sił, a w oczach zdało się brakować jej łez, spojrzała na niego z wdzięcznością. Czule pocałował ją w czoło i wziął na ręce. Zaniósł Mariannę do sypialni, położył na łóżku, sięgnął po kolorową kapę i ją

przykrył.

– Odpocznij. Ja będę czuwał, by nic nie zmaćło twojego snu. Wszystko się ułoży, kochanie, nie martw się niczym.

Był taki czuły i spokojny. Marianna dopiero teraz poczuła, jaka jest wyczerpana. Jednego tylko w tej chwili pragnęła, zasnąć. Nie myśleć o niczym, tylko zamknąć oczy i popłynąć w krainę snu.

*

Obudził ją zapach kawy. Przez chwilę zastanawiała się, gdzie jest. Czowała się wyspana i rozluźniona. Dobięgały ją czyjeś głosy, jakby znajome. Usiadła na łóżku.

– O, już nie śpisz? – Do sypialni wszedł Wiktor, a za nim przydreptał Ares.

– Co ty tu...? – Pamięć płatała jej figle, dopiero po chwili przypominała sobie ostatni wieczór. – Byłeś tu całą noc? – Patrzyła ze zdziwieniem na mężczyznę.

– Obiecałem nad tobą czuwać, nie pamiętasz?

– Trochę tak, chyba źle się czułam, przepraszam. Aresku, już ci robię śniadanie. – Chciała wstać z łóżka, ale zakręciło jej się w głowie.

– Powoli. Ares już po śniadaniu. Pozwoliłem sobie zajrzeć do lodówki – zrelacjonował swoje poczynania Wiktor.

– Dziękuję. Nie wiem, co mnie wczoraj napadło.

– Dobrze, że minęło. Widzę, że dzisiaj masz już dużo lepszy nastrój. Wskakuj pod prysznic, ja ci zrobię kawę i odwiozę cię do pracy, a Aresa do przedszkola.

– Kochany jesteś, ale nie musisz.

– Wiem. Ale chcę, jeśli nie masz nic przeciwko.

Nie miała.

*

Bolały ją kolana, dokuczał kręgosłup. Wierciła się w ławce, myśląc tylko o jednym, żeby ta adoracja jak najszybszej się skończyła. Inne zakonnice zerkały na nią ze zdziwieniem, zastanawiając się zapewne, co się ostatnio dzieje z siostrą Ludwiką, bo że się zmieniła, zauważyły wszystkie. Nie mówiły tego głośno, ale szeptały po kątach, prześcigając się w domysłach nad powodem tej zmiany.

W końcu mogła wstać z kolan. Usiadła w ławce z ulgą i równocześnie poczuciem winy. Nie tak powinna wyglądać modlitwa zakonnicy. Będzie musiała porozmawiać o tym z Fryderykiem, tylko nie wiedziała, czy powinna wyznać to w konfesjonale jako grzech, czy raczej poruszyć ten temat w ogrodzie, gdzie mieli się dzisiaj o zmroku spotkać całkiem prywatnie i w zupełnej tajemnicy. Wybrała drugą opcję.

Po obiedzie planowała odwiedzić Mariannę. Na szczęście matka przełożona cofnęła jej zakaz spotkań z dziewczyną. Być może wpłynął na to Fryderyk. Tego Ludwika nie wiedziała, ale ta wiedza nie była jej specjalnie potrzebna. Ważne, że mogła znowu widywać Mariannę i małego Aresa. Łapała się na tym, że bardzo za nimi tęskniła. Karmiąc dzisiaj jakąś bezdomną staruszkę, myślała o Mariannie i jej synku. Zastanawiała się nad upominkiem dla małego. Pragnęła go rozpieszczać, jak to robią prawdziwe babcie. Niestety miała ograniczone możliwości finansowe. Nie miała swoich pieniędzy. Każdy zakup musiała konsultować z przełożoną. Pamięta, jak długo zajęło jej przekonanie matki przełożonej do zakupu prezentu urodzinowego dla Aresa. Poparły ją inne siostry i ojciec Fryderyk, ostatecznie dostała pozwolenie na kupno konia na biegunach. Gdy sobie przypominała, jak się chłopiec ucieszył z tego prezentu, zrobiło jej się przyjemnie. Bardzo by chciała znowu zobaczyć tę radość w oczach Aresa.

– Mmm, mmm – dobiegły do jej uszu jakieś nieartykułowane dźwięki. Nagle poczuła uderzenie w przedramię. Dopiero po chwili zorientowała się, że to pani Józefa protestuje, zaciskając usta i bijąc ją swoimi kościstymi rękoma.

– Już dobrze, pani Józefo, niech pani przestanie – próbowała uspokoić chorą kobietę, która robiła się coraz bardziej agresywna. Na pomoc przebiegły nowicjuszek i wspólnymi siłami okiełznały staruszkę.

– Co tym razem ją tak zdenerwowało? – spytała młoda siostra.

– Nie wiem, jak zwykle jakiś niezauważalny drobiazg. Ta biedna kobieta nie panuje nad sobą. Starość bywa ciężka. – Ludwika nieraz się zastanawiała, dlaczego na starość ludzie tak często stają się agresywni. Nie wszyscy oczywiście, niektórzy są pokorni, jakby pogodzeni z losem, czekają, aż Bóg zabierze ich do siebie. A inni, jak pani Józefa, robią się zawzięci, agresywni.

*

Schodziła po schodach w ciemności. Wiedziała wprawdzie, że żadna siostra do rana nie wyściubi nosa ze swojej celi, ale wołała być ostrożna. Przede wszystkim nie mogła się narazić przełożonej. I tak czuła się winna. Po raz kolejny zrobiła coś, co nie dawało jej spokoju. Ale gdy tylko przypomniała sobie wyciągnięte rączki i uśmiech na widok małego autka, które podarowała Areskowi, jej wina wydała się taka maleńka.

W przyklasztornym ogrodzie była pierwsza. Przymknęła cicho furtkę i ruszyła wąską alejką w głąb ogrodu. Wdychała nocne chłodne powietrze i czuła smutek, że inne siostry nie mogą tego poczuć. Cóż jest złego w spacerze po ogrodzie? Dlaczego zakonnice mogą tu przebywać tylko wtedy, gdy wykonują jakąś pracę? Grabią, plewią, noszą ciężkie wiadra z wodą, by podlać co słabsze rośliny. Nie zdarzyło się, by któraś przyszła tu wyłącznie dla przyjemności. Ona była pierwsza, tak jej się przynajmniej wydawało. Usiadła na ławeczce pod drzewem i podziwiała srebrny księżyc prześwitujący między gałęziami.

– Jesteś już? Długo czekasz? – Gdzieś z ciemności wyłonił się Fryderyk.

– Tylko chwilkę. Ale tu jest tak pięknie, nie nudziłam się.

– Cieszę się, że polubiłaś spacer po ogrodzie.

– Bardzo. Pewnie za bardzo... nie powinnam czerpać przyjemności z tak przyziemnych rzeczy.

Duchowny westchnął.

– Kto wam nawkładał tego do głów? Niby dla kogo Bóg to stworzył? Dla nas, dla ludzi. Dla wszystkich ludzi. Każdy ma prawo cieszyć się pięknem przyrody.

– Mam wrażenie, że nie każdy – powiedziała cicho Ludwika, spuszczaając głowę.

– Co cię tym razem gnębi? – Fryderyk poznał ją już na tyle dobrze, że od razu zorientował się, że coś jej dolega.

– Pytasz jako ksiądz czy...

– Pytam jako przyjaciel. Jeśli mogę się za niego uważać – odpowiedział z trochę niepewnym uśmiechem.

– Ależ oczywiście. Jesteś moim przyjacielem. To znaczy, bardzo bym chciała, żebyś nim był... – Znowu spuściła głowę.

Usiadł przy niej i położył dłoń na jej dłoni. Poczuł, jak lekko drgnęła, ale nie cofnął ręki, przeciwnie, delikatnie ją zacisnął, na wypadek gdyby ona chciała zabrać swoją.

– Ludwiko... proszę, postaraj się nie denerwować, odetchnij głęboko i powiedz, co cię niepokoi. Zapomnij na chwilę, że jesteś zakonnica, a ja księdzem. Tak będzie nam się łatwiej rozmawiało.

– Ja chyba ostatnio za często zapominam, że jestem zakonnica. Powinnam się wypowiadać.

Przemawiało przez nią takie poczucie winy, że Fryderyk przez chwilę się zastanawiał, czy rzeczywiście spowiedź nie przyniosłaby jej ulgi. Szybko jednak odrzucił tę myśl.

– Umówmy się, że tu, w tym ogrodzie, przestaję być księdzem. Spróbujmy porozmawiać jak normalni ludzie.

– To znaczy, że tak naprawdę nie jesteście normalni? – spytała i cicho zachichotała.

Fryderyk się ucieszył. Zachowanie Ludwiki oznaczało, że kobieta ma do siebie dystans, a życie w zakonie nie wyzuło jej całkiem z ludzkich odruchów i reakcji.

– Właściwie to chyba tak o nas myśli większość ludzi – zauważył. – Ale sami jesteśmy sobie winni. Stworzyliśmy zbyt duży dystans między świeckimi a duchownymi. Według mnie to błąd. To, że jesteśmy bardziej pobożni, nie znaczy, że jacyś inni.

– Chyba jesteśmy... takie mam odczucie, gdy rozmawiam z kimś spoza klasztoru. No może tylko Ares traktuje mnie jak... – zamyśliła się. – Jak swoją babcię – dodała po chwili. I zamilkła.

– I masz z tym problem? – zapytał Fryderyk.

– A nie powinnam? Nie jestem jego babcią, nie jestem nawet krewną.

– I co z tego? Czy radość z czasu spędzonego z tym dzieckiem nie przynosi ci siły, ochoty do lepszej pracy w przytułku na przykład?

– Tak, tak właśnie jest. Gdy opiekuję się chorymi i myślę o Aresie, o tym, jak się śmieje i bawi, to chce mi się śpiewać do tych biedaków, pocieszam ich i rozweselam, mam jakby więcej siły. – Ludwika się ożywiła, oczy błyszczały jej w blasku księżyca jak u młodej dziewczyny.

– Dlaczego więc czujesz się winna? Co złego czynisz?

Przez chwilę trwała w milczeniu, w końcu się odezwała. Mówiła tak cicho, że musiał się schylić, żeby ją słyszeć.

– Oszukuję... oszukuję matkę przełożoną. Dzisiaj na przykład kupiłam kilka zniczy mniej, żeby zaoszczędzić na zabawkę dla Aresa. On tak się cieszył z tego prezentu. Ale to nie wszystko...

– Coś jeszcze? – spytał równie cicho, jak ona mówiła.

– Tak. Tęsknię...

– Tęsknisz? Co w tym złego?

– Tęsknię za bardzo. Za Marianną, za małym. Nie mogę się skupić na modlitwach, nie mogę spać, bo rozmyślam, jak tu podejść matkę przełożoną, żeby mi pozwoliła znowu odwiedzić moje dzieci. I...

– I?

– Tego się wstydzę najbardziej, ale tęsknię za tobą. Uwielbiam te nasze spotkania w ogrodzie. Wybacz mi, Boże... – Wzniosła oczy ku niebu.

– Ja też lubię te nasze rozmowy i też niecierpliwie na nie czekam. To nie grzech, Ludwiko.

Uśmiechnął się do niej. Nawet mu schlebiali, że to powiedziała. Teraz lepiej rozumiał słabości innych zakonników, którzy spowiadali się ze zbyt ich zdaniem dużego zaangażowania w przyjaźń z osobami świeckimi. Być osobą duchowną nie jest wcale łatwo, pomyślał. Zbyt dużo się od nich wymaga. Osobiście nie widział nic złego w tym, że spotyka się z Ludwiką w ogrodzie. Ona widocznie inaczej na to patrzyła.

– Jeśli to nic złego, to dlaczego robimy to po kryjomu, pod osłoną nocy? Dlaczego...?

– Ciii... – uciszył ją krótkim słowem i gestem. – Dla mnie to też jest niezrozumiałe, ale takie są zasady w tym klasztorze i ja ich zmienić nie mogę. Tylko absolutnie nie uważam tego za

grzech i ani się waży z tego spowiadać.

– Skoro tak mówisz.

– Ty czujesz inaczej? Naprawdę czujesz się winna?

Spuściła głowę. Czuliła się winna, ale jak miała mu to powiedzieć? Widziała, co się z nią dzieje, jak bardzo zmieniły się ostatnimi czasy jej priorytety. Czy to, co teraz przechodzi, jest załamaniem wiary? Na pierwszym planie powinna stawiać Boga, a dopiero potem wszystko inne. Coraz częściej łapała się na tym, że chętniej spędziłaby czas z Marianną i jej synkiem niż na kolejnych rekolekcjach, które od lat nic nowego nie wносиły do jej życia. Tak było, ale sama przed sobą bała się do tego przyznać.

– Prawdę mówiąc, czuję się winna. Moje życie przewraca się do góry nogami. Ciężko mi z tym, ale nie umiem tego zatrzymać, a może wcale nie chcę...

– Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale nie ty jedna masz wątpliwości. Każdy ksiądz, każda zakonnica przynajmniej raz w życiu przez to przechodzi. To normalne, jesteśmy tylko ludźmi. Ale będzie dobrze, obiecuję – próbował pocieszyć Ludwikę Fryderyk. Wiedział, że jej słabość jest przejściowa. Tak naprawdę była niezwykle silną kobietą.

*

Marianna miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Rozejrzała się, nic szczególnego nie zauważyła, ale wciąż nie mogła się pozbyć tego dziwnego uczucia. Pośpiesznie włożyła do koszyka kilka produktów i ruszyła do kasy, próbując zignorować niepokój, który czuła od jakiegoś czasu. Nawet w autobusie czuła się nieswojo, co wydawało jej się nonsensem, bo przecież prócz niej i na oko dwunastoletniego chłopca nikt na tym przystanku nie wsiadał. Przecież nie śledzi mnie jakieś dziecko, pomyślała. Zresztą chłopak zniknął gdzieś w głębi autobusu, w ogóle nie zwracając na nią uwagi. Patrzyła przez okno na mijane ulice i ludzi podążających w sobie tylko znanym kierunku. Wszyscy byli tacy anonimowi, zajęci swoimi myślami i sprawami. Na kolejnym przystanku wsiadła kobieta z płaczącym dzieckiem. Dziewczynka zanosila się od płaczu. Matka próbowała ją uspokoić, lecz mała nie przestawała płakać, najwidoczniej próbując coś na matce wymusić. Niektórzy pasażerowie zaczęli komentować zachowanie dziecka. Marianna współczuła kobiecie. Na szczęście jej synek rzadko tak się zachowywał, ale raz się zdarzyło. Pamiętała, jak czuła się zażenowana, gdy Ares wrzeszczał na cały sklep, bo nie chciała mu kupić jakiejś bezsensownej zabawki, którą wypatrzył sobie na półce. Dziewczynka wciąż płakała, matka coś jej tłumaczyła, tracąc już cierpliwość. Pewnie gdyby nie były w miejscu publicznym, skończyłoby się na klapsie. Nagle Marianna coś sobie przypomniała. Zaczęła szukać w torebce i znalazła. Różowy balonik został po jakiejś przedszkolnej imprezie Aresa.

– Może to jej się spodoba? – Podała balonik zdenerwowanej matce.

– Och, dziękuję, sama nie wiem. Ma dopiero trzy lata, a jest taka uparta... – Kobieta wzięła balonik, a mała na chwilę przestała płakać. Z ciekawością patrzyła, jak mama go nadmuchuje. W końcu wyciągnęła rączki i wzięła od matki różową kulkę.

– Nie można było tak od razu? – spytał jakiś młody mężczyzna z kwaśną miną. – Nigdy nie będę miał dzieci – dodał poważnym tonem.

Marianna i matka dziewczynki jednocześnie wybuchnęły śmiechem. Ta sytuacja rozproszyła niepokój, jaki czuła Marianna. Gdy autobus stanął na jej przystanku, już całkiem spokojna pożegnała się z poznaną kobietą, wysiadła i ruszyła prosto do przedszkola. Była tak zamyślona i tak się cieszyła na myśl, że za chwilę zobaczy swojego synka, że nawet nie zauważyła, że ktoś rzeczywiście jej się przygląda. Przecucie jej nie myliło. Była obserwowana od kilku godzin. W samochodzie nieopodal siedziała kobieta i bacznie jej się przyglądała.

Apollo

– Tak jak przypuszczaliśmy, to ona. Sam nie wiem, czy to dobrze, czy źle. – Joachim, zawsze opanowany i umiejący się odnaleźć w każdej sytuacji, tym razem wydawał się zakłopotany.

– To zależy, jak na to patrzeć. Dla niej chyba dobrze. Wygląda na to, że świetnie sobie radzi. – Agnieszka podeszła do tego nieco spokojniej, ale też nie bez emocji. Zwłaszcza że nie wszystkim, co zobaczyła, miała zamiar dzielić się z Joachimem.

– Trzeba przyznać, że nieźle sobie poradziła. Zawsze była zaradna. Ten tragiczny wypadek zmałował jej zmysły, ale, jak widać, i z tym się w końcu uporała – zauważył z entuzjazmem Joachim.

Agnieszka posmutniała. Wiedziała, że jej mąż lubił Zuzę i był rad, że zostanie jego synową. Sprawy potoczyły się zupełnie inaczej, niż wszyscy myśleli. A może on wolałby jednak, żeby wszystko odbyło się tak, jak było zaplanowane?

– Tak. Rzeczywiście była w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Mówiłeś, że lekarze nie dawali jej żadnych szans. Jak widać, mylili się. – Choć Zuzanna była potencjalnym zagrożeniem dla małżeństwa jej córki, Agnieszka nie czuła do niej wrogości. Wręcz przeciwnie, cieszył ją fakt, że mimo wszystko potrafiła ułożyć sobie życie, nie sprawiając problemów swojemu eksnarzeczonemu. Podziwiała ją za to i była jej wdzięczna.

– Zuza zawsze była rozsądna. I cieszyłem się, że właśnie taką kobietę wybrał mój syn na towarzyszkę życia. Bardzo przeżyłem to, co się później wydarzyło. Straciłem swoją Basię, a Apollo właściwie stracił narzeczoną. – W tym momencie spojrzał na Agnieszkę i zrozumiał, że całkiem niechcący rani ją swoimi słowami. Siedziała na brzegu hotelowego łóżka taka smutna i bezbronna, jakby się czegoś obawiała. Wstał z krzesła i usiadł koło niej. Ujął jej dłoń i spojrzał jej w oczy.

– Ale to było kiedyś. W dawnym życiu – powiedział cicho. – Teraz jesteście ty i Eliza, jest Oleńka. I to jest najważniejsze. Cieszę się, że Zuza sobie poradziła, ale to jej życie. Moje i Apolla toczy się swoim torem i zrobię wszystko, żeby to się nie zmieniło. I nie bądź już taka smutna.

– Dziękuję za te słowa. Trochę się bałam, że teraz wszystko się skomplikuje. Zuzanna jest taka ładna, Apollo ją kochał... – A może wciąż kocha, dodała już w myślach.

– A teraz kocha Elizę. Fakt, poruszyła go ta sytuacja z patchworkami, wróciły wspomnienia, ale to nic nie znaczy. I zobaczysz, jak się dowie, że Zuza żyje sobie tu spokojnie, poczuje ulgę i o niej zapomni.

– Obyś miał rację.

– Mam. Znam swojego syna. Usłyszy, że dziewczyna sobie radzi, i nie będzie już tego roztrząsał.

– Radzi sobie, i to bardzo dobrze. Jesteś pewien, że to ona? Ja jej wcześniej nie widziałam. Znałam ją tylko z opowiadań.

– Zuzę rozpoznałbym wszędzie. Prawie nic się nie zmieniła. Bałem się, że mnie zobaczy. Dlatego wolałem, żebyś to ty jej się bliżej przyjrzała.

– Dziwnie się czułam, śledząc ją.

– Przepraszam, że cię o to prosiłem, ale mnie mogłaby rozpoznać. Mnie wystarczyło

jedno spojrzenie i wiedziałem, że to Zuza. Chociaż już nie Zuza. Zmieniła imię i nazwisko. Mądrze... chociaż dla mnie zawsze będzie Zuzanną.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Stare znajomości. Wciąż się przydają. Ale w tym przypadku bardzo pomogły te jej narzuty. Wiesz, po nitce do kłębka. Mój informator szybko sobie z tym poradził. Dwa dni i wiedziałem wszystko. Jak się nazywa, gdzie mieszka, gdzie pracuje...

Chyba nie wszystko, pomyślała Agnieszka. Przed oczami przewinęła jej się scena jak z filmu. Gdy śledziła Zuzę, dojechała za nią do przedszkola. Po kilku minutach dziewczyna wyszła z budynku, prowadząc za rękę... miniaturkę Apolla. Agnieszce dech zaparło, jak to zobaczyła. Nie miała wątpliwości, czyje to dziecko. Tę informację postanowiła zostawić dla siebie. Nie czuła się z tym dobrze, ale obawiała się, że wiadomość o dziecku Zuzy nie będzie obojętna ani dla Apolla, ani dla Joachima. Była zła, że nie zaprzestała swojego śledztwa w markecie. Coś ją podkusiło i pojechała za autobusem, do którego dziewczyna wsiadła. Miała nadzieję, że Zuza spotka się może z jakimś facetem, co by ją bardzo uspokoiło. Tamta spotkała się wprawdzie z mężczyzną, ale to zupełnie nie o takiego mężczyznę chodziło.

– Zmęczona jestem – powiedziała, chcąc odwrócić własną uwagę od swoich myśli. Miała wrażenie, że zaraz będzie je słycać, tak nachalnie pchały jej się do głowy.

– Dobrze. Połóż się, odpocznij. Ja sobie coś poczytam. Kolację mamy dopiero za trzy godziny. A z samego rana ruszamy w góry. Dzieci pewnie czekają na fotki z naszego wypadu...

– Eliza nie mogła uwierzyć, że zaraz po powrocie z Pragi wybieramy się w góry. Ale cieszyła się z tego.

– Nie myśl, że dobrze się czuję, ukrywając prawdę przed twoją córką. Ale nie widzę innego wyjścia... Nie można jej denerwować, zwłaszcza teraz. – Joachim uśmiechnął się tajemniczo.

– O czym ty mówisz?

– Apollo mi powiedział tuż przed wyjazdem.

– Nie... Naprawdę? To to, o czym myślę?

– Tak. Spodziewają się drugiego dziecka.

– A to jęzda, nic mi nie powiedziała... – Agnieszka udawała zagniewaną.

– Pewnie ci powie, jak wrócimy. Tylko mnie nie wydaj.

– Potrafię dochować tajemnicy – powiedziała poważnie, myśląc jednocześnie o swoim sekrecie.

– Wiem, wiem. A teraz odpocznij. Jako detektyw spisałaś się super, należy ci się relaks.

Z chęcią wtuliła głowę w poduszkę, nakrywając się miękkim kocem prawie po uszy. Męczyło ją to, że nie powiedziała Joachimowi o dziecku Zuzanny. Ale tak bardzo się bała, że to zniszczy dotychczasowe życie jej córki, że była gotowa zachować to w tajemnicy. Była pewna, że ani dziecku, ani Zuzannie nie dzieje się krzywda. Niech więc zostanie wszystko tak, jak jest. Zwłaszcza że sama Zuza najwyraźniej nie zamierza się ujawniać.

Gdy Agnieszka spała, Joachim wyszedł z domu i zadzwonił do Apolla. Poinformował go, że odnalazł Zuzannę. Zapewnił syna, że dziewczyna dobrze sobie radzi i wygląda na całkiem zdrową. Zalecił opiekować się ciężarną żoną i nie wracać do przeszłości.

– Dzięki, tato. Jest mi naprawdę lżej. Wiem, że teraz mam rodzinę i muszę się o nią troszczyć, ale Zuza... – Zawiesił głos.

– Doskonale cię rozumiem, synu. Dlatego ruszyłem tyłek, żeby na własne oczy zobaczyć, czy to ona, i upewnić się, że sobie radzi.

– Co na to Agnieszka? Pewnie się denerwuje.

– I owszem, było trochę nerwów. Bała się o przyszłość waszego małżeństwa.

- Chyba żartujesz. Ja kocham Elizę...
- Obaj dobrze wiemy, jak było. Agnieszka też zna prawdę. Nie dziw się, że jest zaniepokojona.
- Tak. Wiem. I jestem jej wdzięczny, że mnie zrozumiała i mi uwierzyła.
- I nie zawieź jej, synu.
- Tato! Jestem odpowiedzialny. – Apollo delikatnie się uniósł.
- Już dobrze. Nie denerwuj się. Jutro rano ruszamy w góry. Eliza męczy Agnieszkę o zdjęcia, a tu ani jednej górki na horyzoncie.
- Jeszcze raz dzięki za wszystko, tato. I podziękuj Agnieszce. To wspaniała kobieta.
- Mnie to mówisz...?
- Cześć. Trzymajcie się.
- Do zobaczenia.



Marianna

Marianna precyzyjnie zszywała małe kawałki materiału, tworząc wyjątkową narzutę. Chociaż miała teraz tak mało czasu, to jednak chętnie poświęcała na to każdą wolną chwilę. Lubiła to robić. Znajdowała w tym zajęciu przyjemność i spokój. Zastanawiała się, kim był tajemniczy klient, który zamówił dość dużą liczbę jej patchworków. Zdawała sobie sprawę, że nie jest to tania rzecz, nie każdy może sobie na nią pozwolić i oczywiście nie każdy gustuje w tego rodzaju wyrobach. Chociaż obilo jej się o uszy, że wraca moda na patchworki, że są teraz poszukiwane. Nawet Liliana, jej koleżanka z pracy, ostatnio zastanawiała się głośno, gdzie można kupić oryginalne, nie podrabiane, jak to zaznaczyła, patchworki. Nawet przeszło jej przez myśl, czy nie powiedzieć Lilianie, że takie robi. Ale nie powiedziała. Zdawała sobie sprawę, że koleżanka na wyższym stanowisku niezbyt ją lubi, i nie chciała, żeby pomyślała, że Marianna próbuje się jej w jakiś sposób przypodobać. To nie w jej stylu. Trudno, może Liliana w końcu ją polubi, a jeśli nie, to nie. Do wykonywania obowiązków w pracy nie potrzebowała specjalnie przyjaźni Liliany. Na stopie zawodowej się dogadywały, i to wystarczyło.

Zrobiła prawie całą narzutę, oczy ją bolały. Odłożyła robótkę, zajrzała do śpiącego Aresa, a potem zerknęła na zegarek. Prawie północ. Wprawdzie jutro sobota, nie musi się zrywać skoro świt, ale i tak była śpiąca. Jeszcze rzut oka na telefon i ruszyła w stronę łazienki. Gdy z niej wróciła, w telefonie mrugała lampka informująca, że przyszła jakaś wiadomość.

„Jestem na miejscu. Postaram się szybko ogarnąć problem i najdalej w niedzielę wracam. Tęsknię”.

To była wiadomość od Wiktora; musiał wyjechać służbowo. Odkąd zbliżył się do Marianny, starał się jak najrzadziej opuszczać miasto, ale czasami było to konieczne. Taką miał pracę.

„Nigdzie nie uciekam, zrób spokojnie, co masz do zrobienia, i wracaj bezpiecznie. Ja i Ares też tęsknimy”.

Celowo użyła liczby mnogiej. Bała się uczucia, które coraz mocniej ją ogarniało. Gdzieś w zakamarkach jej serca wciąż mieszkał Apollo. I chociaż z każdym dniem było go coraz mniej, to jednak wciąż był, i tak naprawdę chciała, żeby był, żeby został w nim na zawsze.

*

Marianna czekała na Ludwikę. Poprosiła ją o spotkanie, bo w końcu podjęła decyzję, że opowie jej o sobie, wyjawia prawdę. Obawiała się nieco, jak zakonnica to przyjmie. Miała nadzieję, że ze zrozumieniem. Umówiły się na dziewiętnastą. Ares o tej porze już spał, będą mogły spokojnie porozmawiać. Trzy minuty po umówionej godzinie usłyszała dzwonek domofonu. Ludwika była jak zwykle punktualna.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że mi zaufałaś, że chcesz mi o sobie opowiedzieć. Tobie też będzie lżej, a ja zachowam wszystko, co mi powiesz, dla siebie. Jeśli taka jest twoja wola.

– Unikam rozmów o przeszłości, bo obawiam się konsekwencji. Uważam, że nie miałam zbyt dużego wyboru, dlatego zrobiłam to, co zrobiłam, ale to nie wszystkim musiało się podobać. Ja sama nie czuję się z tym dobrze, ale już tego nie zmienię.

– A cóż takiego zrobiła, żeby się bać? Nie wierzę, że mogłaś zrobić coś złego.

– Mam nadzieję, że to, co uczyniłam, nikogo za bardzo nie skrzywdziło.

Marianna nagle przygasła, gdzieś ulotniła się odwaga, jaką miała jeszcze przed chwilą. Jej

myśli zaczęły szaleć, słowa ugrzęzły w gardle. Nerwowo zacisnęła dłonie.

– Spokojnie, kochaniutka. Nie ma pośpiechu. Dzisiaj mam dużo czasu. Pyszna ta twoja herbatka... – powiedziała Ludwika, wypiwszy łyk aromatycznego napoju.

Marianna też napiła się herbaty, zwilżając wysuszone gardło.

– Już dobrze. Dam radę, chociaż to dla mnie trudne. Uwierz mi.

– Wierzę... – powiedziała spokojnie zakonnica i poprawiła się w fotelu, przyjmując wygodną pozycję.

Historia Marianny

– Miałam kiedyś inne życie... – zaczęła Marianna.

Zakonnica patrzyła na nią z zaciekawieniem i obawą jednocześnie. Czuła, że to, co usłyszy, nie będzie bajką dla dzieci.

– Mieszkałam z rodzicami i siostrą. Miałam narzeczonego, którego bardzo kochałam. Planowaliśmy ślub i wielkie wesele. Wszystko układało się cudownie i myślałam, że zawsze tak będzie. – Marianna otarła łzę płynącą po policzku.

Ludwika, nieruchoma jak posąg, cała zamieniła się w słuch.

– Matka Apolla, mojego narzeczonego, była wspaniałą kobietą, zapaloną podróżniczką. Bardzo się z Basią lubiliśmy. Nawet moja mama miała mi czasem za złe, że lepiej dogaduję się z Basią niż z nią. I właśnie ta nasza przyjaźń zaważyła na reszcie mojego życia. Naszego życia. Bo nie tylko moje życie uległo nagle ogromnej zmianie.

Marianna na chwilę wstrzymała oddech i zamknęła oczy. Zakonnica wpatrywała się w nią w milczeniu, czekając, aż dziewczyna zacznie mówić.

– Basia zapragnęła wybrać się w podróż do Australii. Jej syn i mąż stanowczo jej to odradzali, chociaż ona najchętniej ich też zabrałaby na tę wyprawę. Taka już była. Jeśli czegoś pragnęła, nie ustępowała. Nie mając poparcia u męża i syna, zwróciła się do mnie, roztaczając wizję wspaniałej przygody. Chociaż mój naręczony nie był tym zachwycony, postanowiłam wybrać się z Basią na tę wycieczkę. Zawsze ciekawiła mnie dzika Australia, a w towarzystwie Basi wyprawa zapowiadała się interesująco. Renomowane biuro podróży zapewniało bezpieczną podróż z doświadczoną grupą zapaleńców takich jak Basia. Właściwie tylko ja byłam tam nowicjuszka. Byłam w Paryżu, Rzymie, nawet w Moskwie, ale nigdy nie widziałam na żywo dzikiej przyrody australijskich odludzi. Bardzo chciałam to zobaczyć. – Marianna spojrzała na Ludwikę.

– Nie dziwię ci się. Z tego, co mówisz, wynika, że podróż zapowiadała się interesująco. Tak sobie myślę, że gdybym nie została zakonnica, byłabym podróżniczką. Fascynuje mnie to, co nieznane, dzikie. – Ludwika odważnie mówiła to, co myślała. Spotkania z Fryderykiem dodały jej odwagi i upewniły w przekonaniu, że jej też wolno mieć własne zdanie. Nie musi być służalczo posłuszna matce przełożonej, co nie znaczy, że przestała wykonywać jej polecenia. Nadal jest posłuszną zakonnica, ale wyraża swoje zdanie, jeśli uważa to za słuszne. Przełożonej nie bardzo to się podobało, ale w końcu się z tym pogodziła. Miała dość problemów z młodymi siostrami, by zwracać zbyt wiele uwagi na zakonnice, która wprawdzie często miała odmienne zdanie, ale ostatecznie wykonywała swoje obowiązki najlepiej ze wszystkich.

– Mnie też fascynowały nieznane miejsca. Dlatego przystałam na propozycję Basi i po gorącym pożegnaniu z Apollem wyruszyłam z całą grupą w podróż. Na początku było naprawdę wspaniale. Piękne okolice, cudowna przyroda, egzotyczne zwierzęta. Przy tym znakomite towarzystwo. Dzwoniłam i pisałam do narzeczonego, wyrażając żal, że nie ma go z nami. Cieszył się z każdego mojego filmu, z każdej opowieści o jakimś niezwykłym miejscu. Obiecywał nawet, że po ślubie wybierzemy się kiedyś razem na podobną wycieczkę. To były naprawdę piękne dni, a ja i Basia stałyśmy się sobie jeszcze bliższe. Stałyśmy się prawdziwymi przyjaciółkami. Czułam się naprawdę szczęśliwa. Ale wydarzyło się coś strasznego... – Marianna zasłoniła twarz dłońmi, jej ciało zaczęło drżeć.

– Spokojnie. Już jesteś bezpieczna. – Zakonnica podniosła się z fotela, przytuliła ją i głaskała po głowie. – Cii... już dobrze, już dobrze – powtarzała.

Marianna zebrała siły i opowiadała dalej, a Ludwika ponownie zasiadła w fotelu.

– Przewodnik obiecał nam niezwykłą atrakcję. Mówił, że mało kto zapuszcza się w te tereny. Mieliśmy odwiedzić miejsce okryte mroczną legendą. Początkowo podróżowaliśmy jeepami. Potem przesiedliśmy się do czółen. Krajobraz był bajeczny, co pewien czas po niebie szybował jakiś bardzo kolorowy ptak, z wody wyskakiwały ryby. Otaczała nas gęsta roślinność, ze wszystkich stron dobiegały niepokojące odgłosy. Przewodnik opowiadał straszne historie o tym miejscu. Legenda mówiła, że roi się tu od ludożerców, którzy sprowokowani atakują zabłąkanych turystów. Większość potraktowała tę wiadomość z przymrużeniem oka. Przewodnik przestrzegał też, by się samodzielnie nie oddalać, gdyż okolica jest nader bagnista i łatwo się zapaść dosłownie pod ziemię. Po zejściu na ląd mieliśmy się bezwzględnie trzymać grupy. Płynęliśmy coraz dalej w górę tajemniczej rzeki. W końcu zaczęły się pojawiać dziwne przedmioty nabite na pale. Jakieś koszmarnie maski, jakby wysuszone głowy nieznanymi stworów. Poczułam się nieswojo. Basia mnie uspokajała, zapewniała, że to wszystko to teatryk dla turystów, że bardziej powinniśmy się bać krokodyli niż rzekomych ludożerców. Uwierzyłam jej, bo zauważyłam, że wszyscy świetnie się bawią, i tylko ja czułam niepokój. Jeden z naszych towarzyszy z drugiego czółna spostrzegł mój strach. Śmiał się i krzyczał coś, próbując mnie uspokoić, jego głos niósł się echem po wodzie i ginął gdzieś w zaroślach. W którymś momencie ten mężczyzna przechylił się i pochwycił jedną z głów nabitych na pal. Machał nią przed naszymi oczami i wciąż się śmiał. W końcu się uspokoił skarcony przez zaniepokojonego przewodnika, któremu nie podobało się to, co zrobił ten człowiek. Wreszcie zatrzymaliśmy się i polecono nam wysiąść. Tu dopiero było dziwnie i strasznie. Ślady po ognisku, porozrzucane kości i mnóstwo przerażających przedmiotów porozwieszanych na okolicznych drzewach. Przewodnik tłumaczył nam, że to totemy tubylców, którzy wymarli wiele lat temu. Mówił, że według legendy ich duchy tu pozostały i pilnują spokoju na swoim terenie. Te przedmioty rzeczywiście wyglądały na bardzo stare, ale przez to wcale nie wydawały się mniej straszne. Przerzątał mnie zwłaszcza jeden, do złudzenia przypominający wysuszoną ludzką głowę. Miał wykrzywioną w grymasie twarz i długie włosy. Odruchowo przysunęłam się do Basi. Okropnie się bałam, chciałam wracać z tego miejsca, ale byłam zdana na grupę. Po chwili otworzono termosy z kawą. Zapach kawy rozlewanej do jednorazowych kubeczków rozniósł się po okolicy i zrobiło się w miarę swojsko. Udało mi się nieco uspokoić i z zainteresowaniem słuchałam dalszej opowieści przewodnika. Właściwie, gdyby nie te koszmarnie totemy dawnych tubylców, to miejsce byłoby bajeczne. Chwila przy kawie była ostatnią, którą pamiętam dokładnie. Potem...

Marianna znów zaczęła dygotać. Skuliła się i zamilkła.

– Jeśli to dla ciebie takie trudne, przerwijmy. Dokończysz innym razem. – Ludwika podeszła do niej i objęła ją jak matka dziecko. Była ciekawa, co się wydarzyło podczas tej wyprawy, ale zdrowie Marianny było w tej chwili ważniejsze. Domyślała się, że nie usłyszała jeszcze najgorszego.

– Nie... Muszę opowiedzieć ci wszystko, co pamiętam. Chcę wyrzucić to sobie, nie chcę, by ten koszmar wracał do mnie w snach. Wysłuchaj mnie, proszę, do końca, jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię – prosiła Marianna przez łyzy, ściskając ramię Ludwiki, jakby się bała, że ktoś ją od niej oderwie.

– Oczywiście, jeśli tylko jesteś w stanie mówić. Widzę, jak ci ciężko. Może odpocznij chwilę, uspokój się. Nie śpiesz się, mamy dużo czasu.

– Zrobię jeszcze herbaty. – Dziewczyna, już nieco spokojniejsza, wyswobodziła się z ramion zakonnicy i wyszła do kuchni.

Ludwika została sama w pokoju. Widziała, jak trudno jest Mariannie wracać do zdarzeń

sprzed lat. Ale wiedziała też, że będzie jej łatwiej, jeśli wyrzuci z siebie to, co ją męczy. Właściwie chciała poznać prawdę, lecz jednocześnie się jej bała. Kiedy usłyszy całą historię dziewczyny, zapewne tragiczną, będzie musiała się z nią zmierzyć i zachować dla siebie. Nawet jeśli sumienie będzie jej podpowiadało co innego.

– Już jestem. – Marianna wróciła jakby spokojniejsza. Usiadła naprzeciwko Ludwici, trzymając w dłoni kubek z ciepłą herbatą. – Potem wszystko potoczyło się tak nagle... – zaczęła bardzo cicho.

Ludwika odruchowo zaczęła obracać w palcach paciorki różańca, który miała owinięty wokół nadgarstka.

– Gdzieś nad nami, za nami rozległ się dziki wrzask – kontynuowała swoją opowieść Marianna. – Ze wszystkich stron zaczęli wyskakiwać... – Zamyśliła się na chwilę, po czym mówiła dalej: – Tak, to byli ludzie, chociaż w pierwszej chwili pomyślałam, że zaatakowało nas stado małp. Ale to byli ludzie. Zwierzęta nie są tak okrutne. Pierwszego dopadli przewodnika. Przewrócili go, zaczęli gryźć i dźgać czymś ostrym. Przerażliwie krzyczał, ale tylko przez chwilę. Z jego szyi trysnęła fontanna krwi i wtedy ucichł. Widziałam jego przerażone oczy, które po chwili jakaś koszmarna koścista dłoń wydłubała i włożyła do roześmianych, obrzydliwych, zakrwawionych ust. Nas wszystkich sparaliżowało, nie byliśmy w stanie uciekać. Zresztą nie mieliśmy szans. Te potwory były wszędzie i już po chwili ginęły kolejne rozszarpywane osoby. Wokoło niósł się jeden ogromny wrzask ofiar i przeraźliwy chichot tych bestii. Basia... Basia mimo ogromnego strachu próbowała nas ratować. Z całych sił zepchnęła mnie ze skarpy. Zsunęliśmy się obie po jakiejś błotnistej mazi. Znalazłyśmy schronienie między wystającymi korzeniami. Skulone i przerażona tkwiłyśmy tam jakiś czas, który wydawał się wiecznością. Ale i tam nas wypatrzyli. Tuż nad nami dały się słyszeć dzikie pomruki i ten przeraźliwy chichot. Już po chwili byli w naszej kryjówce. Basia trzymała się kurczowo korzeni, ale dosłownie ją stamtąd wyszarпали, raniąc zębami i pazurami. Pamiętam jej ostatnie, pełne rozpaczony spójrzanie i krzyk. Rozszarpywali ją żywcem, a ona krzyczała do mnie: uciekaj! uciekaj! Usiłowałam uciec i właściwie mi się udało. Jeden z tych potworów mnie dopadł, poczułam ogromny ból o tu... Odgryzł mi kawałek ucha, ale cudem mu się wyrwałam. Biegłam przed siebie, brnąc w jakiejś mazi. To zapewne były te bagna, o których mówił przewodnik, ale mi było już wszystko jedno, wołałam, by pochłonęło mnie bagno, niż żeby mnie pożarły te nieludzkie stworzenia.

– Boże przenajświętszy, jakże musiałas być przerażona... – Ludwika wręcz czuła strach dziewczyny.

– Byłam. Byłam tak przerażona, że postradałam zmysły. Długo nie wiedziałam, gdzie jestem ani co mi się przydarzyło. Zupełnie nie pamiętałam, kto mnie znalazł. Ponoć tylko ja ocalałam. Ale mój umysł się zablokował. Pamiętałam tylko Apolla, swojego narzeczonego. Wciąż miałam w głowie krzyk Basi, jej słowa: uciekaj... I uciekałam. Teraz wiem, że umieszczono mnie w szpitalu dla obłąkanych. Ale wtedy nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Uciekałam stamtąd do Apolla. Wszyscy inni mnie przerażali, tylko z nim czułam się bezpieczna. Nie mam pojęcia, jak do niego trafiłam. I on dał mi schronienie. Dopiero długo potem zrozumiałam, co dla mnie zrobił, jak musiał zmienić swoje życie, by się mną potajemnie opiekować.

– Potajemnie? Ukrywał cię?

– Właściwie tak. Początkowo tego nie rozumiałam, czułam się bezpieczna i to było najważniejsze. Widywałam tylko jego, dzięki niemu odzyskałam spokój. Dokładnie nie wiem, jak długo u niego przebywałam. Ale któregoś dnia mój umysł zaczął się otwierać. Powoli, dzień po dniu, powracały wspomnienia, te dobre i te tragiczne. Jeszcze nie całkiem wiedziałam, gdzie właściwie jestem. Dla mnie ważne było, że Apollo był blisko. Zostawiał mnie samą, ale wracał.

Wciąż wracał i mnie pocieszał, zapewniał, że jestem bezpieczna, a ja mu wierzyłam. Było mi z nim tak dobrze, nie brakowało mi nikogo ani niczego. On był przy mnie, niczego więcej nie pragnęłam. W końcu stało się coś, co się stać musiało... Nie wiem, czy powinnam go za to winić. On mnie przecież naprawdę kochał, pragnął mnie, jak mężczyzna pragnie kobiety. Ja tamtego okresu za bardzo nie pamiętam. Nawet jak urodziłam dziecko, jego dziecko, nie bardzo wiedziałam, co się stało.

– O mój Boże, urodziłaś dziecko?

– Tak. Było takie malutkie i martwe. Jak Apollo to odkrył, bardzo płakał. Szlochał, tuląc do siebie mnie i naszego małego synka. A ja wtedy nie rozumiałam jego rozpacz. Płakał też w ogrodzie, gdzie pochował nasze dziecko. Jego trumienką była szkatułka z macicy perłowej, ulubione pudrko Basi. Coś mi mówiło, że sprawiłam mu ból, że to przeze mnie tak cierpi. Sama odczuwałam ból fizyczny, ale to rozpacz Apolla bolała mnie najbardziej. Wtedy jeszcze nie do końca zdawałam sobie sprawę z sytuacji. Mój mózg wracał do normy stopniowo i wciąż płatał mi figle.

– Biedactwo, tyle się nacierpiałaś w swoim krótkim życiu. Bóg ciężko cię doświadczył.

– Od tamtej pory rzadziej ze mną przebywał, a już na noc nie zostawał w ogóle. Był smutny, ale wciąż zapewniał, że mnie kocha, że z nim jestem bezpieczna. Czasami przy pełni wychodziliśmy razem do ogrodu i długo staliśmy nad mogiłą Iwa. Apollo nadał mu takie imię po dziadku. Posadził na niej białe róże. Właśnie tam, w tym miejscu, najczęściej wracała mi pamięć. Powoli jak drobne puzzle układało się w całość moje rozsypane życie. Zrozumiałam, ile dla mnie zrobił, ile poświęcił. Już wiedziałam, że z mojego powodu przebudował poddasze, miałam tam wygodne małe mieszkanie, do którego tylko on miał dostęp. Nikomu postronnemu nawet by do głowy nie przyszło, że za wielką szafą w korytarzu jest tajne wejście do mojego azylu. Mój umysł działał coraz sprawniej, w końcu któregoś dnia pod nieobecność Apolla wymknęłam się ze swojej kryjówki. Chodziłam po pustym domu i wracały wspomnienia. Znałam to miejsce bardzo dobrze, przecież tu bywałam, to był dom mojego narzeczonego. Niestety przebłyski pamięci były chwilowe, wystarczył jakiś szczegół, jakiś odgłos gdzieś z zewnątrz i wracał strach, nagle nie wiedziałam, gdzie jestem, ale zawsze bezpiecznie wracałam do mojego pokoiku i czekałam z utęsknieniem na Apolla. Gdy mnie przytulał i szeptał, że zawsze będzie ze mną, czułam się naprawdę bezpieczna.

Marianna na chwilę zamilkła, spojrzała na patchworkową narzutę leżącą na brzegu fotela. Sięgnęła do niej ręką i delikatnie ją pogładziła.

– To właśnie tam zaczęłam je szyć. Moja babcia robiła patchworki. Pamiętałam to z dzieciństwa. Uczyła mnie tego, ale wtedy nie bardzo się tym interesowałam, dopiero tam, na poddaszu, nabrałam ochoty na ich tworzenie. Nie mam pojęcia, dlaczego właśnie to stało się moim ulubionym zajęciem. Początkowo cięłam na kawałki ubrania i układałam na dywanie. Gdy Apollo to zobaczył, dostarczył mi wszystko, czego potrzebowałam. Nie wiem, jak na to wpadł, skąd wiedział, ale dostawałam wszystko, co było mi potrzebne. Różne materiały, nici, igły... Miałam zajęcie, a on oglądał moje narzuty z uśmiechem i dostarczał mi coraz więcej kolorowych tkanin. W końcu kap zaczęło przybywać, Apollo gdzieś je zabierał, a ja wciąż robiłam nowe. Uspokajało mnie to i dawało satysfakcję. Nadal, gdy tylko stan umysłu mi na to pozwalał, wmykałam się ze swojej kryjówki i chodziłam po pustym domu. Apollo długo nie wiedział, że to robię. Nie zostawiałam po sobie żadnego śladu. Za to ja znalazłam czyjś ślad w jego łazience. Długie rude włosy rzucały się w oczy. Nie było ich wiele, jeden czy dwa, ale w sterylnie czystej łazience były nader widoczne. Początkowo nie zmartwiło mnie odkrycie, że w domu Apolla bywa ktoś o rudych włosach. Ale nie dawało mi to spokoju. Patchworki z tamtego okresu miały wyjątkowe barwy. Z materiałów, które przynosił mi Apollo, wybierałam tylko te w różnych

odcieniach rudości i brązu. Wtedy też zaczęłam częściej spacerować po domu, gdy Apollo był w pracy. Mój umysł, coraz bardziej świadomy, w jakiej byłam sytuacji, nasuwał mi przeróżne myśli. Apollo w końcu zauważył, że wymykam się ze swojej kryjówki i któregoś wieczoru założył w drzwiach zamek szyfrowy. Mówił, że to dla mojego dobra, dla bezpieczeństwa. Ja wierzyłam we wszystko, co mówił, ale ze zwiedzania domu nie zrezygnowałam. Nie wiem, jak to się stało, ale szybko rozszyfrowałam hasło. Było banalne: moja data urodzenia, którą o dziwo pamiętałam.

Ludwika poruszyła się niespokojnie w fotelu. Historia Marianny była tak niesamowita, że sama nie wiedziała, czy jest prawdziwa.

– Może cię męczy moje gadanie? Mam przestać? – spytała zaniepokojona dziewczyna.

– Nie, nie. Mów dalej. Ciekawe to, co mówisz, ale tak nieprawdopodobne.

– To wszystko prawda... – powiedziała cicho Marianna.

– Tak, wiem. Wybacz, że przez chwilę zwątpiłam. W głowie się to nie mieści. Mów dalej, proszę.

– W tamtym mniej więcej czasie Apollo zaczął do mnie częściej przychodzić, ale jego wizyty były dużo krótsze niż wcześniej. Powoli i to się wyjaśniło. Którejś nocy bardzo za nim zatęskniłam. Byłam wyjątkowo świadoma. Wymknęłam się ze swojego poddasza i poszłam do sypialni Apolla. Tak bardzo chciałam się do niego przytulić. Jednak to, co zobaczyłam, mnie przeraziło. Nie był sam. Obejmował wtuloną w siebie kobietę. Jej długie rude włosy spływały kaskadą po poduszce. Nie wiem, jak długo tam stałam i na nich patrzyłam. Chyba robiło się już jasno za oknem, gdy kobieta się poruszyła. Uciekłam czym prędzej do swojego pokoju. Mój umysł znowu się zablokował, ale tylko na chwilę. Nadal czekałam na Apolla z utęsknieniem i tuliłam się do niego, próbując zapomnieć to, co widziałam. Pamiętam, jak mi mówił, że mnie kocha, że przeprasza, że mu ciężko, jakby się tłumaczył ze swego czynu. A przecież nie wiedział, że byłam w jego sypialni, że widziałam tę kobietę. Coraz lepiej go rozumiałam i obwinałam siebie. Zaopiekował się mną, stworzył mi naprawdę dobre warunki. Miałam swoje małe mieszkanko ze wszystkimi wygodami. Zaoszczędził mi zamknięcia w ohydny szpitalu, gdzie byłabym zdana na łaskę bezdusznych lekarzy. Tu też byłam zamknięta, ale czułam się bezpieczna i tu był mój Apollo. Uświadomiłam sobie, że ryzykował, przetrzymując mnie w ukryciu, że znalazł się w trudnej sytuacji. Pewnie nie tak to sobie wyobrażał, gdy dawał mi schronienie. Jeszcze kilka razy wychodziłam ze swojej twierdzy i patrzyłam na nich, jak spali tacy spokojni i wydawali się szczęśliwi. Któregoś razu nakryłam ich swoją narzutą i Apollo się domyślił, że byłam w jego sypialni. Przybiegł do mnie i płakał, kołysząc mnie w ramionach. Był tak rozżalony jak wtedy, gdy straciliśmy dziecko. „Wybacz – mówił – nie wiem, co robić, pogubiłem się. Zuza, ja cię kocham, ale stało się. Przepraszam...”

– Niesamowite, niewyobrażalne. Co on ci zrobił? Jak mógł? – Ludwika nie kryła oburzenia.

– To nie jego wina, chciał dobrze – broniła Apolla Marianna.

– Był dorosły, świadomy, a zachował się jak szczeniak. Po co wiązał się z tamtą kobietą, skoro twierdził, że kocha ciebie? Nigdy nie zrozumie takich ludzi.

– Ja go nie winię. Nie wiem, jak poznał tamtą kobietę. Może pragnął kogoś normalnego. Po co mu chora umysłowo dziewczyna, którą musiał ukrywać przed światem? To go zapewne przerosło, ale kochał mnie, wiem to na pewno.

– Oszukiwał i ją, i ciebie...

– Też tak początkowo myślałam. Ale szybko zrozumiałam, że on po prostu pragnął żyć normalnie. A ja... ja nie byłam normalna. Wprawdzie pomału wracała mi świadomość, ale ukrywałam to przed nim. I to był mój błąd. Gdybym mu powiedziała, może wszystko

potoczyłoby się inaczej.

– Dlaczego to ukrywałaś?

– Nie wiem. – Dziewczyna spuściła głowę i zamilkła.

– Marianno! Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko w porządku – odpowiedziała, ocierając łzę płynącą po policzku.

Westchnęła i sięgnęła po kubek z herbatą.

– Chcesz mówić dalej?

Kiwnęła głową i kontynuowała swoją opowieść:

– Gdy już byłam bliska wyjawienia mu prawdy, odkryłam coś, co mnie przed tym powstrzymało. Ona była w ciąży. Apollo miał ponownie zostać ojcem, tym razem to nie ja miałam urodzić jego dziecko. W nocy znowu się wymknęłam, ale tym razem poszłam do ogrodu. Długo stałam przy krzaku białych róż, pod którym spoczywał nasz synek. To tam właśnie podjęłam decyzję. Nie wiedziałam jeszcze, w jaki sposób zrealizuję swój plan, ale byłam pewna, że to zrobię. Postanowiłam opuścić dom Apolla i uwolnić go od siebie. Ale chciałam czegoś od niego, czegoś, co już zawsze będzie mi go przypominało. Okazało się, że nietrudno było osiągnąć cel. Od dawna ze mną nie sypiał, pewnie bał się, bym znowu nie zaszła w ciążę, zresztą był już z tamtą kobietą. Ale postanowiłam go uwieść. Był zaskoczony, lecz wciąż mnie pragnął. Kilka gorących uniesień, których nigdy nie zapomnę, wystarczyło, bym poczuła, że dopięłam swego. Nosiłam w sobie dziecko, jego dziecko. Musiałam jeszcze coś zrobić, żeby zapewnić sobie i dziecku przyszłość. Nie jestem z tego dumna, ale okradłam Apolla. Zabrałam biżuterię jego matki. Wiedziałam, gdzie ją przechowuje. Potem poszło gładko. Los mi sprzyjał. Tej pamiętnej nocy nie było go w domu. Pojechał gdzieś ze swoją kobietą. Domyśliłam się, że zawiózł ją do szpitala. W domu wszystko było przygotowane na przyjęcie dziecka. Płakałam, patrząc na łóżeczko i całe stopy maleńkich ubranek. Serce ścisnął mi żal, że to wszystko nie jest przeznaczone dla naszego dziecka. Mój ukochany będzie miał dziecko z inną i nigdy się nie dowie, że gdzieś w świecie żyje też jego drugie dziecko, nigdy go nie pozna. Było mi bardzo ciężko, ale tak postanowiłam. Podpaliłam dom i uciekłam. Chciałam, żeby Apollo myślał, że spłonęłam, że już mnie nie ma na tym świecie. Chciałam, żeby poczuł się wolny. Zabrałam ze sobą tylko biżuterię Basi i mojego... – Spojrzała na szkatułkę z macicy perłowej.

– Nie, tylko nie to, to niemożliwe! – Ludwika chwyciła się za serce.

– Nie mogłam go tam zostawić. – Marianna zaczęła płakać, schowała twarz w dłoniach. – Pewnie myślisz, że wciąż jestem obłąkana. Może i jestem, ale nie mogłam go tam zostawić. – Wciąż szlochała, trzymając dłonie przy twarzy, jakby się bała spojrzenia Ludwiki.

– Moje drogie dziecko. Coś ty zrobiła? Tak nie można.

– Nie mogłam go tam zostawić – powtórzyła Marianna i w końcu spojrzała na Ludwikę. Jej wzrok przeraził starą kobietę, był taki smutny i obojętny zarazem. To były oczy osoby szalonej, Marianna była szalona, choć jej szaleństwo nie było w żaden sposób niebezpieczne, a raczej żalosne, wręcz rozpaczliwe.

– Już dobrze, już dobrze. Uspokój się. – Ludwika podeszła do dziewczyny i ją przytuliła.

– Nie powiesz nikomu? Jak powiesz, zabiorą mi dzieci, a mnie znowu zamkną, nie przeżyję tego. – Płakała jak małe dziecko, drżała na całym ciele. Zakonnica płakała razem z nią. Czuli się bezradni i przerażeni. Od zawsze wiedziała, że Marianna nosi w sobie jakąś tajemnicę, ale tego, co usłyszała, nie mogła się spodziewać.

– Nikt się nie dowie o tym, co tu dzisiaj usłyszałam. Zaufałaś mi i cię nie zawiodę, moja dziecino.

Jeszcze kilka długich minut trwały przytulone do siebie. Marianna powoli się uspokajała. Jej oddech wracał do normy, serce odzyskało właściwy rytm. Położyła głowę na piersi Ludwiki

i poczuła się bezpieczna. Ufała zakonniczy, a wyrzucenie z siebie tego wszystkiego, co ją męczyło, przyniosło jej ulgę. Wróciło też wspomnienie chwili, gdy po długich poszukiwaniach znalazła w końcu miejsce, gdzie zgodzono się skremować szczątki Iwa. Człowiek, który to zrobił, zażądał bardzo dużej sumy, tłumacząc się, że łamie prawo i wiele ryzykuje. To były w końcu zwłoki człowieka i nieważne było to, że dziecko urodziło się martwe. Może nie do końca jej wierzył. Ale jak już nieraz się przekonała, pieniądze czynią cuda, a ona oddałaby wszystko, żeby nie rozstawać się z Iwem. Dostała w końcu małą urnę, która bez trudu zmieściła się w szkatułce z macicy perłowej.

Ludwika klęczała, odmawiając różaniec. Była tak oszołomiona wiadomościami, które przekazała jej Marianna, że nic innego nie była w stanie zrobić. Zdołała namówić dziewczynę, żeby poszła się położyć, a sama tkwiła tu, przed tym pudełkiem, które zawsze ją intrygowało, i modliła się, a raczej próbowała się modlić, bo żadną miarą nie mogła się skupić. Automatycznie przekładała paciorki różańca, a z jej ust wychodziły ciche słowa modlitwy. To się działo samo, jakby bez jej wiedzy. Ta sytuacja ją przerosła i tylko w ten sposób mogła pozbierać rozbiegane myśli. W takiej pozycji zastał ją świt. Za oknem robiło się jasno, spojrzała zmęczonym wzrokiem na niebo. Zdała sobie sprawę, że nie wróciła na noc do klasztoru, ale jakoś się tym nie przejęła. Zmęczona fizycznie, lecz umocniona duchowo, zebrała wszystkie siły, by się podnieść z klęczek. Łyk zimnej wody zwilżył jej wysuszone gardło. Zaczęła grzebać w przepastnej kieszeni habitu i wyjęła z niej telefon. Rzadko go używała, ale na szczęście bateria była tylko do połowy wyczerpana. Wybrała numer do Fryderyka, jedyne przyjaciela, jakiego miała. Znała wielu ludzi i dobrze z nimi żyła, ale tylko Fryderykowi ufała bezgranicznie.

– Halo... Ludka? Co się stało? Wiesz, która godzina? – dał się słyszeć w słuchawce bardzo zaspany głos mężczyzny.

– Tak, wiem. Wybacz, ale tylko ty możesz mi pomóc.

– No pewnie, mów, o co chodzi.

– Jestem u Marianny i muszę tu jeszcze zostać. Wy tłumacz mnie, proszę, jakoś przełożonej.

– Dobrze. Ale powiesz mi, co się stało? Z Marianną wszystko w porządku? I z dzieckiem?

– Tak. Są cali i zdrowi, ale ja muszę tu jeszcze zostać. Wszystko ci wyjaśnię, ale teraz proszę, zrób mi tę przysługę i mnie jakoś usprawiedliw. Zresztą nieważne, co powie przełożona, ja po prostu nie mogę dziewczyny tak zostawić. Muszę z nią zostać.

– W porządku.

– Dziękuję, przyjacielu...

Rozłączyła się. Zajrzała do sypialni. Marianna i Ares spali. Poszła do łazienki, musiała się odświeżyć. Czowała się sponiewierana tą ciężką nocą.

Apollo

Pierwszej nocy po powrocie Joachima i Agnieszki Apollo poprosił ojca o rozmowę. Umówili się w ogrodzie. Tam mogli bezpiecznie rozmawiać. Joachim obiecał Agnieszce, że zachowa rozsądek i zrobi wszystko, żeby uspokoić syna, przekona go, że Zuza ma się dobrze i spokojnie może o niej zapomnieć i poświęcić się rodzinie.

– Śpij, kochanie, i o nic się nie martw – pożegnał żonę i wyszedł.

Apollo już czekał w swoim ulubionym miejscu przy krzaku białych róż.

– Witaj, synu.

– Cześć, tato.

Podali sobie ręce na powitanie.

– Piękna noc, chociaż czuć już powiew jesieni. – Joachim nie od razu zaczął rozmowę na interesujący syna temat. Widział, że Apollo jest podenerwowany i chciał, by się choć trochę uspokoił.

– Tak, ale nie o tym mieliśmy rozmawiać. Widziałeś ją? Powiedz. To na pewno ona? Jak wygląda? Czy wciąż jest taka piękna? Co ja mówię? Z pewnością jest... – Apollo wyrzucił z siebie potok słów i czekał niecierpliwie na odpowiedź.

– Tak, chłopcze, widziałem, i to z pewnością była Zuza. Wyglądała pięknie i przynajmniej zewnątrz nie było śladu po jej załamaniu nerwowym.

– To cudownie. Dzielną dziewczyna. Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Nigdy nie uwierzyłem, że spłonęła w pożarze.

– Tak naprawdę chyba nikt w to nie wierzył – zauważył Joachim.

Apollo przez chwilę wpatrywał się w przekwitający krzak róży. Pamięć nasunęła mu zdarzenie sprzed lat. Stał tu z Zuzaną, opłakując swojego małego synka. Ogarnął go przenikliwy żal.

– Myślisz, że ona pamięta? Czy w ogóle zapomniała o dawnym życiu?

– Byłoby lepiej dla niej, gdyby zapomniała, ale tego nie wiem. Po co ci ta wiedza? Ty też masz już inne życie. Masz rodzinę, to jest teraz najważniejsze. Ona sobie poradziła. Myślę, że po to zniknęła, żeby tobie było łatwiej ułożyć wszystko od nowa. To mądra dziewczyna.

– Ale to była moja Zuza...

– Już nie jest twoja – przerwał mu ojciec. – I to był jej wybór. Ty jej nie kazałeś odchodzić.

– Ale chwilami chciałem, żeby zniknęła. To balansowanie między dwiema kobietami mnie wykańczało. Czuję się jak ostatni drań, a przecież nim nie byłem. Tato, ja kochałem je obie. Wciąż kocham...

– Przestań! – Joachim podniósł głos. – Zrozum, że ona już ciebie nie potrzebuje. Pomogłeś jej w bardzo trudnym okresie, i chwala ci za to. Ale to już koniec. Zapomnij o niej, jak ona zapomniała o tobie!

– Nie, tato, ona nie zapomniała. Czuję to. Te patchworki... wciąż je szyje, więc pamięta. Ale masz rację, nasze drogi się rozeszły. Na zawsze. To najlepsze rozwiązanie, i ona o tym wie. To mądra dziewczyna, rozsądna.

– Mam nadzieję, że tak właśnie myślisz i nie mydlisz mi oczu.

– Tak właśnie myślę.

Joachim poklepał syna po plecach. Współczuł mu, tylko to mógł.

– A, i zamówiłem kilkadziesiąt tych kap. Musisz mi pomóc jakoś je rozprowadzić. Ze

dwie wezmę do domu, ale reszta...

Apollo się uśmiechnął. Miał jednak wspaniałego ojca.

– Wiem, gdzie bardzo chętnie je przyjmą. Swego czasu wiele ich tam oddawałem.

– To sprawa załatwiona. Wracaj do domu, póki Eliza nie odkryła twojej nieobecności. Ja jeszcze chwilę tu pobędę i też wracam do ciepłego łóżka.

– Dzięki, tato. – Apollo ruszył w stronę domu.

Joachim został sam. Miał do przemyślenia coś, co ciążyło mu od dawna. Już parę razy był bliski wyznania prawdy synowi, ale zawsze coś go powstrzymywało. I dzisiaj musiał walczyć z pokusą, by pozbyć się tego balastu raz na zawsze. Ale i tym razem zdrowy rozsądek wygrał. Tak mu się przynajmniej wydawało. Tylko on i jeszcze jedna osoba wiedzieli, że w tym miejscu pod białą różą nie ma już szkatułki z macicy perłowej, w której spoczywał mały Iwo. W czasie pożaru w domu panowało wielkie zamieszanie, a sam Apollo szalał z niepokoju o Zuzę i nie w głowie mu było sprawdzać stan ogrodu. To Joachim przypadkowo w tym całym chaosie zawędrował do ogrodu w nadziei, że może tu ukryła się przerażona Zuza. Nie znalazł jej, ale odkrył rozkopaną mogiłkę, z której zginęła szkatułka. Domyślił się, że Zuza ją zabrała. Spryciara przechytrzyła ich wszystkich. Zapewne pamięć jej wróciła, zorientowała się w sytuacji i jak mogła najlepiej, zatarła za sobą ślady, zabierając to, co było dla niej najcenniejsze. Joachim był prawie pewny, że tak właśnie było. Usypał na powrót kopczyk i umieścił na nim różany krzew. Nikt się nie zorientował, że coś tu się zmieniło. Apollo wciąż był przekonany, że tu spoczywa jego dziecko. I niech tak na razie zostanie – pomyślał Joachim, kierując swoje kroki w stronę domu. Ta informacja nadal będzie tajemnicą. Może przyjdzie odpowiedni czas na jej wyjawienie, a może nigdy nikt prócz niego i Zuzy nie dowie się prawdy...

*

Apollo przytulił się do śpiącej Elizy. Zamruczała namiętnie przez sen. On jednak nie miał ochoty na seks. Potrzebował tylko jej bliskości. Chciał poczuć, jak pachnie, jaka jest ciepła i delikatna. Chciał się upewnić, że kocha ją na tyle mocno, by zapomnieć o Zuzannie. Było mu ciężko, bo tamta miłość nie całkiem go opuściła, gdzieś w zakamarkach serca wciąż czekała przycupnięta, cichutka i taka bezbronna. Wystarczyło tylko wyciągnąć do niej rękę, by znowu zapłonęła olśniewającym blaskiem i zawładnęła jego życiem. Czy tego właśnie chce? Jego myśli szalały.

Kobieta śpiąca obok poruszyła się niespokojnie. W półśnie wzięła go za rękę i położyła ją na swoim brzuchu. Wtedy uświadomił sobie, że tu jest jego miejsce. Potrzebuje go jego rodzina, jego mała córeczka, jego żona i to dziecko, które w niej rośnie, jego dziecko. Zasypiał przytulony do Elizy, mając pod powiekami blednącą twarz Zuzanny.

Marianna

Ludwika wróciła do klasztoru wczesnym popołudniem. Od razu poszła do matki przełożonej, ale nie zastała jej w gabinecie. Wolnym krokiem wspięła się po schodach i skierowała się do swojej celi. I tu czekała ją niespodzianka. Na jej wąskim łóżku, starannie złożona w kostkę, leżała patchworkowa narzuta, którą dostała od Marianny, a którą swego czasu matka przełożona zarekwirowała. Usiadła na brzegu i dotknęła delikatnie materiału, sprawdzając, czy jest tu naprawdę, czy to nie wytwór jej wyobraźni. Po ostatnich przeżyciach niczego już nie była pewna. Ale kapa nie zniknęła, była tu naprawdę. Ludwika poczuła się ogromnie zmęczona, sięgnęła po narzutę, otuliła się nią, położyła się i momentalnie zasnęła na łóżku, które zawsze wydawało jej się bardzo niewygodne. Dzisiaj czuła się na nim jak na najmiększym puchu. Spała kilka godzin.

– Siostró Ludwiko... Siostró Ludwiko... – Czyjś głos docierał do niej jak zza zamkniętych drzwi. W końcu poczuła delikatne dotknięcie. Powoli wracała z krainy snów. – Wszystko w porządku, siostró Ludwiko?

Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą zatroskaną twarz siostry Justyny.

– Która godzina? Przysnęło mi się...

– Prawie dwudziesta.

– Co? – Zakonnica zerwała się zaskoczona.

– Już się martwiłyśmy, ale ojciec Fryderyk nie pozwolił siostry budzić.

– Nie wierzę, że tyle godzin spałam. Boże, jaka byłam zmęczona.

– Z pewnością. Tak mocno siostra spała.

– Za długo. Starzeję się w zaskakującym tempie.

– Ależ gdzie tam. Jest siostra najbardziej aktywna z nas wszystkich.

– Jesteś bardzo miła, ale ja wiem swoje. – Ludwika próbowała się oswobodzić z obszernej kapy.

– Ładna kołdra. – Młoda zakonnica przyglądała się z ciekawością patchworkowej narzucie.

– Też mi się podoba. A wiesz, kto ją uszył?

– Nie mam pojęcia.

– Marianna.

– Nasza Marianna?

– Tak, nasza Marianna.

– Piękna i taka miła w dotyku. – Justyna mięła w dłoniach delikatny materiał narzuty, a Ludwika pomyślała, jak wielu przyjemności są pozbawione kobiety żyjące w klasztorze. Zastanawiała się przez chwilę, czy gdyby mogła cofnąć czas, to znowu wybrałyby życie zakonne. Czuła powołanie do pomocy innym, ale czy do tego trzeba koniecznie zostawać zakonnice? Dla niej i tak było już za późno, zresztą do tej pory nie narzekała. Ostatnie wydarzenia nasuwają jej różne myśli, nawet jeśli ich nie chce, same pchają się do głowy.

– O, tu jesteście... – Przez uchylone drzwi zajrzała inna młoda zakonnica, siostra Zofia. – Ojciec Fryderyk chciał siostrę zobaczyć.

– Dobrze.

– Ale powiedział, że najpierw ma siostra zjeść kolację.

– Troskliwy Fryderyk – powiedziała z uśmiechem Ludwika, a Zofia i Justyna zachichotały. – Powiedziałam coś śmiesznego? – spytała, ale też miała ochotę się roześmiać.

- Wcale... – Znowu chichot.
- A co wy dzisiaj takie śmieszki? Czyżby matka przełożona miała dzisiaj dobry dzień i żadnej z was nie dopiekła?
- Nie ma matki przełożonej. Musiała pilnie wyjechać na kilka dni.
- To wszystko wyjaśnia. Co jest na kolację, dziewczyny?
- Kakao i chleb z miodem.
- Niech będzie. Jestem głodna jak wilk.

Nieobecność matki przełożonej wpłynęła pozytywnie na nastrój innych sióstr. Niby wszystko toczyło się normalnie, ale bez srogich spojrzeń i uwag przełożonej było po prostu bardziej swojsko. Aż dziw, jak jedna osoba potrafiła wpłynąć na atmosferę w całym domu zakonnym. Ludwice było niezręcznie tak myśleć o przełożonej, ale taka była prawda: gdy matka Anna opuszczała z jakiegoś powodu mury klasztoru, wszyscy odpoczywali.

Gdy zapadł zmrok, Ludwika udała się do ogrodu. Odkąd wróciła od Marianny, nie widziała się z Fryderykiem. Przespała nawet wieczorną mszę. Nikt jej nie obudził, pozwolono jej wyspać się do woli pierwszy raz od niepamiętnych czasów. Potrzebowała tego snu, by zregenerować się fizycznie, a przede wszystkim psychicznie. Teraz o wiele jaśniej myślała i raz jeszcze mogła przetrwać to, co usłyszała ostatniej nocy.

Fryderyk już na nią czekał. Przechadzał się niecierpliwie wypielegnowanymi alejkami, co chwilę spoglądając w stronę furtki. W końcu usłyszał delikatne skrzypnięcie. Przystanął i spoglądał w ciemność, skąd wyłoniła się znajoma postać.

- No jesteś... Nie mogłem się doczekać – przywitał ją prawie szeptem.
- Witaj, też mi było śpieszno się z tobą spotkać... ale trochę przeceniłam swoje siły. Starość mnie dopada jak nic – odpowiedziała też bardzo cicho.
- Dobrze, że odpoczęłaś. Domyśliłem się, że miałaś ciężką noc. Siostra Justyna mówiła, że spałaś jak kamień.
- Oj tak, dawno mnie tak nie zmogło. I dobrze się złożyło, że nie ma przełożonej, nic by nie było z mojego spania.

Mężczyzna się roześmiał. Jego śmiech rozniósł się po ogrodzie. Zakonnica spojrzała z lękiem w stronę budynku. Fryderyk zauważył jej niepokój.

– Spokojnie, matka Anna nie usłyszy. Przecież jej nie ma. Ale swoją drogą ma tu respekt, muszę przyznać. Nawet gdy jej nie ma fizycznie, sama myśl o niej stawia wszystkie zakonnice na baczność.

– Ma twardą rękę, to fakt. Ale ja ostatnio przestałam się tym przejmować i powiem ci, wychodzi mi to na dobre.

- Wiem coś na ten temat...
- Czyżby? – Tym razem Ludwika też zaśmiała się w głos, nie przejmując się tym, że ktoś ją usłyszy.

– To się porobiło, co? Ale podoba mi się.

– Mnie też...

Znowu dał się słyszeć śmiech kobiety i mężczyzny. Niósł się po ogrodzie i słyhać go było nawet na niższych piętrach klasztoru, z pewnością dotarł do uszu co niektórych sióstr zakonnych. Jednak żadne z nich się tym nie przejęło.

- Wiesz, jak mnie cieszy twój śmiech?
- Myślałeś, że nie potrafię się śmiać? Stara zakonnica pozbawiona poczucia humoru...
- Nie, nie, aż tak to nie. Ale przyznasz, że rzadko się uśmiechałaś. Miła, dobra, uczynna, ale wciąż zamyślona i smutna. Taka byłaś. Dopóki... – zawiesił głos.
- Dopóki nie spotkałam Marianny – powiedziała, patrząc mu odważnie w oczy, które

świeciły w ciemności.

- Właśnie, co u niej? Twój telefon mnie zaniepokoił.
- Poznałam jej historię, smutną, przerażającą, nieprawdopodobną. Wciąż nie mogę dojść do siebie po tym, co usłyszałam.
- Spodziewałaś się, że to będzie coś wyjątkowego.
- Tak. Prawdę mówiąc, spotkałam się w życiu z różnymi smutnymi, tragicznymi sytuacjami naszych podopiecznych w przytułku, ale to, co opowiedziała mi ta dziewczyna, przeraziło mnie. Nie dziwię się, że postradała zmysły.
- Ale już z nią wszystko w porządku? Wydaje się całkiem normalna.
- Mam nadzieję, że tak jest. Chociaż prawdę mówiąc, po takich przejściach musi zostać ślad, nie da się tego ot tak wyrzucić z pamięci. Na dodatek jest z tym wszystkim zupełnie sama. Jestem pełna podziwu, że sobie tak dobrze radzi.
- Pewnie dlatego tak chroni prywatność i przywłaszczyła sobie cudzą tożsamość.
- Właściwie to ja jej w tym pomogłam. Wtedy, kilka lat temu, jak zjawiała się w przytułku. Moja decyzja była taka spontaniczna i szybka. Czułam, jakby ktoś mną kierował.
- Zapewne tak było. Naszym obowiązkiem jest wierzyć w boską opatrzność.
- Tak myślisz?
- Wątpisz w to? Ty, przykładna zakonnica?
- Masz rację. Nie powinnam mieć wątpliwości, że kierowała mną wola Najwyższego.
- Chciałbym usłyszeć historię tej dziewczyny. Jeśli możesz mi ją opowiedzieć.
- Początkowo Marianna zastrzegła, że to, co mówi, ma zostać między nami. Ale po przemyśleniu pozwoliła opowiedzieć tobie, tylko tobie. Wierząc, że w żaden sposób jej nie zaszkodzi.
- Jestem duchownym z powołania, moim zadaniem jest pomagać, nie szkodzić. Może mam zastrzeżenia co do samej instytucji Kościoła, ale to akurat nie ma w tym przypadku żadnego związku. Chyba mi ufasz?
- Nie byłoby mnie tu, gdyby było inaczej. I wiesz... cieszę się, że cię bliżej poznałam.
- To tak samo jak ja – odpowiedział i wskazał na ławkę pod dużym dębem. – Usiądźmy i cały zamieniam się w słuch.

Usiedli blisko siebie, ale na tyle daleko, żeby ich sutanny się nie dotykały. Fryderyk tym razem nie zdjął swojej, idąc do ogrodu. Jednak gdy Ludwika położyła dłoń na ławce, mężczyzna nakrył ją swoją dłonią i delikatnie ścisnął. Był to jedynie gest przyjaźni, bez żadnych podtekstów, chciał dodać jej w ten sposób otuchy. Jednak uzyskał wręcz odwrotny efekt. Ludwikę ten dotyk, aczkolwiek miły, bardzo onieśmielił. Spuściła głowę, przelękając ślinę. Zorientował się, że w ten sposób jej nie pomoże, i cofnął swą rękę.

- Przepraszam, chyba wprowadziłem cię w zakłopotanie, nie miałem takiego zamiaru.
 - Nie, nie, wszystko w porządku. To było miłe... – odpowiedziała cicho i poczuła, że rumieni się jak małolata. W duchu dziękowała Bogu, że stworzył noc, i Fryderyk nie widzi jej rumieńców.
 - Mów, proszę, postaram się już niczym cię nie dekoncentrować.
- Westchnęła, uniosła głowę i już spokojnym głosem opowiedziała dokładnie to, co usłyszała od Marianny. Mężczyzna, słuchając jej, czuł momentami, jak serce bije mu mocniej z przerażenia i niedowierzania. W głowie snuł już plan, jak pomóc dziewczynie. Jako dobry psycholog wiedział, że pomoc jest jej jak najbardziej potrzebna.

*

Marianna po ostatniej nocy, gdy uświadomiła sobie, że jej wielka tajemnica nie jest już

tylko jej tajemnicą, przeraziła się. Ufała Ludwice, ale obawiała się, że ta w dobrej wierze, chcąc jej pomóc, zrobi jakiś nierozważny krok i zdradzi jej sekret. Co będzie, jeśli się wyda, że nie jest prawdziwą Marianną? Jeśli zostanie oskarżona o podpalenie domu Apolla i o kradzież kosztowności jego matki? Albo jeśli uznają ją za niepoczytalną i znowu zamkną w szpitalu? Co się stanie z Aressem? Jej ukochanym dzieckiem. Jakże żałowała, że powiedziała wszystko Ludwice, nawet o Iwie. Sama nie mogła uwierzyć, że to zrobiła. To było bardzo nierozważne i lekkomyślne. Wpadła w panikę, oczami wyobraźni widziała, jak zabierają jej dziecko, a ją samą zakuwają w kajdanki. A Apollo... przecież zostanie oskarżony o ukrywanie jej. Dokładnie nie wiedziała, ale domyślała się, że jest to czyn karalny. Swoją nieostrożnością może zaszkodzić wszystkim, których kocha. Nie mogła na to pozwolić.

*

Trzy ogromne torby podróżne stały przy drzwiach. Ares ze swoim ulubionym autkiem w małych rączkach stał przygotowany do wyjścia. Był nieco zdezorientowany. Nie wiedział, co się dzieje, mama biegła po mieszkaniu, pakowała wszystkie rzeczy i co chwilę mu powtarzała, że jadą na wycieczkę. Ale on jej nie wierzył. Pierwszy raz nie wierzył swojej ukochanej mamie. Przecież już wyjeżdżali na wycieczki z Wiktorem i Wojtusiem i było inaczej.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie... – powiedziała Marianna i przytuliła synka.

Zadzwoił domofon. To przyjechała taksówka. Marianna poprosiła kierowcę, by wszedł i pomógł jej z bagażami.

Gdy załadowany po brzegi samochód ruszył spod budynku, Marianna raz jeszcze smutnym wzrokiem spojrzała za siebie. Znowu to robi, znowu ucieka z miejsca, gdzie było jej tak dobrze. Ale musi chronić siebie i swoje dzieci. Musi uciekać, bo chociaż tu spotkała dobrych ludzi, to nie może czuć się bezpieczna, skoro zdradziła swoją tajemnicę. Ocierała łzy, podając kierowcy adres. Ares patrzył na matkę i się nie odzywał. Był mały, ale czuł, że dzieje się coś niedobrego. Przyciskał do siebie autko, które dostał od Wiktora, i walczył z napływającymi łzami. W końcu nie wytrzymał i się rozplakał.

– Jakaś tragedia panią spotkała? – spytał kierowca, który do tej pory tylko obserwował pasażerkę.

Marianna nie odpowiedziała, zamknęła oczy i przytulała płaczącego malca. Taksówkarz drugi raz nie zapytał, co jakiś czas spoglądał w lusterko na dziwnie zachowującą się pasażerkę. Kurs był dosyć długi, nie chciał, by przez jego ciekawość kobieta z niego zrezygnowała. Zauważył jednak coś jeszcze. Jechał za nimi jakiś samochód. Był prawie pewien, że śledził ich od samego początku. Pomyślał nawet, że pewnie dwoje ludzi się posprzeczało i kobieta postanowiła odejść, a jej facet ją śledzi. Właściwie było mu wszystko jedno, co ją zmusiło do wyprowadzki, bo sądząc po ilości bagażu, wyprowadzała się. Kierowca skupił się na drodze i zatopił się w swoich myślach. Po prawie godzinnej jeździe dotarli do małej miejscowości.

– Chyba jesteśmy na miejscu. – Taksówkarz odwrócił się do pasażerki.

– Dziękuję – odpowiedziała spokojnie i już bez słowa rozliczyła się z kierowcą, zostawiając mu spory napiwek.

– Pomogę pani z bagażami. Trochę ich jest.

– Dziękuję – powiedziała i podeszła do dwukondygnacyjnego budynku, z którego wyszła jakaś kobieta.

– Pani Marianna Walewska? To pani dzwoniła w sprawie mieszkania?

– Tak, to ja.

– Proszę za mną.

Kobieta poprowadziła ich na piętro, do mieszkania, które Marianna na szybko wynajęła

przez Internet.

Wracając do swojej taryfy, taksówkarz spostrzegł zaparkowany nieopodal samochód, ten sam, który za nimi jechał. Chwilę mu się przyglądał, w końcu ruszył, stwierdziwszy, że to nie jego sprawa.

To Wiktor śledził taksówkę, do której wsiadła Marianna. Teraz tkwił w swoim aucie, nie rozumiejąc, co się dzieje. Chciał dzisiaj odwiedzić dziewczynę, nie zapowiedział się wcześniej, ponieważ wydawało mu się, że ich znajomość była już na takim etapie, że nie musi tego robić. Czuł do Marianny coś więcej niż przyjaźń i był pewien, że i ona darzy go uczuciem, a tu taka przykra niespodzianka. Gdy zajechał pod jej dom, zobaczył, że wsiada do taksówki, a kierowca próbuje domknąć wypchany bagażnik. Ona najwyraźniej gdzieś wyjeżdżała i sądząc po liczbie walizek, raczej na dłużej. Nie zauważyła go, ruszył więc za nią i teraz tu tkwił, nie wiedząc, co robić. Próbował do niej dzwonić, ale telefon miała wyłączony. O co tu chodzi? – myślał. Co ona wyprawia? Ucieka przed kimś? Za bardzo mu na niej zależało, żeby miał odpuścić. Jeśli to przed nim ucieka, chciał to usłyszeć od niej osobiście. Stanie przed nią twarzą w twarz i zapyta. Dotarło do niego, że nie może, nie chce jej stracić. Może ona nie jest na to gotowa? Domyślał się, że Marianna miała jakąś tajemniczą przeszłość, o której nie chciała mówić. Rozumiał ją, on też co nieco przeżył i niechętnie do tego wracał. Nie mógł znieść tej niepewności, wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku domu, do którego kilka chwil temu weszła Marianna.

– Pan do kogo? – Kobieta, którą widział niedawno przed bramą, zjawiała się znowu nie wiadomo skąd, ledwo tylko wszedł do budynku.

– Ja do Marianny. Przyjechała tu dzisiaj z synkiem.

– Ja nic nie wiem, proszę pana. A pan chyba tu nie mieszka? Proszę nie niepokoić spokojnych lokatorów.

– Ja nikogo nie niepokoję, ja do Marianny.

– Proszę pana, niech pan stąd idzie albo wezwę policję.

– Policję? Ale... – Chciał się wytłumaczyć, lecz w końcu zrezygnował, kobieta wyglądała na nieustępliwą jędzę. Postanowił poczekać. Pewnie Marianna wyjdzie z domu na jakieś zakupy. Odjeżdżała tak pośpiesznie, był pewny, że choćby ze względu na dziecko wcześniej czy później musi się zaopatrzyć w podstawowe produkty.

Nie mylił się. Już po niespełna godzinie czuwania w samochodzie zobaczył ją. Wyszła, trzymając synka za rączkę. W drugiej ręce chłopiec wciąż ścisnął samochodzik, który on mu podarował. Wzruszył go ten widok, bardzo polubił małego Aresa, z wzajemnością, jak zdążył zauważyć. Marianna rozglądała się niepewnie, w końcu ruszyła przed siebie wolnym krokiem. Wiktor wysiadł z samochodu i podążył za nią. Weszła do najbliższej apteki, następnie do piekarni. Gdy po kilku minutach wyszła ze sklepu, natknęła się na Wiktora. Znieruchomiała jak posąg, wpatrując się w mężczyznę. Natomiast Ares zareagował momentalnie.

– Wujek! – krzyknął radośnie, puścił dłoń matki i wpadł prosto w objęcia Wiktora.

– Wiktor!? Co ty tu robisz? – spytała w końcu Marianna bardzo cicho, a jej oczy zaszkliły się, jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem.

– To ja chciałbym cię zapytać: co się dzieje, Marianno?

Nie odpowiedziała. Jej ramiona zaczęły drżeć, walczyła ze łzami i z bezradnością, jaka ją ogarnęła.

– Chodź tu do mnie – powiedział Wiktor i trzymając na jednej ręce chłopca, drugą przytulił do siebie kobietę.

Stali chwilę wtuleni w siebie i dla całej ich trójki była to chwila bardzo szczęśliwa.

– Co ty wyprawiasz? Uciekasz przede mną? – szeptał jej do ucha. – Nie pozwolę, wszędzie cię znajdę. Ja cię kocham.

– Zabierz mnie do domu i nie pozwól nigdy odejść – odpowiedziała i sama się zdziwiła swoim słowem. Jednocześnie poczuła ulgę, że nie jest sama; teraz to wiedziała, teraz uwierzyła, że jest ktoś, kto jej pomoże, na kogo może liczyć. Był Wiktor, była Ludwika... miała przyjaciół, a od przyjaciół się nie ucieka.

Jakież było zdziwienie kobiety wynajmującej mieszkanie w małej kamienicy, gdy Marianna wróciła z Wiktorem. Od razu go rozpoznała i zmierzyła srogim spojrzeniem. Jeszcze bardziej zaskoczyła ją informacja, że kobieta jednak rezygnuje z mieszkania. Nazwała ją nieodpowiedzialną manipulanką. Lecz ani Marianna, ani tym bardziej Wiktor nie przejęli się uwagami i nastrojem gospodyni. W kilkanaście minut cały bagaż wylądował w bagażniku samochodu Wiktora. Ares z niesamowitą radością usadowił się w foteliku, a gdy tylko ruszyli, zasnął szczęśliwy i spokojny.

*

Ludwika z głową przepelnioną myślami próbowała zasnąć. Ale sen długo nie nadchodził. Ze zmęczenia już nie była pewna, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę, czy może jakieś senne koszmary plączą jej się z rzeczywistością. Bardzo się przejęła historią Marianny, ale i spotkanie z Fryderykiem po raz kolejny nią wstrząsnęło. Rozumiała jego zaangażowanie w sprawę dziewczyny, zawsze był jej przychylny, i to, że chciał jej pomóc, bardzo ją cieszyło. Razem szybciej się uporają z problemem i gehenna młodej kobiety przynajmniej częściowo się skończy. Musi tylko porozmawiać z Zuzanną i przedstawić jej propozycję ojca Fryderyka. Ale sprawa Marianny to jedno, a relacja, jaka się nawiązała między nią a Fryderykiem to drugie jej zmartwienie, które nie dawało jej spokoju. Wciąż czuła jego dotyk, gdy kładł dłoń na jej dłoni. Te spojrzenia głęboko w oczy i słowa, jakimi ją pożegnał.

– Bardzo cię lubię, wiesz? Do zobaczenia kolejnej nocy... – powiedział prawie szeptem, stojąc tak blisko niej, że czuła na twarzy jego oddech. Nawet teraz, jak o tym myślała, to czuła, że płonie. Nie rozumiała, co się z nią dzieje, a może rozumiała, tylko nie chciała w to uwierzyć. Zawsze myślała, że takie rzeczy zdarzają się młodym. Jej nigdy wcześniej coś takiego się nie przytrafiło. Owszem, słyszała kilka razy, że jakiś ksiądz lub zakonnica zrzucali sutannę czy habit opętani szaloną miłością. Nigdy nie mogła zrozumieć takich ludzi. Była pewna, że takie uczucie można zwalczyć silną wolą, modlitwą. Teraz na własnej skórze doświadczała, jakie to trudne. Była już niemłoda, Fryderyk też miał swoje lata i z pewnością oboje ugaszą żarzący się w nich płomień. Ale gdyby byli młodszy... która miłość by zwyciężyła? Do Boga czy do człowieka? Dlaczego jedna wyklucza drugą? Teraz rozumiała, co miał na myśli Fryderyk, mówiąc o niedoskonałości Kościoła. Wciąż powtarzał, że nie takiego poświęcenia Bóg oczekuje. Ale jako dobry duchowny poddawał się regułom Kościoła, chociaż nie we wszystkim się z nimi zgadzał.

– Boże, pomóż, bo oszaleję. Ześlij mi spokojny sen, a po przebudzeniu czysty umysł... – Po raz pierwszy od dawna prosiła o coś tylko dla siebie. Zazwyczaj jej modlitwy były prośbami w intencji innych. Dzisiaj nie potrafiła się na tym skupić. W końcu zasnęła zmęczona, a jej modlitwa może została wysłuchana...

*

Wiktor wniósł śpiącego Aresa do mieszkania Marianny i wrócił po resztę bagaży. Decyzja dziewczyny o ucieczce dała mu do myślenia. Ona wciąż się czegoś bała, jakieś przeszłe wydarzenia nie dawały jej spokoju. Bardzo chciał jej pomóc, chciał, by mu zaufała, i miał nadzieję, że tak się stanie. Pokochał ją i małego Aresa. Chciał ich szczęścia.

– Daj mi to, proszę – powiedziała, gdy zjawił się z kolejnym bagażem, niedużym zawiniątkiem. W środku wyczuwał coś o regularnych kształtach. Podał jej ten przedmiot

i zauważył, jak delikatnie się z nim obchodziła. Zostawił ją i wyszedł po ostatnią już walizkę.

Gdy wszystko zostało wniesione, Marianna podeszła do Wiktora, przytuliła się i spojrzała mu w oczy.

– Dziękuję ci, nie masz pojęcia, jakie to dla mnie ważne, co dzisiaj zrobiłeś. Wiele zrozumiałam.

– Wiesz, jak się bałem, gdy zobaczyłem, że wyjeżdżasz tak znienacka, bez uprzedzenia? Myślałem, że przede mną uciekasz.

– Chciałam uciec sama przed sobą, ale zrozumiałam, że tak się nie da. Wszędzie będzie tak samo.

– Co cię tak trapi, kochanie? Powiesz mi?

– Nie pytaj o nic. Jeszcze nie... Przyjdzie czas, że wszystko zrozumiesz, i wtedy zdecydujesz. Być może nie będziesz chciał ze mną być... – dokończyła cicho.

– Zawsze będę z tobą. Zawsze... – powtórzył i mocniej ją przytulił.

Nie odpowiedziała. Już ktoś jej to obiecywał. Miała nadzieję, że tym razem to nie są puste słowa.

*

Wiktor został do rana. Nie wracali już do tematu ucieczki Marianny. Wierzył jej i postanowił poczekać na rozwój sytuacji. Teraz zastanawiali się wspólnie, jakie wytłumaczenie ma przedstawić Marianna w pracy. W końcu zaliczyła bumelkę. Zawsze mogła się zasłonić dzieckiem, ale nie chciała oszukiwać. Już dość było kręactw w jej życiu, to przy wszystkich poprzednich wydało się niewinne, ale jednak zdecydowała, że usprawiedliwi się fatalnym samopoczuciem. W jakimś sensie to było prawdą. O dziwo spotkała się ze zrozumieniem. Została ukarana tylko pouczeniem i dodatkowymi godzinami do odpracowania, co przyjęła z pokorą. I tak sądziła, że ma więcej szczęścia niż rozumu, bo mogło to się skończyć o wiele gorzej.

Pod koniec pracy dostała wiadomość od Ludwika. Zakonnica prosiła ją o pilne spotkanie, najlepiej jeszcze dzisiaj. Zgodziła się, chociaż burzyło to nieco jej plany. Była umówiona z Wiktorem. Przyjechał po nią do pracy, chociaż nie tak się umawiali.

– Nie przypominam sobie, żebym zamawiała taksówkę – powiedziała z uśmiechem, gdy zatrzymał się przy niej, wyjeżdżając prawie na chodnik.

– Ależ jestem pewien, że pani zamawiała. W mojej firmie nie zdarzają się pomyłki – podjął od razu żartobliwy dialog.

– Skoro pan tak twierdzi... poproszę na Orzechową, pod przedszkole.

– Jak pani sobie życzy.

Wiktor był zadowolony, że Marianna miała wyraźnie lepszy humor. To go bardzo cieszyło. Zauważył, że wczoraj coś w niej pękło, jakby w końcu opuścił ją jakiś lęk czy obawa. Decyzja, jaką podjął, widząc ją odjeżdżającą spod domu taksówką, była słuszna. Aż się bał myśleć, co by było, gdyby pozwolił jej odjechać, gdyby nie ruszył za nią.

– Ludwika prosiła mnie dzisiaj o spotkanie. To ponoć coś bardzo pilnego.

– Ta zakonnica, która pomogła ci w potrzebie? – Wiktor znał Ludwikę z opowiadań Marianny. Nigdy nie poznał jej osobiście, ale wiedział, że dla Marianny to ktoś ważny.

– Tak. Naprawdę wiele jej zawdzięczam. Gdyby nie ona... nigdy byś mnie nie poznał.

– Skoro tak, to masz wolne popołudnie. – Spojrzał w jej stronę, puszczając do niej oko.

– Czyli co? Nasze wieczorne spotkanie odwołane? – spytała, jak mu się wydawało, ze smutkiem.

– O, nie, nie... nie wymigasz się tak łatwo. Powiedziałem: wolne popołudnie. Zabiorę Aresa, poszaleją trochę z Wojtkiem, ty się tymczasem spotkasz z Ludwiką, ale wieczór jest mój.

Zgoda?

– No pewnie. Ares będzie przeszczęśliwy. Nie wiem, jak Wojtek... Czasem wydaje mi się, że jest trochę zazdrosny, Ares zabiera mu ukochanego wujka.

– Tak było na początku, ale przeprowadziłem z nim męską rozmowę i zapewniam cię, że wszyscy będziemy się świetnie bawić.

– Skoro tak, to zgadzam się na wszystko.

– I super. Jesteśmy na miejscu. Ja zabieram chłopaków, a ty załatw, co tam masz do załatwienia, i spotkamy się wieczorkiem.

Posłała mu ciepłe spojrzenie okraszone równie ciepłym uśmiechem.

*

Ludwika zjawiła się już po kilkunastu minutach od telefonu Marianny. Wciąż nie było matki przełożonej, więc jakby nikt nad niczym nie miał kontroli, co wbrew pozorom wychodziło wszystkim na dobre. Wszystko działało jak w dobrym zegarku z tą tylko różnicą, że każda z siostr robiła, co do niej należało, z przyjemnością, nie lękając się uwag czy groźnych spojrzeń przełożonej. W gruncie rzeczy była to zasługa siostry Anny: miała tu taki prestiż, że nawet jak jej nie było, trzymała wszystko i wszystkich w garści.

– Witaj, kochaniutka, dobrze, że znalazłaś dla mnie chwilę. Musimy porozmawiać – przywitała się Ludwika. – A gdzie Ares? – spytała, zdziwiona tym, że chłopiec nie wybiegł jej jak zwykle naprzeciw.

– Znajomy go zabrał. Ma siostrzeńca w podobnym wieku, pewnie poszli na plac zabaw. Chłopcy chodzą do jednego przedszkola.

– A... to nawet dobrze się składa. Chociaż uwielbiam twojego synka.

– On ciebie też bardzo lubi, nawet mu nie powiem, że byłaś, bo byłoby mu smutno. Rozgość się, zrobię herbatki...

Marianna wyszła do kuchni, a zakonnica zasiadła w swoim ulubionym fotelu. Była mile zaskoczona dobrym nastrojem dziewczyny. Obawiała się, że zastanie ją przygnębioną, zdenerwowaną. Widziała przecież, ile wysiłku kosztowała ją ich ostatnia rozmowa. Odniosła nawet wrażenie, że Marianna trochę żałuje, że powiedziała jej o sobie wszystko. A tu jej młoda przyjaciółka zachowuje się jakby nigdy nic, wydaje się wręcz rozluźniona i zadowolona, jakby zrzuciła z siebie jakiś ciężar.

– Jest herbatka i coś do herbatki. – Dziewczyna pojawiła się z kubkami pachnącego napoju i talerzykiem ciastek.

– Marianno... – Ludwika chciała jak najszybciej przekazać przyjaciółce propozycję Fryderyka.

– Tak?

– Rozmawiałam z Fryderykiem... to znaczy z ojcem Fryderykiem – poprawiła się szybko.

– Jak to przyjął? Bardzo był zszokowany moją historią?

– Owszem. Ja też wciąż jestem w szoku. To niesamowite, co przeżyłaś.

– Długo nie mogłam o tym mówić, ale coś się zmieniło. Nadal to dla mnie trudne, ale już nie tak bardzo – odparła Marianna i już miała powiedzieć, że próbowała nawet uciec, ale coś ją powstrzymało. Nie chciała denerwować przyjaciółki. Może kiedyś jej powie, ale jeszcze nie dzisiaj...

– Jak się zapewne domyślasz, największym szokiem dla mnie i ojca Fryderyka jest... – Spojrzała na szkatułkę. – Tak nie można, skarbie.

– Chodzi ci o prochy Iwa? Nie potrafię się z nim rozstać – szepnęła smutno Marianna.

– Rozumiem cię, skarbie. Ale zastanów się. Ojciec Fryderyk coś zaproponował. Może się

zgodzisz.

Dziewczyna nerwowo przełknęła ślinę. Miała świadomość, jakie podejście mają ludzie, a zwłaszcza duchowni, do przetrzymywania prochów zmarłych w domu. Ale wciąż nie była gotowa się z nimi rozstać.

– Wiem, co mógł zaproponować. To naturalne, że ksiądz będzie mnie nakłaniał do pochowania mojego dziecka.

– Tak, masz rację, i ja też go popieram, uważam, że komoda nie jest odpowiednim miejscem dla... – zawiesiła na chwilę głos, zastanawiając się, jakich słów użyć, by nie urazić przyjaciółki – dla twojego nieżyjącego dziecka – dokończyła.

– Nie! – Marianna była nieugięta.

– Ale posłuchaj, co Fryderyk zaproponował. Otóż jest gotów odprawić cichy pogrzeb, prochy można złożyć w grobie prawdziwej Marianny, często tam chodzisz, będziesz go odwiedzać i nikt się nie dowie...

Dziewczyna milczała. Wiedziała, że to, co robi, jest nienormalne, ale właściwie wszystko w jej życiu takie było. Czasami wydawało jej się, że to jakiś sen, z którego zaraz się obudzi.

– Obiecuj mi chociaż, że się zastanowisz. Pomyśl o Aresie. Co mu powiesz, jak kiedyś zapyta, co jest w tej szkatułce? A w końcu zapyta. Pomyśl, jaki to będzie dla niego szok. Bo chyba powiesz mu prawdę?

Ten argument dotarł do Marianny. Ludwika miała rację.

– Obiecuję, że się zastanowię. Ale proszę, daj mi czas.

– Dobrze. – Zakonnica wiedziała, kiedy przestać i zmienić temat. Osiągnęła cel, a reszta to już kwestia czasu. – Pyszne te ciasteczka – pochwaliła. – Jestem łasuchem, nie da się ukryć.

– Cieszę się, że ci smakują. Ares też je uwielbia. – Marianna poczuła ulgę, że temat zawartości szkatułki z macicy perłowej został chwilowo odsunięty na plan dalszy. Ale zdawała sobie sprawę, że problem wróci i trzeba będzie go rozwiązać.

– Będę już szła. – Ludwika nie bez trudu wstała z głębokiego fotela.

– Nie musisz się spieszyć...

– Dziękuję, kochana, ale nie będę zajmować ci dzisiaj czasu. Pewnie Ares z twoim znajomym niedługo wrócą, robi się późno.

Marianna spojrzała na zegarek.

– Tak, wkrótce będą, ale naprawdę nie musisz się spieszyć. Wiktor nie gryzie.

– Zapewne jest przemiłym młodym człowiekiem. Chętnie go poznam, ale może innym razem. Naprawdę powinnam już lecieć. Nie ma matki przełożonej, a ja jako hmm... najstarsza z siostr muszę mieć wszystko na oku.

– Skoro tak. Ale następnym razem zostaniesz dłużej i poznasz Wiktora. On też jest ciebie ciekaw.

– Obiecuję.

Ludwika pożegnała się z przyjaciółką i pospiesznie ruszyła w drogę powrotną. Czuła mały niesmak, bo niezupełnie powiedziała Mariannie prawdę. Rzeczywiście miała niepisany obowiązek dopilnować porządku w klasztorze pod nieobecność przełożonej, ale był też drugi powód. Próbowwała odsunąć od siebie natrętne myśli, które powracały. Niestety z marnym efektem. Miała spotkać się z Fryderykiem w ogrodzie, i na to spotkanie czekała najbardziej. Nie mogła się doczekać zmroku, po wieczornej mszy zobaczy się z nim sam na sam. Te spotkania przy blasku księżycy były dla niej wyjątkowo miłe, karciała się za tak szczeniackie odczucia, ale nie potrafiła ich opanować.

Apollo

Agnieszka czekała na córkę, parząc w czajniczku aromatyczną herbatę. Joachim zapobiegliwie pojechał po drewno do kominka, miały więc chwilę na babskie ploteczki.

– Babciu, będziemy mieć dzidziusia, prawdziwego! – Mała Ola wbiegła roześmiana do salonu, tuż za nią weszła Eliza.

– Naprawdę? – Agnieszka udawała zdziwioną i zaskoczoną.

– Naprawdę, mamusia mi powiedziała. – Dziewczynka promieniała szczęściem, w przeciwieństwie do jej matki, co Agnieszka od razu spostrzegła.

– Dobrze się czujesz? – spytała córkę. – Początki ciąży bywają niezbyt przyjemne .

– Czuję się bardzo dobrze, żadnych dolegliwości.

– To o co chodzi? Coś nie masz humoru.

– Aż tak to widać?

– Mnie nie oszukasz. Znam cię od urodzenia.

– Babciu, gdzie jest kotek? Chcę się z nim pobawić... – Dziecko niecierpliwie kręciło się po salonie, szukając zwierzaka.

– Pewnie wyleguje się na łóżku. Zobacz w sypialni – powiedziała czule Agnieszka do wnuczki, patrząc z niepokojem na córkę. – Eliza... co się dzieje?

– Sama nie wiem, może jestem przewrażliwiona.

– Apollo? O niego chodzi, tak? Nie cieszy się?

– Ależ cieszy się, i to bardzo, ale jest jakiś przybity, zupełnie jak wtedy, gdy byłam w ciąży z Oleńką. Niby się cieszył, ale widziałam, że coś go męczyło.

– Więc pewnie tak przeżywa twoje ciążę. Skoro za pierwszym razem też tak było, nie masz się czym martwić – pocieszała córkę Agnieszka, ale i ją zaniepokoiło zachowanie Apolla. Domyśliła się, co go męczy. Źle się czuła ze świadomością, że ma przed Elizą tajemnice, i to dotyczące jej męża, ale przecież nie mogła powiedzieć jej wszystkiego, co wiedziała. Obiecała dochować tajemnicy, to raz, a dwa to obawa, jak przyjęłaby to Eliza. Znając porywczy charakter swojej córki, była prawie pewna, że jej reakcja byłaby opłakana w skutkach. Woląла więc zachować sekret dla siebie, nawet za cenę nieczystego sumienia. Dla dobra swojego dziecka. Tak to sobie tłumaczyła. Chociaż w głębi serca czuła ból i żal do Apolla, że tak nierozsądnie wpakował się w tę nieprawdopodobną historię. Miał szczęście, że go lubiła, widziała, jak sam to przeżywa i próbuje naprawić.

– Pewnie masz rację. Łapię się na tym, że wciąż nie mam pełnego zaufania do żadnego faceta. Nawet do własnego męża. Wiem, to głupie, ale nie umiem tego zwalczyć.

– Wcale nie głupie. W końcu oni sami są sobie winni. Twoje poprzednie związki...

– Nie chcę o tym nawet wspominać. Apollo jest inny, to ja mam z tym problem – przerwała jej w pół zdania Eliza.

Agnieszka pokiwała głową i postanowiła nie ciągnąć tematu.

– Zrobiłam lazanie. Za kilka minut będą gotowe.

– A to stąd ten kuszący zapach. Mam wielką ochotę na lazanie. Zupełnie inaczej niż w pierwszej ciąży, żadne zapachy mnie nie drażnią. Wręcz przeciwnie, wzbudzają apetyt. Jak tak dalej pójdzie, pod koniec ciąży będę ogromna jak słonica.

– Super, że masz apetyt. Ale lepiej nie jedz za dwoje, bo potem będę wysłuchiwała twoich lamentów, że jesteś za gruba.

– To i tak nieuniknione. To niesprawiedliwe, że w ciąży tak się tyje.

– W ogóle się tym nie przejmuj, to normalne. Obiecuję, że ci powiem, jak zaczniesz przesadzać z jedzeniem. Będziemy miały wszystko pod kontrolą.

– Ale pachnie... – Eliza zmrużyła oczy, wdychając zapach potrawy. – Długo jeszcze?

– Już podaję.

Kończyły właśnie swoje porcje lasanii, gdy wrócił Joachim.

– Pachnie na kilometr. Zostało coś dla mnie? – spytał już od progu.

– Dziadek, będziemy mieć dzidziusia. – Ola podbiegła do niego z nowiną.

– To świetnie, będziesz się miała z kim bawić.

– Ale on będzie malutki dziadku, o taki. – Dziewczynka z poważną miną pokazała na wyciągniętych rączkach wielkość dzidziusia.

– A to rzeczywiście malutki. Ale dzieci szybko rosną. Ty niedawno też byłaś taka malutka. – Joachim uwielbiał swoją wnuczkę i zawsze poświęcał jej dużo uwagi. – A wolałabyś siostrzyczkę czy braciszka?

– To będzie dzidzius! – Mała tupnęła nóżką, co wszystkich rozśmieszyło.

– Apollo już to z nią przerabiał. Nie da sobie wytłumaczyć. Dzidzius to dzidzius – powiedziała Eliza, rozkładając ręce.

– I ma rację. Oby zdrowe było, a czy będzie sikać na stojąco, czy na siedząco, to nie ma znaczenia – podsumował wesoło Joachim.

– Widzę, że humor ci dopisuje. – Agnieszka uśmiechnęła się do męża. Lubiała, gdy miał dobry nastrój. Zresztą on rzadko się złościł. Miał pogodną naturę, chociaż bywał uparty. Ale to akurat była jedna z jego zalet. Swoim uporem wiele osiągnął. Nawet to, że byli razem, zawdzięczał swojemu uporowi.

– A co ma nie dopisywać? Rodzinka się powiększa. – Puścił oko do Elizy. – Zakupiłem drewno do kominka, więc zima nam niestraszna. Będę mógł spędzać ze swoją uroczą żoną zimowe wieczory w blasku wesołych płomieni. A co z moimi lasaniami? W brzucha mi burczy – zmienił temat.

– Proszę bardzo, smacznego. – Agnieszka położyła przed nim talerz z parującą potrawą. – Kiedy wróci Apollo? Dla niego też mam porcję.

– Powinien niedługo być. Przyślę go do ciebie, bo obiadu mi się nie chce już gotować. Najadłam się jak bąk. – Eliza poklepała się po brzuchu.

– Ja też jestem bąk. – Ola naśladowała matkę, wypinając brzusek i się po nim klepiąc. Zaraz potem zaczęła ziewać.

– Ktoś tu jest śpiący. Idziemy na drzemkę, królowno, zbieraj się.

Dziewczynka posłusznie wstała i skierowała się do wyjścia.

– Pa, kotku, później jeszcze przyjdę – powiedziała do czarnego kota leżącego na fotelu. – Paaa... – Pomachała dziadkom.

– Trzymajcie się, dzięki za obiad, był pyszny. – Eliza też się pożegnała.

Zostali sami, Joachim kończył swoje danie, Agnieszka wkładała naczynia do zmywarki.

– Co się dzieje? – Mężczyzna spoglądał znad talerza na nieco nerwowe ruchy żony. Znał ją już dobrze i wiedział, kiedy coś ją męczyło.

– Sama nie wiem. Może jestem już przewrażliwiona.

– Mów, o co chodzi, kochanie.

– Jak zwykle o nasze dzieci.

Joachim westchnął, spodziewał się tego. Powrót Zuzy, choćby tylko w niewielkim stopniu, nie przejdzie bez echa. Wiedział, że jego syn tak łatwo nie odpuści. Bał się, że Apollo zechce się przekonać na własne oczy, jak jej się wiedzie. Nie mógł do tego dopuścić.

– Ale co konkretnie? Apollo coś nabroił?

– Nie, nie. To nie tak. Tylko Agnieszka niepokoi się jego zachowaniem. Zauważyła, że jest ostatnio jakiś nieobecny, zamyślony. Niby cieszy się z kolejnego dziecka, ale dziwnie to okazuje.

– Hmm... zapewniam cię, że on się cieszy, i to bardzo, ale...

– Zuzanna? Tak? Ta dziewczyna nigdy nie zniknie z jego życia. On jej nie zapomni, on ją kocha – wyrzuciła z siebie Agnieszka głosem pełnym żalu.

– On kocha przede wszystkim Elizę. Powiedział mi to i ja mu wierzę.

– Nie przeczę, ale to, że czuje coś do swojej dawnej narzeczonej, widać jak na dłoni. Już to, jak się zachował, widząc te jej patchworki, mówi samo za siebie. Gdyby była mu obojętna... Joachim, niech to się już skończy. Ta dziewczyna może i nie jest niczemu winna, ale zaczynam jej nienawidzić. – Po policzkach Agnieszki spłynęły łzy, co zdenerwowało Joachima. Odłożył sztućce i wstał od stołu.

– Kochanie, nie mów tak, jesteś dobra jak anioł, chociaż bywasz czarownicą... – próbował jakoś rozładować napięcie.

– Ja już nie mam siły, jest mi źle z tym, że ukrywam prawdę przed własną córką. – Agnieszka była naprawdę załamana.

– Chodź tu do mnie. – Joachim wyciągnął ręce i przyciągnął ją do siebie. – Będzie dobrze, obiecuję. A to, że Eliza nie wie wszystkiego, to dla jej dobra, przecież wiesz. Ja też kocham twoją córkę i zależy mi na moim synu, chcę, by miał szczęśliwą rodzinę. Porozmawiam z nim jeszcze dzisiaj.

– I co mu powiesz? Żeby zapomniał o Zuzannie? Tak się nie da. Uczucia rządzą się swoimi prawami, nie da się wyrzucić kogoś z pamięci, jeśli wciąż ma się go w sercu.

– On już wybrał i wiem, że nie żałuje swojego wyboru, a że nie potrafi poradzić sobie z przeszłością, to już inna sprawa. Ale i tę kwestię musi rozwiązać. I tak będzie. Apollo to mądry młody człowiek, nie narazi swojej ukochanej ani swoich dzieci na żadne rozterki.

– Obyś miał rację.

– Mam. I proszę cię, zaufaj mu. Jemu też jest ciężko.

Agnieszka schowała twarz w ramiona męża, próbowała się uspokoić, martwiła się o córkę, ale dręczyło ją też to, co ukrywała przed Joachimem. Miała przed oczami Zuzannę i dziecko, które tamta prowadziła za rękę. Nie miała wątpliwości, czyje to było dziecko. Uważała, że Apollo powinien wiedzieć o synu, ale czy ta wiedza nie zmieni jego życia? A tym samym życia jej ukochanej córki i wnuczki.

– Joachim... – Odsunęła się od niego i spojrzała mu w oczy.

– Tak? – powiedział czule, również patrząc jej w oczy.

– Muszę ci coś powiedzieć, coś ważnego – usłyszała swoje własne słowa i nie mogła uwierzyć, że to zrobiła.

Twarz Joachima zastygła, zmrużył oczy i czekał. Agnieszka nie miała już wyjścia, zabrnęła za daleko. Miała tylko nadzieję, że ta wiadomość nie przewróci do góry nogami życia jej i jej najbliższych.

– Nie powiedziałam ci wszystkiego o Zuzannie. Przepraszam – dodała cicho.

– Jak to nie powiedziałaś wszystkiego? O czym mi nie powiedziałaś? – Joachim nie ukrywał zaskoczenia.

– Ona ma dziecko, i to dziecko jest Apolla, nie mam wątpliwości. Chłopczyk jest w podobnym wieku co Oleńka, wiesz, co to znaczy?

Joachima dosłownie zamuroowało, nie wiedział, co odpowiedzieć. Jeśli Agnieszka mówiła prawdę, to by znaczyło, że... że jego syn to kawał drania. Zapewniał go, że nie sypiał z Zuzą, odkąd poznał Agnieszkę, a jednak...

– Halo, jest tu ktoś? Dostałem informację, że podają tu pyszne lazanie! – wołał już od drzwi niczego nieświadomy Apollo.

Agnieszka spojrzała na Joachima, widziała, jak poruszyła go wiadomość, którą mu przed chwilą przekazała.

– Nic nie mów, nie teraz – poprosiła go szeptem.

– Co macie takie grobowe miny? Stało się coś? – Apollo wciąż był zdziwiony nietypową atmosferą.

– A co się miało stać? Siadaj, już podaję, jeszcze nawet ciepłe.

Agnieszka ze stoickim spokojem podała mu lazanie. Joachim był pełen podziwu dla żony. W nim aż się gotowało, miał ochotę przyłożyć synowi. Ale patrząc na Agnieszkę, na jej spokojne ruchy i uśmiech, którym obdarzyła Apolla, trochę się opanował. Był wdzięczny losowi za taką kobietę.

Później, wieczorem, gdy zostali już sami i leżeli przytuleni w łóżku, wrócili do tej rozmowy.

– Dziękuję ci, jesteś aniołem – szepnął jej czule do ucha. – Ja miałem ochotę go rozszarpać.

– I co by to dało? Też mnie to zabolalo, bardzo, ale próbuję zrozumieć twojego syna. I trochę go rozumiem. Wplątał się w niesamowitą historię, nie myśląc o konsekwencjach. Widzę, jak się stara, jak się troszczy o rodzinę. Ale... ale martwi się też o Zuzę. Gdyby wiedział o dziecku...

– Dlatego się nie dowie – stanowczym głosem wyraził swoje zdanie Joachim. – Nie może się dowiedzieć. Jak będzie trzeba, ja pomogę tej dziewczynie, ale mój syn nie może się dowiedzieć o dziecku.

– Jak długo będziemy to ukrywać? W końcu się dowie i nas znieawidzi. A Eliza? Nigdy mi nie wybaczy.

– Nie dowie się. Zuzanna też tego nie chce. Uciekła, ukryła się, zmieniła tożsamość.

– Jak widać, na nic to się nie zdało, i tak ją odnalazł.

– To był przypadek.

– A jak jej syn dorośnie i zechce odnaleźć ojca? Skąd wiesz, co mu powie, jak o niego zapyta? A zapyta z pewnością. Boże, nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Myślałam, że takie historie to tylko w telenowelach. – Agnieszka była załamana.

– Nic nie wiem na pewno. Ale nie widzę innego wyjścia. Nie możemy mu powiedzieć. A Zuza z pewnością będzie trzymała syna z daleka od Apolla. Ona nie chce komplikować mu życia. Nie widzisz tego?

– Wszystko na to wskazuje, ale wiesz, jak to jest. Życie pisze swój scenariusz, a ludzie to tylko aktorzy, tak zawsze mówiła moja mama, jak coś sobie planowałam na dłuższy czas.

Joachim westchnął, objął Agnieszkę, pocałował ją w czoło.

– Co innego możemy zrobić? – spytał smutno. – To mój syn, twoja córka. Nasze dzieci, musimy je chronić. To brzmi wręcz nieprawdopodobnie, ale prawda może to wszystko zniszczyć. Nikt na tym nie zyska, a wiele osób ucierpi.

– Masz rację. – Agnieszka przyłgnęła do niego mocniej, zawsze czuła się taka bezpieczna w jego ramionach, ale dzisiaj była niespokojna i nawet jego troska nie mogła tego zmienić.

– Zawsze byłem dumny z syna, ale mnie rozczarował.

– Co ty mówisz? Masz wspaniałego syna, wrażliwego, mądrego. Może gdzieś tam popełnił błąd, ale w dobrej wierze. Kto z nas nie popełnia błędów? Moja córka też ma ich kilka na koncie, a wciąż jestem z niej dumna.

– Mówiłem ci już dzisiaj, że jesteś aniołem? – spytał, mrużąc oczy.

Marianna

Ludwika nie mogła się doczekać końca mszy. To było już normą, że gdy miała iść na wieczorne spotkanie z Fryderykiem, siedziała w ławce jak na szpilkach. Co więcej, była prawie pewna, że Fryderyk wykazywał podobną niecierpliwość. Szybciej mówił, szybciej wykonywał wszystkie czynności i w rezultacie msza była tego wieczoru odrobinę krótsza. Co nie uszło uwadze innych zakonnic.

– Ale dzisiaj ojciec Fryderyk szybko trajkotał, jakby go ktoś poganiał – stwierdziła jedna z nich.

– Też miałam takie wrażenie – powiedziała druga.

– To jakiś problem? Macie pięć minut więcej na pogaduszki. – Ludwika obróciła to w żart, myśląc w duchu, że to na spotkanie z nią tak się spieszył.

Młode zakonnice ze śmiechem ruszyły po schodach na piętro. To był ostatni dzień takiej swobody. Nazajutrz wracała matka przełożona i wszystko wróci do normy, co oznaczało, że znowu zapanuje klasztorny rygor. Ludwika odczekała, aż ucichną głosy na korytarzu, i ruszyła do ogrodu.

Furka cicho zaskrzypiała. Weszła do ogrodu, zdążyła tylko pomyśleć, że trzeba ją naoliwić, gdy znowu usłyszała skrzypnięcie. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Fryderykiem.

– Widziałem cię, jak tu szłaś, i prawie zawołałem.

– Lepiej zachowywać się cicho, matki Anny nie ma, ale...

– Ale ściany mają uszy. Nawet tu, w klasztorze.

– Myślisz, że któraś z sióstr coś zauważyła? Jesteśmy ostrożni, chyba... – dodała cicho.

– Sam nie wiem. Ale może coś jednak po nas widać. Dzisiaj jedna z sióstr spytała mnie, dlaczego tak się spieszyłem przy odprawianiu mszy. Ponoć nawet kilka razy się pomyliłem. Nawet tego nie zauważyłem, nie zdarzało mi się to nigdy wcześniej.

– Spieszyłeś się, ale pomyłek nie zauważyłam. Może dlatego, że myślałam gdzie indziej – powiedziała, rumieniąc się. Było już dość ciemno, Fryderyk nie mógł tego zauważyć.

– Ja też bujałem w obłokach, a raczej w ogrodzie. Gdyby matka Anna była na mszy, oberwałoby mi się. Ona potrafi wychwycić najmniejszy błąd – powiedział, próbując spojrzeć Ludwice w oczy, ale spuściła głowę.

– Jutro wraca – szepnęła Ludwika ze smutkiem jakby do siebie i ruszyła alejką. Fryderyk szedł tuż za nią, niemal jej dotykając.

– Wiem. Ale tych kilka dni bez niej dało wytchnienie siostrze. Od jutra znowu będą się snuły smętnie przy ścianach tych długich korytarzy. To mnie zawsze przygnębiało. W tych kobietach nie widać radości. Radość to miłość, a miłość to Bóg. Gdyby to ode mnie zależało, klasztor tętniłby życiem i śmiechem od świtu po noc.

– Czy gdzieś na świecie są takie klasztory? – spytała, zatrzymując się przy ławeczce, gdzie często siadali.

– Raz tylko gościłem w takim klasztorze. W Afryce. Klasztor nieduży, skromny, wręcz biedny, ale tyle w nim było radości i śmiechu. Tylko podczas modlitwy panowała cisza, zaraz po niej wracał gwar. Zakonnice miały tam okropne warunki i ciężko pracowały, szyjąc ubrania i nawet buty dla tamtejszych ludzi. Sam widziałem ich zniszczone, poranione dłonie, ale żadna się nie skarżyła. Ze śmiechem oglądały pęcherze na rękach, przekomarzając się, która ma większe. Cierpiały z pewnością, ale radość pomagała im to znosić.

– Dwa różne światy. Tutaj cierpienie jest inne.
– Tu jest samotność, błędnie uznawana za poświęcenie dla Boga. Takie jest moje zdanie. Ale i tak nikt nie weźmie go pod uwagę, więc nie ma o czym dyskutować. Co tam u Marianny? – zmienił nagle temat.

– O właśnie! Rozmawiałam z nią i wiesz, powiedziała, że się zastanowi nad twoją propozycją. To rozsądna dziewczyna i zaufała mi, myślę, że się zgodzi.

– To świetna wiadomość. Jak tylko wrócę, zajmę się tym. Jeśli, mam nadzieję, że tak będzie, nasza dama się zgodzi na moją propozycję.

– Skąd wrócisz? – spytała niemal niesłyszalnym szeptem.

Fryderyk chwilę milczał. Też mu było ciężko, ale polecenie biskupa to jak rozkaz w wojsku. Nie mógł nic na to poradzić. Miał tylko nadzieję, że będzie mógł tu wrócić, co wcale nie było pewne. Mogło się zdarzyć, że zostanie przydzielony zupełnie gdzie indziej. Miał zabrać ze sobą tylko potrzebne rzeczy, to dawało nadzieję, że tu jednak wróci.

– Nie tylko wy macie przełożoną – odparł cicho i tym razem udało mu się spojrzeć jej w oczy. Nie wiedział, czy to blask księżycy, czy jej łzy sprawiały, że wydawały się takie błyszczące.

– Zabiera cię stąd? – Ludwika wiedziała, że księża są przenoszeni w różne miejsca, ale Fryderyk? On był tu od zawsze. Tak jej się wydawało.

– Na zastępstwo. Ksiądz w jednej parafii się rozchorował. Tydzień mnie nie będzie. Mnie tu zastąpi ksiądz Leszek. Znacnie go.

– Aż tydzień...? – wyrwały jej się z gardła słowa brzmiące jak skomlenie.

– Szybko minie. Nie zdążysz zatęsknić. – Jemu też słowa więzły w gardle. Do tej pory próbował zabić w sobie uczucie do tej kobiety, które się w nim rodziło, ale w końcu się poddał. Bardzo ją lubił, za bardzo. Nigdy wcześniej nie czuł tego wobec żadnej niewiasty. A teraz, na starość, doświadczył tego, co z wielkim skrępowaniem wyznawali mu spowiadający się bracia zakonni. W życiu nie przypuszczał, że i jego to dopadnie.

– Już tęsknię... – Jej cichy głos złapał go za serce. Nie zważając na nic, wyciągnął ramię i przytulił do siebie przerażoną kobietę.

Stali wtuleni, nieruchomi jak posąg, on czuł ciepło jej delikatnego ciała, które nawet przez habit wydawało się takie kruche, że gdyby je ścisnął, z pewnością zgruchotałby jej kości. Ona słyszała bicie jego serca, które brzmiało jak najpiękniejsza muzyka. Była oczarowana tą bliskością i pragnęła, by ta chwila trwała wiecznie.

Ani on, ani ona nie mieli odwagi ani ochoty odsunąć się od siebie. Tkwili tak długo, stracili poczucie czasu. Uczucie, które ich połączyło, było jak klej spajający dwie części. Nie mówili nic do siebie, nie musieli, ta bliskość, tak różna od bliskości innych zakochanych, musiała im wystarczyć. Czuli spokój, radość i smutek jednocześnie. Ona pierwsza przerwała tę ciszę łkaniem. Poczul, jak drży w jego ramionach, w końcu zanoszą się płaczem, nie mogąc znieść żalu i poczucia niesprawiedliwości.

– Nie płacz, kochana. – Fryderyk wypowiedział słowa, których nigdy nikomu nie mówił, i wydały mu się naturalne, bo jakże miał nazwać kobietę, która zawładnęła jego twardym sercem?

– Czy to jest miłość? – spytała cicho Ludwika, pociągając nosem. – Czy ja ciebie kocham?

– Na to wygląda. I wiesz co?

– Co? – wychlipała.

– Ja ciebie też kocham.

Znowu przylgnęli do siebie, napawając się bliskością i dręcząc poczuciem winy, bo

zdawali sobie sprawę, że nie mogą sobie pozwolić na tę zażyłość. Nikt na całym świecie ich nie zrozumie. Starszy ksiądz i starsza zakonnica osaczeni całkiem młodą miłością...

*

Fryderyk wyjechał następnego dnia przed poranną mszą, którą odprawiał w zastępstwie ksiądz Leszek. Ludwika nie wstawała z klęczek. Nie mogła stłumić w sobie żalu do Boga, że ją tak doświadcza. Próbowwała skupić się na modlitwie, miała ogromne poczucie winy, że nie potrafi myśleć o niczym innym jak tylko o niewinnym pocałunku w policzek. Bo tak ją pożegnał Fryderyk – delikatnym pocałunkiem w policzek. Wciąż czuła to dotknięcie jego ust jak muśnięcie motyla. Nie spała do rana, nie mogła spać, nie po takich przeżyciach. Zastanawiała się, czy Fryderyk spał tej nocy. Czekwała go długa podróż samochodem. Powinien być wypoczęty. Ale może podobnie jak ona nie mógł zmrużyć oka...

– Siostrzynie!? – Poczowała lekkie szarpnięcie za ramię. – Dobrze się czujesz? Tak długo klęczysz.

Ludwika uniosła głowę, to siostra Justyna do niej mówiła. Rozejrzała się, ławki wkoło były puste, tak samo jak ołtarz. Msza już się skończyła, a ona wciąż tkwiła tu na klęczkach oderwana od rzeczywistości.

– Matka przełożona cię wzywa – powiedziała ze współczuciem Justyna.

– Tak, tak... już idę. – Ludwika wstała z trudem, zdrętwiałe od długiego klęczenia nogi odmawiały posłuszeństwa. W końcu opanowała rozdygotane ciało i wolnym krokiem ruszyła do klasztornej biura. Matka Anna na nią czekała i o dziwo zachowywała się bardzo sympatycznie, jakby pobyt w innym miejscu ją odmienił.

– Szczęść Boże – przywitała się Ludwika, unikając wzroku przełożonej.

– Witaj, witaj. Muszę cię pochwalić. Wszystko jest w idealnym porządku. Dobrze się sprawowałyście. Aż mam wątpliwości, czy jestem wam tu w ogóle potrzebna.

– Ależ...

– Już dobrze. Wiem, że jestem surowa, ale ktoś musi to wszystko trzymać w ryzach. Może ja przesadzałam. Ojciec Fryderyk wciąż mi powtarza, że jestem za ostra dla tych młodych kobiet, prawie jeszcze dzieci. Przemyślałam to i postaram się zmienić. Ale chcę też usłyszeć twoje zdanie, Ludwiko. Uważasz, że jestem zbyt surowa? Tylko szczerze.

Ludwika była tak zasmucona wyjazdem Fryderyka, że było jej wszystko jedno, co powie czy pomyśli matka przełożona. Postanowiła być szczerą.

– Tak, matko przełożona, też uważam, że jesteś zbyt surowa dla sióstr. One żyją w ciągłym strachu przed twoim gniewem, a to im nie sprzyja.

– Tak myślisz... – Zakonnica zamilkła, popatrzyła na obraz Świętego Franciszka wiszący na przeciwległej ścianie. – Doceniam twoją szczerą. Ty i ojciec Fryderyk macie rację. Siostry powinny mnie szanować, być posłuszne, ale nie powinny się bać. A one przede wszystkim się boją.

Obie kobiety siedziały przez chwilę w ciszy naprzeciw siebie. Każda zatopiona w swoich myślach.

– Dziękuję, Ludwiko – powiedziała w końcu matka Anna. – Wracaj do swoich obowiązków.

Ludwika przez cały dzień nie mogła się na niczym skupić, co chwilę wyciągała z przepastnej kieszeni swój stary telefon i sprawdzała, czy nie ma wiadomości od Fryderyka. Obiecał się odezwać, jak tylko zajędzie na miejsce, a on zawsze dotrzymywał słowa. Żadne zajęcie ani nawet modlitwy nie zdołały jej uspokoić, a gdy po wieczornej mszy nadal nie dostała wiadomości, jej niepokój sięgnął zenitu. Kolejna noc też zapowiadała się na bezsenność. Zasnęła

dopiero nad ranem i obudziła się zaledwie po dwóch godzinach, gdy dzwony w kaplicy wzywały siostry na poranne modlitwy. Nie dotarła nawet do kościoła, gdy spotkała po drodze matkę przełożoną. Jedno spojrzenie wystarczyło, by wiedziała, że stało się coś złego. Nogi się pod nią ugięły już po pierwszych słowach, jakie usłyszała.

– Przykro mi, Ludwiko, wiem, że się lubiliście. Przed chwilą dostałam wiadomość. To była czołówka, zginął na miejscu... niech dobry Bóg przyjmie go do siebie.

Ludwika już nic więcej nie słyszała, mgła zasnuła jej oczy i czuła, że spada gdzieś w przepaść, poddała się zmiażdżona tą straszną informacją. Nie pamiętała, jak znalazła się w celi na swoim niewygodnym łóżku. Nie pamiętała nic oprócz słów siostry Anny: zginął na miejscu.

– Sostro Ludwiko, sostro... – Ktoś do niej mówił. Otworzyła oczy i spojrzała na zatroskaną twarz Justyny, jej czerwone od płaczu oczy potwierdziły tylko to, co wydało jej się złym snem.

– Dlaczego? Dlaczego Bóg to robi? Dlaczego tak rani ludzi? – szeptała, patrząc na przerażoną młodą siostrę.

– Musimy wierzyć, że Bóg wie, co dla nas najlepsze. Ojciec Fryderyk był dobrym człowiekiem, zapewne cieszy się w niebie z innymi świętymi – pocieszała Ludwikę, jak mogła, siostra Justyna. Była bardzo zdziwiona, że ta doświadczona i oddana Bogu kobieta tak się załamała śmiercią księdza. Jako zakonnica powinna wierzyć, że Fryderyk przeszedł do wiecznego życia przy boku Zbawcy, stwórcy świata.

– Dziecko drogie, jak ty jeszcze nie znasz życia... – odpowiedziała Ludwika, próbując się podnieść i usiąść.

Do pomieszczenia weszła siostra Aldona.

– Matka przełożona pyta, czy wezwać lekarza. – powiedziała.

– Nie, żadnego lekarza. Zostawcie mnie na chwilę samą. Tylko na chwilę... – Spojrzała wymownie na Justynę.

– Dobrze. Tylko na chwilę – odpowiedziała Justyna i wyszła, ciągnąc za rękaw Aldonę, która stała jak słup soli, nie wiedząc, co ma zrobić.

Gdy Ludwika została sama, rzuciła się z płaczem na łóżko. Wcisnąwszy twarz w poduszkę, tłumiła szloch, nie chcąc, by siostry, które zapewne stały pod drzwiami, ją usłyszały. Daremnie, gdyż młode mniszki, bojąc się za bardzo oddalać, rzeczywiście stały przy samych drzwiach i słyszały rozpaczliwy płacz zakonnicy, która do tej pory wydawała im się taka twarda i godząca się bez sprzeciwu z losem.

– Musiała bardzo lubić ojca Fryderyka – powiedziała cicho Aldona.

– Jak wszyscy tutaj, ty go nie lubiaś?

– Lubiałam, ale ona bardziej. Siostry mówią, że ojciec Fryderyk i siostra Ludwika dziwnie na siebie patrzą i się uśmiechają... To znaczy uśmiechali... – dokończyła cicho.

– Głupoty gadasz, byli w podobnym wieku, to się lepiej rozumieli i tyle... – broniła Ludwika Justyna, chociaż i ona zauważyła, że tych dwoje lubiło swoje towarzystwo. Ale nie widziała w tym nic złego. Po prostu się przyjaźnili, przecież to nie grzech.

Nagle drzwi się otworzyły. Ludwika, smutna, ale całkiem już opanowana, stanęła w progu.

– Idę się pomodlić za duszę Fryderyka. Jak macie ochotę, to dołączcie – powiedziała i ruszyła w stronę schodów.

*

Uroczystość pogrzebowa odbyła się siódmego dnia od nieszczęśliwego wypadku. Padał

ciepły jesienny deszcz i cały świat wydał się Ludwice taki smutny i pusty, a brakło na nim przecież tylko jednego człowieka, albo aż jednego. Stała z grupą zakonnicy i obserwowała ludzi, którzy podchodzili do trumny, by pożegnać się z Fryderykiem. Były wśród nich dwie kobiety i trzech mężczyzn oraz trzech nastolatków. Zapewne to było jego rodzeństwo z dziećmi, mówił, że ma dużą rodzinę. Było też wielu innych ludzi, ale oni trzymali się nieco na uboczu, pozwalając rodzinie w tych ostatnich chwilach pobyc w spokoju przy zmarłym. Przyszło też całe mnóstwo księży, Fryderyk był lubiany w środowisku duchownych. Ona sama ledwo trzymała się na nogach. Nie mogła uwierzyć, że go już nie ma, że nie przyjdzie wieczorem do ogrodu, by z nią spacerować przy blasku księżyca. Już nigdy nie będzie mogła mu się zwierzyć, porozmawiać z nim, poradzić się. Gdy zamykali trumnę, poczuła jakby lekki dotyk na policzku. Przeszedł ją dreszcz, przed oczami stanęła jej ta chwila sprzed paru dni, gdy rozstawali się w ogrodzie. Pocałował ją w policzek, długo jeszcze czuła na skórze to delikatne muśnięcie. Nawet do głowy jej nie przyszło, że widzą się ostatni raz. Teraz poczuła to samo, jakby ktoś ją pocałował... Zamknęła oczy, bała się, że traci zmysły. Przecież jest zakonnica, nie wierzy w żadne takie historie, myślała, ale nie mogła pozbyć się wrażenia delikatnego dotyku.

– Ludwiko, dobrze się czujesz? – Przełożoną zaniepokoił fakt, że ma zamknięte oczy.

– Tak jak można się czuć na pogrzebie przyjaciela – odpowiedziała trochę krnąbrnie, ale i bardzo smutno.

– Nam wszystkim będzie go brakowało, ale musimy wziąć się w garść i szczerze się za niego modlić. Przypominam ci, że rozpacz jest grzechem – powiedziała matka Anna i położyła dłoń na ramieniu Ludwika.

Gdy opuszczali cmentarz, Ludwika spostrzegła Mariannę. Była w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Gdy tylko dziewczyna ją zobaczyła, ruszyła w jej kierunku.

– Tak mi przykro, Ludwiko... – Kobiety przytuliły się do siebie, próbując dodać sobie otuchy.

– Jestem Wiktor – przedstawił się mężczyzna towarzyszący Mariannie. – Dużo o siostrze słyszałem. Przykro mi, że poznajemy się w tak smutnych okolicznościach.

– Witaj, młodzieńcze... – Siostra Ludwika bardzo delikatnie się uśmiechnęła. Mimo wszystko było jej miło poznać człowieka, który przypadł do serca Mariannie.

– Siostrzo, czekamy! – dał się słyszeć kobiecy głos. Cała trójka odwróciła się w stronę, skąd dobiegał. To przełożona i grupka jej podopiecznych czekały na Ludwikę.

– Na mnie czas. Odezwę się niebawem – powiedziała smutno zakonnica i raz jeszcze przytuliła dziewczynę.

Marianna z Wiktorem chwilę patrzyli za oddalającymi się siostrami.

– Widać, że bardzo przeżyła śmierć tego księdza, jest jednym wielkim smutkiem – zauważył Wiktor.

– Tak. Bardzo się przyjaźnili i znali się od wielu lat. Ja aż tak dobrze go nie znałam, ale go lubiłam. To był dobry człowiek.

– Przykre jest to, że ludzie odchodzą. – Wiktor z wielką czułością objął Mariannę. – Wierzę, że my bardzo długo będziemy się cieszyć sobą nawzajem – szepnęła jej do ucha.

*

Kilka dni po pogrzebie Ludwika odważyła się zejść wieczorem do ogrodu. Furtka zaskrzypiała jak zwykle, a od alejki powiał chłodny jesienny wiatr. Otuliła się ciepłą chustą i weszła w głąb ogrodu. Każde mijane drzewo, każdy kamień i ławka przywoływały wspomnienia. Szelest spadających liści wydawał jej się cichym głosem Fryderyka. Czuła ból i tęsknotę tak wielką, że miała ochotę krzyknąć na cały głos, by ulżyć cierpieniu. Zrozumiała, że

go kochała. Wcześniej sama sobie nie pozwalała w to wierzyć, ale teraz była tego pewna. Pod koniec życia doświadcza takich prawdziwych ludzkich uczuć. Poznała Mariannę, którą pokochała jak córkę, dopuściła się oszustwa, kłamstwa i nie oparła się miłości do mężczyzny. Nie poznawała sama siebie, jakże była inną Ludwiką niż kilka lat temu. Ten wieczór, kiedy biedna, przerażona dziewczyna zapukała do ich przytułku, odmienił jej życie na zawsze.

Było już po północy, gdy zdecydowała się wrócić do swojej celi. Spojrzała w niebo, zamrugła oczami, by przegonić łzy.

– Mam nadzieję, że się kiedyś spotkamy, kochany... – powiedziała i ruszyła do wyjścia.

Puste, ciemne korytarze klasztoru wydały jej się takie smutne. Gdy przechodziła koło kaplicy, serce mało nie wyskoczyło jej z piersi. Uświadomiła sobie, że już nigdy nie zobaczy go przy ołtarzu ani w ławce czekającego na nią w szarym swetrze.

– Boże, pomóż... jestem taka słaba, niegotowa na takie przeżycia...

Modliła się po cichutku, zмирzając ku schodom. Nagle jej uwagę przykuło pudełko stojące na stoliku przed gabinetem przełożonej. Na samym wierzchu leżał szary sweter. Jego sweter. Drżącą ręką sięgnęła po niego i przycisnęła go do piersi. Przez chwilę czuła, jakby przytulała się do Fryderyka. Nie mogła powstrzymać łez, płakała, mocząc nimi sweter. W pudełku było jeszcze kilka książek, długopisy, jakiś zegarek, czapka, kilka kubków i mały notesik. Odłożyła sweter i sięgnęła po notes. Otworzyła. Pierwsze strony były puste, ale coś kazało jej wertować kolejne kartki. Mniej więcej w połowie trafiła na tekst. Serce tłukło jej się jak oszalałe. Na środku kartki dwa słowa: Dla Elżbiety... Tylko tyle zdołała przeczytać, reszta słów rozmazywała jej się przed oczami. Ale była pewna, że pisał to do niej. Spytał kiedyś o jej prawdziwe imię, to, które dostała na chrzcie. Pamiętała, że niechętnie, ale w końcu mu je podała. Podobało mu się. Przez chwilę się wahała, ale to było silniejsze od niej. Domyśliła się, że to rzeczy Fryderyka, po które pewnie zgłosi się ktoś z rodziny. Z bólem serca odłożyła sweter, chociaż bardzo chciała go zatrzymać, ale notes ukryła w rękawie habitu. Do wszystkich swoich przewinień dołożyła kradzież. Bo czymże innym było zabranie przedmiotu nienależącego do niej? Weszła prawie bezszelestnie po schodach i ciemnym korytarzem pomknęła do swojego pokoiku. Z biciem serca, siedząc na drewnianym taborecie przy słabym świetle nocnej lampki, otworzyła ponownie notes. Jak na swój wiek, miała dość dobry wzrok, ale dla pewności sięgnęła po okulary leżące na małym stoliku. Teraz już bez przeszkód mogła czytać. Przewróciła kolejną kartkę; ku jej zaskoczeniu był tam wiersz.

*

Jesteś, wiem...

Nie ma Cię,

Nigdy Cię nie było.

To tylko sen,

To tylko mi się śniło.

Znikasz gdzieś,

Rozpływasz się we mgle,

Słyszę szept

I losu drwiący śmiech.

Nie oszuka mnie

Natrętnych myśli bieg.

Że jesteś, wiem.

To wcale nie był sen...



*

Kilka razy przeczytała wiersz, próbując zrozumieć, co Fryderyk miał na myśli, pisząc go. Doszła do wniosku, że tak jak ona bronił się przed tą miłością, udawał, że jej nie ma. Ale uczucie zwyciężyło i zrozumiał, że łatwo nie odpuści. Co by było dalej? Jak by sobie poradzili? Stąpali po tak cienkim lodzie. Nie dane im było się przekonać, jak rozwinęłyby się ta nietypowa przyjaźń, już prawie zażyłość. Bóg brutalnie to przerwał. Zapewne dla ich dobra. Ale ona nie wiedziała, czy potrafi docenić tę troskę Boga...

*

Po śmierci ojca Fryderyka nic już nie było takie samo. Niby wszystkie siostry zakonne wykonywały swoje zwykłe zadania i obowiązki w klasztorze i przytułku, ale w powietrzu wisiał jakiś smutek, jakiś żal nieutulony. Fryderyk był lubiany przez zakonnice i jego odejście na każdej z nich odcisnęło jakieś piętno, co bardzo się nie podobało matce przełożonej. Uważała, może i słusznie, że kto jak kto, ale one powinny się za niego modlić, a nie okazywać smutek i ocierać po kryjomu łzy. Z wiadomych względów najbardziej cierpiała Ludwika, co inne siostry przyjęły z dużym zrozumieniem. Okazało się, że ciche mniszki dużo widziały, przyjaźń Ludwiki z Fryderykiem nie uszła ich uwadze. Współczuły jej i może troszkę zazdrościły, przynajmniej co niektóre. Były młodymi kobietami i nie wszystkie potrafiły znaleźć się w roli, jaką przecież same wybrały. Dla części z nich rzeczywistość okazała się zupełnie inna od wyobrażenia, jakie miały o życiu zakonnym. Jedną z takich sióstr była Justyna. Ludwika już wcześniej zauważyła, że dziewczyna nie jest całkiem zadowolona z drogi, jaką wybrała. Nie zdziwiło ją więc, kiedy ta poprosiła o rozmowę.

– Nakarmimy chore w izolatce i możemy chwilę porozmawiać – powiedziała smutno do Justyny.

Karmienie chorych poszło dzisiaj w miarę sprawnie. Spotkały się w małym pomieszczeniu, które służyło w przytułku za kuchnię.

– Zrobię herbaty – zaproponowała Justyna, po czym, nie czekając na odpowiedź, wyjęła kubki i włączyła czajnik.

– Dobrze, może uda nam się w spokoju ją wypić i porozmawiać. Bo chciałaś o czymś porozmawiać, tak?

– Tak... – odpowiedziała nieco podenerwowana Justyna.

– Postaram się pomóc. Mów śmiało, o co chodzi.

Ludwika była przygnębiona, ale z całych sił się starała, żeby to nie miało wpływu na jej codzienne życie w klasztorze. Pozwalała sobie na chwilę słabości podczas nocnych samotnych spacerów po ogrodzie. Wspominała wtedy Fryderyka i płakała, siedząc na ich ulubionej ławce. Powtarzała w myślach wiersz, który znała już na pamięć, nie mogąc się pogodzić z tym, że Fryderyka już nie ma.

– Bo ja... ja nie wiem, czy chcę tu nadal być.

Ciche słowa Justyny wyrwały Ludwikę z zamyślenia. Spojrzała na nią. Niebieskie oczy młodej siostry z długimi rzęsami lśniły, jakby za chwilę miały z nich wypłynąć łzy. Kosmyk jasnych włosów wysunął się spod kornetu. Justyna była ładną kobietą, ale to nie przeszkadzało w byciu zakonnice, jeśli się miało powołanie.

– To znaczy, mogę tu być jak najbardziej i pomagać przy chorych. Tylko... tylko ja się chyba zakochałam – kontynuowała równie cicho dziewczyna.

– Zakochałaś się? – spytała Ludwika jakby z niedowierzaniem, ale spokojnie, żeby nie zdenerwować bardziej Justyny.

– Tak... – Młoda zakonnica spuściła głowę, wbijając wzrok w podłogę.

– To normalne ludzkie uczucie, nie zawsze możemy się przed nim obronić – zauważyła Ludwika.

– Tak mówił ojciec Fryderyk. – Justyna podniosła na nią wzrok.

– Rozmawiałas o tym z Fryderykiem?

– Tak. Przecież to grzech. Ale ojciec Fryderyk powiedział, że zakonnica z przymusu nigdy nie będzie dobrą zakonnice. I polecił mi dobrze się zastanowić, czy chcę być zakonnice, czy raczej służyć Bogu w jakiś inny sposób, niekoniecznie w klasztorze.

Cały Fryderyk, pomyślała Ludwika. Był tak bardzo wyrozumiały.

– I zastanowiłaś się? – spytała łagodnie.

– Tak. Chcę być z Antonim – odpowiedziała już odważniej Justyna.

– Z Antonim? – Ludwika zastanawiała się, gdzie już słyszała to imię.

– Tak. To ten mężczyzna, który szukał tu swojej siostry.

– A... tak, tak. Pamiętam. Zniknął tak nagle.

– Nie zniknął. On wciąż jest. Tylko nie chciał już nic zmieniać. Postanowił spełnić wolę siostry. Ona nie chciała być odnaleziona. Też była zakochana i jej miłość też była zakazana...

– Tak, znam jej historię. I jeśli dobrze rozumiem, Antoni znalazł tu nie tylko siostrę, ale i miłość. – Ludwika uśmiechnęła się do Justyny. Jakże ją rozumiała. Kiedyś może by się oburzyła, próbowała tłumaczyć, ale teraz, po tym, co sama przeżyła, zdecydowanie była po jej stronie.

– Chcemy być razem... – Justyna znowu posmutniała.

– To na co czekasz? Jak powiedział ci Fryderyk, możesz przypodobać się Bogu także poza klaszturem. Nie masz jeszcze wszystkich święceń.

– Tak siostra myśli?

– Tak myślę, ale decyzja należy do ciebie. I musisz jeszcze wiedzieć, że spotkasz się zapewne z falą krytyki, ale także ze zrozumieniem. Ja ciebie rozumiem i myślę, że ojciec Fryderyk miał rację. Zakonnica bez powołania nigdy nie będzie dobrą zakonnice.

– Wydawało mi się, że mam powołanie. Ale jak poznałam Antka... – szepnęła Justyna, a jej twarz pokrył rumieniec.

– No widzisz, sama mówisz, że ci się wydawało. Gdyby Bóg cię powołał, żaden Antoni by tego nie zmienił – powiedziała Ludwika i pomyślała o swoim powołaniu. Przez tyle lat była przekonana, że je ma, i wciąż tak uważa. Jej przyjaźń z Fryderykiem tego nie zmieniła, miała

tylko szansę poznać i poczuć to, czego dobrowolnie kiedyś się wyrzekła.

– Dziękuję. Bałam się tej rozmowy i tej decyzji, ale już się nie boję. Wiem już, czego chcę, i zrobię to.

*

Jeszcze tego samego dnia Justyna odbyła rozmowę z siostrą przełożoną. A następnego ranka po porannej mszy, na której nie było już Justyny, Ludwika znalazła na swoim łóżku szary sweter i liścik.

Bardzo dziękuję za wszystko, co siostra dla mnie zrobiła, za każde mądre słowo, za każdą dobrą radę. Nigdy tego nie zapomnę.

Rodzina ojca Fryderyka nie zgłosiła się po jego rzeczy. Pomyślałam, że chciałaby siostra mieć po nim pamiątkę...

Justyna

*

Ludwika wpatrywała się chwilę w szary sweter, w końcu wzięła go i przytuliła do twarzy. Miłe wspomnienie zalało jej serce. Poczowała dobroć i spokój. Była wdzięczna Justynie za ten gest. Miała nadzieję, że dziewczyna znajdzie szczęście przy boku Antoniego.

*

Marianna czekała z obiadem na swoich mężczyzn. Była niedziela, Wiktor zabrał chłopców do kina na „męski” film. Dziewczyna wolała zostać w domu, nie miała specjalnie ochoty na kino, za to chciała poszaleć w kuchni. Lubiła gotować, a ostatnio miała na to tak niewiele czasu. Pracowała, zajmowała się synem, a niemal codzienne spotkania z Wiktorem, choć wspaniałe, też pochłaniały czas. Poza tym to dodatkowe duże zamówienie bardzo jej pomogło powiększyć domowy budżet, ale zajmowało wiele godzin. Na szczęście większość narzut była już gotowa, zostało kilka, skończy je i będzie mogła się zająć swoją rodziną. Tak, właśnie rodziną, zaledwie wczoraj Wiktor jej się oświadczył, a ona przyjęła oświadczyzny. Będą teraz prawdziwą rodziną. Jej synek będzie miał kochającego ojca. Czowała się taka szczęśliwa. Mieszkała żurek, ulubioną zupę Wiktora, i uśmiechała się sama do siebie. Po mieszkaniu rozniósł się zapach pieczonego ciasta. Nie mogła się doczekać, kiedy podzieli się tą wiadomością z Ludwiką, którą także zaprosiła na obiad. Była pewna, że zakonnica ucieszy się tą nowiną, która może chociaż odrobinę zmniejszy jej ból po stracie przyjaciela. Tak wiele zawdzięczała tej kobiecie i tak bardzo jej współczuła.

Otworzyła komodę i zastanawiała się, jaki obrus będzie pasował na dzisiejszy obiad, gdy usłyszała dzwonek domofonu. To była Ludwika.

– Witaj, Marianno. – Kobiety przywitały się pocałunkiem w policzek. Zakonnica się rozejrzała. – Jesteś sama? Przyszłam za wcześnie?

– Ależ skąd. Przyszłaś w sam raz. Chłopcy zaraz będą, poszli do kina.

– Stęskniłam się za Aressem. Przesłodki z niego dzieciak.

– Dziękuję. Pomożesz mi wybrać obrus? Może ten? – Marianna wyjęła jasnozielony obrus w kolorowe motyle.

– Jest piękny. Pomogę ci nakryć do stołu – zaproponowała zakonnica i od razu wzięła się do roboty. Po kilku minutach wszystko było gotowe. – Jak ładnie wszystko wygląda i jak pachnie. Jesteś znakomitą gospodynią – chwaliła Mariannę.

– Staralam się. A dzisiejszy obiad jest dla mnie, i nie tylko dla mnie, bardzo ważny.

Ludwika spojrzała na dziewczynę, oczekując więcej informacji.

– Wczoraj Wiktor mi się oświadczył – odpowiedziała Marianna i pokazała dłoń z pierścionkiem. Dzisiaj to nasz pierwszy rodzinny obiad.

– Wspaniała wiadomość, bardzo się cieszę. Szkoda, że Fryderyk tego nie dożył – dodała bardzo cicho Ludwika i nagle posmutniała.

Marianna podeszła do przyjaciółki i ją przytuliła. Wiedziała, jak bardzo zakonnica przeżyła śmierć księdza, z którym się przyjaźniła.

– Bardzo mi przykro – szepnęła jej do ucha. Nic więcej nie mogła powiedzieć, słowa więzły jej w gardle i o mały włos obie się nie rozplakały. Tę smutną chwilę przerwał powrót Wiktora i dzieci. Już po chwili zrobiło się głośno i wesoło. Tak właśnie Marianna wyobrażała sobie rodzinne obiady, i postanowiła, że będzie je często urządzać.

*

Ludwika prosto z przyjęcia u Marianny poszła do klasztorного ogrodu. Było jeszcze jasno, inaczej niż zwykle. Z Fryderykiem spotykała się zawsze o zmroku. Jesień była tu wyjątkowo piękna. Spacerowała alejkami usłanymi kolorowymi liśćmi, wdychała zapach ciepłej ziemi i przekwitających kwiatów. W końcu usiadła na ulubionej ławce i poprzez rzadkie już liście spojrzała w niebo.

– Wiesz, że Wiktor oświadczył się Mariannie? Pewnie wiesz... a może to twoja sprawka? Byłeś dobrym człowiekiem, pewnie masz chody u Najwyższego – mówiła cicho, ale wyraźnie; miała nieodparte uczucie, że Fryderyk ją słyszy. Przez chwilę pomyślała, że nie tak powinna się zachowywać zakonnica. Ale szybko odrzuciła tę myśl. Ostatnio przecież wciąż robiła coś, co nie wypadało zakonnicy. Fryderyk to pochwalał. A jego zdanie bardzo się dla niej liczyło.

Apollo

Przyszedł pierwszy transport patchworkowych narzut. Zgodnie z zaleceniem syna Joachim przekazał je do domu spokojnej starości. Wcześniej Apollo też tam oddawał nadmiar wyrobów Zuzanny. I tym razem darowizna sprawiła wiele radości. Okazało się, że kapy Zuzy są bardzo lubiane przez pensjonariuszy, wielu z tych, którzy byli tu od kilku lat, wciąż jeszcze miało na swoich łóżkach patchworkowe narzuty. Joachim nasłuchiwał się pochwał na temat kolorów, miękkości materiału i perfekcyjnego wykonania. Poczul się dumny i żałował, że nie może przekazać tych słów uznania Zuzannie. W końcu radość starszków to była głównie jej zasługa.

Wracając do domu, rozmyślał o Zuzannie. Może poznawszy jej obecną sytuację, wiedząc, że dziewczyna sobie radzi, nie zawracałby sobie już głowy jej życiem, ale informacja, którą przekazała mu Agnieszka, wiele zmieniała. Dziecko... prawdopodobnie dziecko Apolla, tak sądziła Agnieszka, a on jej wierzył. To także jego wnuk, nie potrafił o tym nie myśleć. Świadomość, że gdzieś tam jest dziecko jego syna, mały człowiek, który nosi jego geny, nie dawała mu spokoju. Postanowił zataić to przed Apollem. Dla dobra wszystkich, jak sobie tłumaczył, chociaż coś mu podpowiadało, że nie był to dobry pomysł. Gdyby jego to spotkało, gdyby ktoś przed nim zataił, że ma gdzieś dziecko... skopałby temu komuś tyłek. Jeśli Apollo się kiedyś dowie, będzie musiał mieć się na baczności. Z pewnością złość syna dosięgnie i jego. Może kiedyś będzie dobry czas na wyjawianie tajemnic. Na razie nie widział innego wyjścia...

Zdażył do domu na obiad. Lubił pyszne obiady Agnieszki. Nie rozumiał, jak kiedyś mógł się bez nich obywać. Jadł byle co, byle gdzie. Nie chciał, by tamte czasy wróciły.

– Jesteś już? Dobrze się składa, pierogi jeszcze ciepłe. – Spotkało go miłe powitanie.
– Pierozki, mmmm... Kocham cię.
– Mnie czy pierogi? – spytała z uśmiechem Agnieszka.
– No właśnie się zastanawiam... – odpowiedział żartem.
– Masz szczęście, że znam się na żartach...
– I za to też cię Kocham. Szaleję za tobą – powiedział bardzo głośno i ze szczerym uśmiechem.

Agnieszka na chwilę zamilkła i jakby posmutniała.
– Co jest? – Spojrzał na nią znad parującego dania. – Powiedziałem coś nie tak?
– Nie. Jesteś Kochany, a ja czuję się szczęśliwa jak nigdy wcześniej.
– I to cię martwi? Ej, bo stracę apetyt. Czegoś tu nie rozumiem.
– Przepraszam. Jedz, smacznego. – Stała tuż za jego plecami. – Chodzi po prostu o to, że jest tak idealnie między nami. Za idealnie... – dodała cicho.
– Nie rozumiem nigdy kobiet. Nawet nie próbuję, jesteście zbyt skomplikowane jak dla mnie. Ale pierogi robicie pyszne – powiedział z pełnymi ustami, co wywołało uśmiech Agnieszki.

Włożył następny kawałek do ust i mówi dalej:
– Ale jeśli ci to poprawi humor, to mogę czasem być nieprzyjemny, nawet mogę pokrzyknąć, ale nigdy cię nie uderzę. Damskim bokserem nie będę, nawet jeśli mnie bardzo poprosisz.

– Jesteś nienormalny – powiedziała i uderzyła go kuchenną ścierką.
Zrobił lekki unik i zasłonił się ręką.
– Uważaj, bo się zakrztuszę i będziesz mnie miała na sumieniu – ostrzegł rozbawiony.
Agnieszkę to również rozbawiło i zaczęła okładać go ścierką raz za razem, gdzie

popadnie.

– Ja ci zaraz dam! – Zerwał się z ławy i ruszył za uciekającą żoną. Dopadł ją na schodach, gdy próbowała wbiec na piętro. Przycisnął ją delikatnie do drewnianych stopni.

– Wiesz, co ci teraz zrobię? – spytał, starając się, by jego słowa brzmiały poważnie.

– Pierogi ci wystygną – odpowiedziała, próbując się wyswobodzić z jego uścisku.

– Zjem potem, zimne. Teraz mam ochotę na coś innego – zamruczał tuż nad głową żony, by po chwili przyłgnąć ustami do jej szyi.

Przymknęła oczy, miłe ciepło rozeszło się po jej ciele.

– Już nie będziesz uciekać? – spytał cicho, czując, jak cała mięknie pod jego dotykiem.

– Jest południe, ktoś może wejść... – szepnęła.

– Nikt nie wejdzie, pojechali na zakupy. – Gardłowy głos Joachima sprawił, że poczuła pożądanie, przestała się wrywać. Pozwalała mu się pieścić i całować, nie czując zupełnie twardych desek wbijających się w plecy. Jak para napalonych nastolatków kochali się na schodach prowadzących do ich sypialni, nie zważając ani na wczesną godzinę, ani na miejsce, ani na to, że nie wypada. Nic nie było ważne prócz nich samych. Doprowadzali się do ekstremalnej rozkoszy i absolutnego spełnienia. Wyczerpani, ale szczęśliwi ciężko oddychali, wciąż spleceni ramionami.

– To było niesamowite. Żeby w naszym wieku tak szaleć. Co ty ze mną robisz, kobieto?

– Co to znaczy w naszym wieku? Czyżbyś sugerował, że... – Nie dokończyła, bo zamknął jej usta namiętym pocałunkiem.

*

W niedzielny poranek Apollo z córeczką spacerowali po ogrodzie. Eliza czuła się zmęczona i chciała odespać pracowity tydzień.

– Tatusiu, a kiedy będzie śnieg? – spytała Ola.

– Pewnie niedługo, jesień się pomału kończy i przyjdzie zima.

– Babcia mówiła, że mamusia lubiła lepić bałwany. Ja też chcę, tatusiu.

– Obiecuję, że ulepimy największego bałwana na świecie, niech no tylko śnieg spadnie.

– Hura! – Dziewczynka biegła po alejkach, śmiejąc się i co chwilę kręcąc w kółko.

– Uważaj, bo upadniesz.

Ledwo Apollo zdążył to powiedzieć, a mała już leżała na miękkiej ziemi tuż przy przekwitłym krzaku róż. Tym najważniejszym w całym ogrodzie.

– Nic ci nie jest? – Podbiegł do dziecka.

– Nie, tatusiu, tu jest mięciutko, ale wybrudziłam kurtkę – odpowiedziała ze słodką miną.

– Nie szkodzi, zaradzimy temu. Wstawaj, ziemia jest już zimna.

Podniósł ją i otrzepał z ziemi. Spojrzał na mały kopczyk pod różami i serce zabiło mu mocniej. Pomyślał o swoim synku. Iwo byłby niewiele starszy od Oleńki. Przez moment próbował sobie wyobrazić, jak wyglądałby ich syn, jego i Zuzy.

– Tatusiu, zimno mi... – Szczebiot dziecka przerwał jego zamyślenie.

– To wracamy, bo się przeziębisz – odpowiedział, czule spoglądając na córeczkę.

– Chodźmy do babci – poprosiła.

– Dobrze, mamusia i tak pewnie jeszcze śpi.

Wystarczyło przekroczyć bardzo niski murek, właściwie podmurówkę, żeby znaleźć się na podwórku Agnieszki i Joachima. Mała zaczęła się wspinać na wysoką jak dla dziecka przeszkodę. Apollo chwycił ją pod pachy i sprawnie przeniósł na drugą stronę.

– Jeden upadek wystarczy, chyba nie chcesz rozbić sobie nosa? – zażartował, nim Ola zdążyła zaprotestować. Ostatnio starała się być bardzo samodzielna i niechętnie godziła się na

pomoc dorosłych, gdy uważała, że sama sobie poradzi.

Podeszli pod drzwi wejściowe, gdy Ola wpadła na świetny jej zdaniem pomysł.

– Tatusiu, wejdźmy po cichutku, żeby nas nie słyszeli... Zrobimy babci niespodziankę. – Spojrzała na ojca wzrokiem słodkiego psiaczka. Apollo miał chwilę zawahania, ale nie potrafił jej odmówić. Mała niemal zawsze wyprosiła u niego wszystko, co chciała. Wiedział, że to nie jest zbyt wychowawcze, ale miał nadzieję, że w porę się opamięta i nie pozwoli, żeby córka weszła mu na głowę. Uważał, że na razie trzyma rękę na pulsie.

– No dobrze, ale w takim razie nie możemy wejść głównym wejściem.

– Tamtędy. Dziadek mi pokazał – powiedziała dziewczynka konspiracyjnym szeptem i skierowała się na tyły domu, gdzie znajdował się garaż.

Apollo uśmiechnął się sam do siebie. Wiedział, że jego ojciec miał słabość do wnuczki, ale prawdę mówiąc, nie znał ich wspólnych sekretów.

– Tam jest klucz, tam wysoko – mówiła, wspinając się na palce.

Sięgnął ręką we wskazane miejsce i znalazł klucz. Trochę go to zaniepokoiło, że ojciec lekkomyślnie pokazał dziecku, gdzie chowa klucze, ale z drugiej strony mała nigdy nie rozmawia z nikim obcym. Tak czy tak, będzie musiał z nim porozmawiać. Ostrożności nigdy za wiele.

– Będziemy udawać złodziei.

– Co takiego? – spytał zaskoczony. – Kto cię tego nauczył?

– Dziadek, straszylśmy babcię, było fajnie – opowiedziała z zachwytem.

Apollo tylko pokręcił głową. Teraz to już na pewno porozmawia z ojcem. Wiedział, że to tylko zabawa, ale kto to widział, żeby bawić się z małą dziewczynką w złodziei. O ile pamiętał, z nim w dzieciństwie nikt się w złodziei nie bawił. Chyba że go pamięć zawodziła.

– Musimy wejść bardzo po cichu – instruowała go córka.

– Dobrze cię dziadek wyszkolił, ale to tylko zabawa.

– Wiem, złodziej jest zły, a my tylko udajemy. Dziadek mówił, że tak można. I nie gniewaj się na dziadka, tatusiu... – Ola chyba wyczuła irytację w jego głosie, bo miał wrażenie, że zaraz się rozplacze. Był zły sam na siebie. Przecież to tylko małe dziecko.

– Już dobrze, kochanie. Dzisiaj wystraszymy bardziej dziadka, zgoda?

– Tak, tak, wystraszymy dziadka – ucieszyła się.

– Dobrze, że mama tego nie widzi, oberwałoby mi się – powiedział cicho, ale Ola już tego nie słyszała. Weszli właśnie do garażu i skradali się do wejścia na piętro domu. Musiał przyznać, że Ola świetnie się spisywała. Szła niemal bezszelestnie z niezwykle poważną miną, jakby robiła coś bardzo ważnego, i był pewny, że ćwiczyła to wiele razy. Wiedziała dokładnie, który schodek trzeszczy i w którym miejscu poręcz skrzypi, jak się jej mocniej złapie. Apollo miał wrażenie, że gdyby zawiązał jej oczy, też by sobie dała radę. On natomiast poruszał się jak słoń w składzie porcelany, a wydawało mu się, że dobrze zna ten dom.

Wejście od garażu prowadziło do kuchni. Gdy się zbliżyli, Apollo usłyszał fragment rozmowy. Najwidoczniej gospodarze już nie spali.

– Ja jednak uważam, że Apollo powinien wiedzieć. – Słowa Agnieszki bardzo go zaintrygowały. Powstrzymał córeczkę, która już chciała wyskoczyć z ukrycia z okrzykiem „to jest napad”.

– Sam nie wiem, ale gdybym był na jego miejscu, chciałbym wiedzieć. Wiem, że jeszcze niedawno mówiłem inaczej, ale chyba nie mamy prawa tego przed nim ukrywać – odezwał się Joachim.

– Ja też co chwilę myślę inaczej, zwariuję od tego. Już nie wiem, co będzie lepsze...

W tym momencie mała kichnęła i Joachim z Agnieszka odwrócili się w stronę drzwi do garażu. Nie było już sensu się ukrywać. Apollo kiwnął do małej, pozwalając jej na

przedstawienie.

– To jest napad! Oddajcie wszystkie słodycze! – krzyknęła Ola, wyskakując z ukrycia.

Apollo parsknął, gdy to usłyszał. Więc tak to sobie ojciec wymyślił. Był niepokorzonym łasuchem, do tego stopnia, że Agnieszka musiała chować przed nim słodycze. Przebiegły dziadek wykorzystywał wnuczkę, by zdobyć kilka czekoladek, bo z pewnością babcia oddawała „złodziejom” cały ukryty słodki skarb.

– Ja nic nie mam. – Joachim podniósł ręce i spojrzał na Agnieszkę.

– To już czwarty napad w tym tygodniu, nie zdążyłam uzupełnić skarbcza – broniła się babcia. – Może być budyń?

– Tak, może być – zgodziła się dziewczynka.

Dzięki „napadowi” już po chwili wszyscy raczyli się budyniem z sokiem malinowym.

– Miałem z tobą poważnie porozmawiać na temat zabaw w złodziei z moją córką, ale w tej sytuacji nie mam zastrzeżeń – oświadczył Apollo, głaszcząc się po brzuchu. – Łup i mnie przypadł do gustu.

– Chyba nie myślałeś, że uczę wnuczkę złodziejskiego fachu? – Joachim udał oburzonego.

– Nieważne, co myślałem, ale pogadać i tak musimy – powiedział Apollo już całkiem poważnie, budząc niepokój ojca i Agnieszki. Oboje się domyślili, że słyszał ich rozmowę, a przynajmniej jej część, i będzie żądał wyjaśnień.

– Dobrze, synu. Porozmawiamy na spokojnie w cztery oczy.

*

Jeszcze tego samego popołudnia wybrali się razem do dość odległego pubu, aby spokojnie porozmawiać bez konieczności ukrywania się przed Elizą. To przed nią chcieli zachować tajemnicę, prawda w jej stanie mogłaby wyrządzić wiele złego.

Rozmowa mężczyzn była długa, momentami burzliwa, ale też wyjątkowo szczerą.

– I ty chciałeś to przede mną zataić? Mógłbyś z tym żyć? – Apollo po chwilowym szoku wywołanym wiadomością, jaką przekazał mu ojciec, czuł złość i nie ukrywał swoich emocji.

– A ty co? Może lepszy jesteś? Kto mnie zapewniał, że nie sypia z Zuzanną, odkąd pojawiła się Eliza? To niby skąd to dziecko? Nie masz pojęcia, jaki byłem zawiedziony, gdy sobie uświadomiłem, że mnie własny syn oszukał – wyrzucił z siebie Joachim, zaciskając ze złości zęby.

– Tato, to nie tak...

– To jak? Wyłumacz mi. Może to jednak nie twoje dziecko? Chociaż Agnieszka twierdzi, że skóra zdjęta z ciebie.

– Nie będę się wypierał. Prawdopodobnie jest moje, właściwie na pewno jest.

– A jednak!

– Ja naprawdę nie sypiałem z Zuzą od chwili, gdy urodził się nasz martwy synek. Bywałem u niej często, dbałem o nią, chociaż było mi coraz trudniej. W końcu Eliza już ze mną mieszkała. Nie masz pojęcia, jak podle się czułem, oszukując je obie...

– Wyobrażam sobie, ale sam się w to wpakowałeś.

– Wiem, i do końca życia będę za to płacił. Wciąż miewam koszmarne sny, w których tracę je obie.

– Biedactwo... – rzucił ironicznie Joachim.

– Spróbuj mnie zrozumieć – prawie krzyknął Apollo. Wziął kufel z piwem i duszkiem wypił niemal połowę jego zawartości.

– Rozumiem i nie rozumiem. Wkurza mnie, że nie powiedziałeś mi prawdy.

– Powiedziałem. Nie sypiałem z nią... do pewnego dnia. – Apollo przerwał na chwilę i zapatrzył się w ścianę naprzeciwko. Wisiał tam duży obraz przedstawiający łąkę i nimfę czy rusałkę tańczącą wokół młodego mężczyzny, kuszącą go swoimi wdziękami. Jakże odpowiedni obrazek do sytuacji, pomyślał. – Ona mnie uwiodła... – powiedział cicho.

– Hmm.

– Jakies dwa miesiące przed pożarem Zuza zaczęła się zachowywać bardzo dziwnie. Była bardzo... namiętna. Wręcz domagała się czułości, paraliżowała mnie wzrokiem. Nie jestem z kamienia, przecież ją kochałem, nie była mi obojętna.

– No w sumie trochę cię rozumiem. Te czarownice potrafią człowieka omamić – powiedział już spokojniej Joachim.

– Taka sytuacja powtórzyła się trzy razy. Potem stało się to, co się stało, sam wiesz.

– Czyli Zuzanna to zaplanowała.

Apollo raz jeszcze spojrzął na obraz na ścianie, chwycił za kufel i tym razem dopił do dna.

– Dobrze wiedziała, co robi. I nawet ją rozumiem. Podejrzewam, że wróciła jej pamięć, przynajmniej częściowo. Wyobrażam sobie, co czuła, gdy odkryła obecność Elizy w twoim życiu. Nie chcę sobie wyobrażać, co by było, gdyby to Eliza odkryła Zuzę na twoim poddaszu. Z tego wszystkiego dobrze, że stało się, jak się stało.

– Co ja narobiłem? – Apollo sięgnął po drugi kufel.

– Też się napiję. – Joachim skinął na barmana, który niezwłocznie podał mu kufel z piwem.

– Dziewczyny nie będą zadowolone – zauważył Apollo i przechylił kufel.

– Trudno. Z własnym synem chyba mogę się napić. – Joachim zrobił to samo.

– Napić tak, ale my się uchlejemy. Jak wrócimy do domu? Samochód odpada.

– Może Aga po nas przyjedzie.

– A może zostaniemy tu na zawsze? Boję się wracać do domu. – Apolla dopadł jakiś niepokój. Sytuacja go przerosła.

– Nie mów tak. W końcu życie nam się ułożyło i nie waż się tego rozpieprzyć, synu.

– Masz rację, tamto życie to już przeszłość. Chociaż nie do końca... Mam syna, tato! Syna... – Oparł głowę na ręce i zamilkł.

– Mogłeś się o nim nigdy nie dowiedzieć.

– Ale się dowiedziałem. – Apollo znowu skinął na barmana i zamówił kolejne piwo.

Panowie jeszcze przez prawie dwie godziny dyskutowali, domawiając kolejne piwa. Apollo na przemian to płakał, to się śmiał. Te skrajne zachowania pogłębiały się z każdym wypitym kuflem. Joachim go nie powstrzymywał, miał nadzieję, że syn wyrzuci z siebie wszystkie żale i w końcu pozbiera się do kupy.

– Dobra, masz już chyba dość, czas wracać – zdecydował wreszcie Joachim. Dał znak barmanowi, że już kończą, i rozliczył się, zostawiając spory napiwek.

– Jak ty to robisz? Ja ledwo trzymam się na nogach, a po tobie nic nie widać. Oszukiwałeś? – Apollo mówił wolno i niewyraźnie. Wypite piwo sprawiło, że szumiało mu w głowie i miał problem z równowagą.

– Piłem tyle co ty. Ale mam mocną głowę, zawsze mogłem wypić więcej niż inni.

– Co ja powiem Elizie? Nigdy nie widziała mnie w takim stanie. Wstyd mi, że tak się nawaliłem. – Mimo upojenia Apollo myślał dość logicznie.

– Spokojnie. Jakoś damy radę. Przenocujesz u nas, a rano będziesz znowu w formie. Siedź tu spokojnie. Idę do samochodu po telefon, zamówię taksówkę.

Joachim wrócił po kilkunastu minutach.

– Zbieraj się, mamy transport.

Apollo bez słowa wstał i ruszył za ojcem. Był potulny jak baranek, prawie się nie odzywał.

Gdy dotarli na miejsce, Agnieszka już na nich czekała. Poinstruowana telefonicznie przez Joachima, przygotowała w salonie posłanie dla Apolla i poinformowała córkę, że jej mąż noc spędzi u nich. Eliza nie była zachwycona, ale matka przekonała ją, że pijany facet nie jest dobrym towarzystwem w łóżku.

– No nieźle pobalowaliście. – Agnieszka pokręciła głową na widok zataczających się mężczyzn. Joachim się uśmiechał, lecz Apollo był wyraźnie zażenowany. Nie miał zupełnie doświadczenia w takich sytuacjach. Ostatni raz był w takim stanie na swoich osiemnastych urodzinach. Na szczęście Agnieszka była bardzo wyrozumiała i zrezygnowała z dalszych komentarzy. Życzyła mu dobrej nocy, wzięła Joachima za rękę i zaprowadziła go do sypialni.

– Dziękuję, kochanie – powiedział mężczyzna i jak stał, upadł na łóżko.

Marianna

Ludwika tego wieczoru wyjątkowo tęskniła za Fryderykiem. Minęły dokładnie czterdzieści dni od jego śmierci, lecz żadne modlitwy nie zmniejszyły bólu, który czuła. „Rozpacz to grzech, jest oznaką małej wiary” – brzmiały jej w uszach słowa matki przełożonej, której uwadze nie uszło przygnębianie Ludwiki. A wydawało jej się, że potrafi to ukryć. Fryderyk miał rację, matka Anna była bardzo spostrzegawcza, niewiele dało się przed nią zataić.

– Czy jestem małej wiary? – spytała samą siebie, tkwiąc w swojej celi na klęczniku. Żadna myśl jej się nie nasunęła, choćby najmniejsze potwierdzenie czy zaprzeczenie. Pustka... tylko to czuła. – Boże, daj, proszę, jakiś znak... Proszę... – szepnęła cicho i schowała twarz w dłoniach.

Nie wiedziała, jak długo tkwiła w takiej pozycji. Jak zwykle w takich chwilach czas się dla niej nie liczył. Pograżona w smutku, bezradności i bólu podświadomie wyłączyła wszystkie zmysły. Milczenie też może być modlitwą. Usłyszała to kiedyś na rekolekcjach i teraz chwyciła się tych słów jak tonący brzytwy. Wpadła w trans, wydawało jej się, że czuje nicość, i podobało jej się to. Opuściły ją wszystkie myśli i wszelkie odczucia. Czuła taką lekkość i spokój. Zawieszona między życiem a śmiercią, zapomniała, kim jest, gdzie jest, czy w ogóle jest... Nagle coś zaczęło do niej docierać, coś ściągało ją z tego niebytu. Jakiś ledwie słyszalny odgłos, za chwilę drugi. I nie było to nic nadprzyrodzonego. Z dziwnego letargu obudził ją zwykły, całkiem przyziemny dźwięk telefonu. Ciche powiadomienia wydały się grzmotami w tej niebywałej ciszy, w jakiej dotąd tkwiła. Odruchowo namacała telefon w kieszeni. Wracała jej świadomość, dźwięk znowu się powtórzył.

Fryderyk!? – To była pierwsza myśl, jaka jej przyszła do głowy. A za chwilę bolesna prawda zadała jej cios w samo serce. Ale chyba było odrobinę lepiej, to, co przed chwilą przeżyła, było jak opatrunek na głębokiej ranie. Rany nie zagoił, ale przyniósł ulgę. Już spokojnie wysupłała z kieszeni telefon. Bardzo rzadko dostawała wiadomości, a jeszcze rzadziej ktoś do niej dzwonił. Prawie zupełnie oparła się temu wynalazkowi, jakim był telefon komórkowy. Wiadomości były trzy. Wszystkie z nieznanego numeru. Otworzyła pierwszą z nich. Było to zdjęcie. Para uśmiechniętych młodych ludzi na tle gór. Szczęście aż kapało z ich twarzy, a ich oczy były pełne miłości. Początkowo Ludwika ich nie rozpoznała. Pomyślała nawet, że to pomyłka. Dopiero po chwili, mrugając z niedowierzania, otworzyła usta.

– Justyna!? – powiedziała na głos. – Jaka jesteś piękna... – mówiła do zdjęcia w telefonie. I teraz poznała też mężczyznę na zdjęciu. To był Antoni, brat prawdziwej Marianny. Pospiesznie otworzyła następną wiadomość. Kolejne zdjęcie. Ta sama szczęśliwa para obejmująca ogromne drzewo. Trzecią wiadomością był krótki SMS:

Siostró Ludwiko, dziękuję za wszystko. Jesteśmy tacy szczęśliwi. Świat jest taki piękny. Wszędzie można kochać Boga.

Julia i Antek

PS Wróciłam do imienia, które nadano mi na chrzcie.

Ludwika jeszcze przez chwilę przyglądała się zdjęciom, zwłaszcza dziewczynie. Siostra Justyna była ładna jako zakonnica, ale teraz, jako Julia, z rozwianymi włosami, z rumieńcami na twarzy i tym błyskiem w oczach, była wręcz urocza.

– Dziękuję ci, dobry Boże, i miej ich w swojej opiece – szeptała cichą modlitwą.

Wyglądacie pięknie,
niech Bóg was błogosławi.

Ludwika.

*

Napisała krótkiego SMS-a i nim udała się na spoczynek, sięgnęła pod materac. Wyciągnęła szary sweter i dopiero gdy poczuła na policzku jego miękkość, ogarnęła ją senność.

*

Marianna z synkiem została zaproszona do rodziców Wiktora. Byli jej bardzo ciekawi, znali tylko z opowiadań Wiktora i historii Wojtusia. Gdy syn im oświadczył, że chce poślubić tajemniczą Mariannę, niezwłocznie pragnęli ją poznać. Marianna była pełna obaw. Wiedziała, że będą ciekawi jej rodziny, jej przeszłości, nie była gotowa na takie zwierzenia.

– Ale dlaczego nie chcesz poznać moich rodziców? Są naprawdę wspaniali, sama się przekonasz. – Wiktor nie rozumiał jej obaw.

– Jestem pewna, że są wspaniali. Znam ciebie, poznałam twoją siostrę i siostrzeńca, ale rodzice... to dla mnie za trudne.

Wiktor był niepokojony. Był pewien, że jego rodzice pokochają Mariannę. Jej niechęć do spotkania go zaniepokoiła. Czego ona się boi? Już dawno się domyślił, że jego narzeczona ma jakąś tajemnicę, może mroczną. Ale dla niego nie była ważna jej przeszłość. Zaakceptuje ją, jakakolwiek by była. A rodzice? Oni będą szczęśliwi, gdy on będzie szczęśliwy.

– Kochanie, czego się obawiasz? Domyślam się, że masz jakąś tajemnicę, ale szanuję to. Nigdy nie będę cię nakłaniał, żebyś ją wyjawiała, chyba że sama zechcesz to zrobić. Jeśli nie masz gdzieś w świecie męża, od którego uciekłaś i z którym nie wzięłaś rozwodu, to nic innego mnie nie obchodzi.

Marianna uśmiechnęła się smutno.

– Nie mam męża, nigdy nie miałam. Ojciec Aresa też nim nie był. Ale twoi rodzice będą chcieli coś wiedzieć na temat moich rodziców, mojej rodziny. Ja nie mam rodziny – szepnęła i poczuła się bardzo podle. Właśnie wyrzekła się swoich rodziców, swojej siostry. Ta myśl bardzo ją zabolęła. Po raz już kolejny uświadomiła sobie, jak bardzo ich zraniła, znikając bez wieści.

– Skarbie, obiecuję ci, że nie padnie żadne pytanie na temat twojej rodziny. Ani jedno, uwierz mi. Oni chcą poznać ciebie, nie twoją przeszłość. – Wiktor patrzył jej w oczy z miłością i oddaniem. – Zgódź się, proszę.

Ostatecznie Marianna poszła na to spotkanie. Wiktor mówił prawdę, jego rodzice okazali się wspaniałymi ludźmi. Wydawali się szczerzy i nie pytali o jej przeszłość. Raczej interesowała ich przyszłość. Polubili Aresa, zastanawiali się, na kogo wyrosną synek Marianny i ich wnuk Wojtuś. Ubolewali nad losami świata, tak samo jak Wiktor uważali, że ludzkość dąży do zagłady. Mieli jednak nadzieję, że ludzie w końcu się opamiętają i uratują to, co da się jeszcze uratować. Marianna dobrze się czuła w ich towarzystwie, ale ta wizyta przywołała obudzone już wcześniej wspomnienia o jej własnej rodzinie. Ostatnio coraz częściej myślała o rodzicach i siostrze. Miała nawet takie momenty, że chciała wrócić, wyznać prawdę i ponieść karę za to, co zrobiła. Powstrzymywała ją tylko obawa o los Aresa i Apolla. Jej synem zapewne zajęłaby się rodzina, a Apollo? Czy poniósłby karę za to, co zrobił? To w jakimś stopniu było przestępstwem, może oskarżyliby go o uprowadzenie albo o przetrzymywanie jej i wprowadzanie policji w błąd. Chociaż tak naprawdę to on pomógł jej wrócić do normalnego życia. Była pewna, że gdyby pozostała w szpitalu, już nigdy nie odzyskałaby świadomości.

– O czym tak myślisz? Nie było tak, jak obiecałem? – spytał Wiktor, gdy odwoził ją do domu.

– Miałaś rację, twoi rodzice są naprawdę wspaniali.
– Dlaczego więc tak się smucisz? Bo jesteś smutna, nie zaprzeczaj.
– Dopadła mnie przeszłość, ale obiecałaś nie pytać. – Sama się zdziwiła, że to powiedziała. Coś zaczynało się z nią dziać, zaczynała mieć dosyć tajemnic.
– Nie będę pytał. Ja zawsze dotrzymuję słowa. – Położył dłoń na jej udzie.
– Dziękuję – odparła i spojrzała na tylne siedzenie. Ares smacznie spał w foteliku. Musi dobrze się zastanowić, co będzie najlepsze dla najważniejszego mężczyzny w jej życiu.
Wiktor, jak obiecał, o nic już nie pytał. Gdy podjechali pod blok Marianny, zaniósł śpiącego malucha do domu, ułożył go w łóżeczku, zdjął mu buciki i przykrył go delikatnie kołdrą.

Marianna przyglądała się temu w milczeniu. Był taki delikatny i pewny siebie w tym, co robił, jakby to była jego codzienność.

– Wszystko w porządku? – spytał, przysmykając drzwi do dzieciennego pokoju.
– Tak. Wszystko w porządku. Przepraszam...
Objął ją czule i przytulił.
– Będzie dobrze, będzie dobrze, kochanie. Nie wiem, co cię męczy, ale wszystko się ułoży. Przegonię wszystkie duchy przeszłości i będę czuwał, by nigdy nie wróciły – szeptał, całując jej szyję, wchłaniając zapach jej włosów, pieszcząc dłońmi jej piersi.

Westchnęła, poddając się tym pieszczotom. Była zmęczona dzisiejszym dniem, ale w jego ramionach odzyskiwała siły. Jego pocałunki tchnęły w nią moc, jakiej wcześniej nie znała. Poddali się emocjom i pożądaniu, zapominając o całym świecie. Teraz wszystko wydawało się takie piękne i proste. Zniknęły wszystkie niepokoje i obawy. Uwierzyła, że będzie dobrze.

Poranek przywitał ją zapachem kawy, czyimś śpiewem i wesołym śmiechem. Wstała po cichu i poszła do kuchni. Oprócz kawy na stole zobaczyła stos kuszących kanapek, a z łazienki dochodziły wesołe śpiewy i śmiechy. Zajrzała tam. Ares siedział w wannie, a Wiktor szorował go spienioną gąbką, śpiewając przy tym jakąś marynarską piosenkę. Dziecko śmiało się radośnie, ściągając z twarzy białą pianę.

– Co tu się wyprawia beze mnie? – spytała zachwycona tym widokiem Marianna.
– Mama! – zawołał radośnie Ares, a Wiktor przestał śpiewać.
– Kąpiemy się. Wczoraj ktoś tu miał dzień dziecka i poszedł spać brudny – wyjaśnił mężczyzna, chociaż nie musiał tego mówić, widziała przecież, co robią. Ale sama zadała pytanie, więc na nie odpowiedział.
– Jesteś niesamowity...
– Wiem – odpowiedział dumnie. – Napij się kawy, a my tu skończymy i zwolnimy łazienkę.
– Dziękuję. Dobry dzień się zapowiada.
– Taki był plan – powiedział i puścił do niej oko.
*

Marianna poprosiła Wiktora, by odebrał Aresa z przedszkola. Sama zaraz po pracy poszła na cmentarz. Właśnie tam miała się spotkać z Ludwiką. Już z daleka zobaczyła czarną postać krzątającą się przy grobie. Przyspieszyła kroku.

– Dzień dobry – przywitała się.
– Witaj, Marianno. – Ludwika się wyprostowała i zaczęła masować plecy. – Za długo się schylałam, ale już jest w porządku. Co tam u ciebie?
– U mnie wszystko dobrze, bardziej martwię się o ciebie. Tak naprawdę jesteś sama ze swoim bólem.

Szczere słowa przyjaciółki wzruszyły zakonnice. Chyba rzeczywiście tylko Marianna rozumiała jej ból. Inne siostry ku rozpaczycy Ludwika szybko zapomniały o Fryderyku. Kuria przysłała młodego księdza Stanisława, który jakimś sposobem szybko wkupił się w łaski wszystkich zakonnice łącznie z matką przełożoną. Tylko Ludwika oparła się urokowi duchownego. Traktowała go grzecznie, ale z dystansem, chociaż widziała, że on sam robi wszystko, by się do niego przekonała.

– Ja mam Boga, skarbie. On jest moim powiernikiem i przyjacielem, w nim szukam pocieszenia.

Jej słowa nie przekonały Marianny. Były chłodną regułką wyuczoną na takie właśnie okazje. Widziała jak na dłoni, że to nie działa. Po śmierci Fryderyka jej przyjaciółka nie była już tą samą osobą. Smutek ciągnął się za nią jak cień i nawet gdy się śmiała, oplatał ją swoimi mackami, nie pozwalając się zgubić.

– Chyba Bóg nie do końca potrafi cię pocieszyć. Razem z ojcem Fryderykiem odszedł kawałek ciebie.

– Tak to widać? – spytała trochę przerażona Ludwika. To by oznaczało, że nie jest dobrą zakonnice.

– Ja widzę. Widzę, że cierpisz i tęsknisz. Dobrze znam to uczucie.

Zakonnica rozejrzała się dookoła, jakby się bała, że ktoś je usłyszy. W końcu spojrzała dziewczynie w oczy.

– Masz rację, bardzo mi go brakuje.

Marianna przytuliła Ludwikę, łącząc się z nią w bólu. Bardzo jej współczuła. Jakiś czas temu zauważyła, że ojciec Fryderyk był dla zakonnicy kimś więcej niż przyjacielem. Nie chciała mówić tego głośno, ale podejrzewała, że łączyła ich prawdziwa miłość. Pewnie nieco inna niż u ludzi świeckich, ale po stracie tak samo bolesna.

– Strata kogoś bliskiego zawsze boli... ja naprawdę cię zrozumieję – powiedziała cicho, uwalniając Ludwikę z uścisku.

– Wiem, moja droga, i jestem ci wdzięczna, że nie śmiejesz się ze starej zakonnicy, którą dopadło nieznanne jej dotąd uczucie.

Marianna przyglądała jej się z ciekawością.

– Naprawdę nigdy nie byłaś zakochana? Ani razu?

– W człowieku nie. Kochałam Boga.

– Ale to nie to samo.

– Rzeczywiście, nie to samo. Człowieka kocha się trudniej – odpowiedziała bardzo cicho Ludwika.

– Pewnie masz rację. Ja nie będę się wypowiadać w tej kwestii. Chyba nie jestem blisko Boga – odpowiedziała jeszcze ciszej Marianna. Prawie do siebie szeptały, uwalniając swoje skryte myśli. Tu, nad grobem prawdziwej Marianny, ich przyjaźń zacieśniła się jeszcze bardziej.

– Nie mów tak. Bóg jest blisko ciebie. Nie widzisz tego?

– Nie wiem. Wciąż mówisz, że ktoś nade mną czuwa, i może tak jest. Ale ja nie umiem nawet porządnie się modlić. Czy nad takimi ludźmi Bóg też czuwa?

– Zwłaszcza nad takimi, żeby się nie zagubili w tym nieprzyjaznym świecie.

– Jaka ty jesteś mądra, jak umiesz wszystko wytłumaczyć, wyjaśnić, rozwiązać wątpliwości. Nigdy ci się nie odwdzięczę za to, co dla mnie zrobiłaś.

– Nie masz pojęcia, ile ty zrobiłaś dla mnie.

– Ja? Dla ciebie? Przestań. Masz przeze mnie tylko kłopoty.

– Wiele się zmieniło od chwili, gdy zjawiłaś się w naszym przytułku. Zaczęłam inaczej patrzeć na świat, i podobało mi się to. A to wszystko przez przerażoną dziewczynę, którą Bóg

przysłał do mnie tamtego wieczoru.

– Wiedział, co robi. Nikt inny by się nade mną nie ulitował.

– To teraz twoja kolej... – Zakonnica sprytnie wykorzystwała bieg rozmowy, by zrealizować swój plan.

– Nie rozumiem.

– Zrób coś dla Boga i dla siebie.

– Po to mnie tu ściągnęłaś?

– Trochę tak, przyznaję. Ale nie denerwuj się, proszę. Do niczego cię nie zmuszam. To tylko prośba. – Ludwika spojrzała na mogiłę prawdziwej Marianny i zamilkła.

Dziewczyna dopiero po chwili zrozumiała.

– Chodzi o Iwa?

– Nie sądzisz, że tu jest jego miejsce?

– Ale... nie ma ojca Fryderyka, kto to zrobi? – usiłowała się bronić Marianna, lecz wiedziała, że Ludwika ma rację. Jej życie zaczynało się zmieniać, musiała zrobić coś, co powinna była zrobić już dawno. Ale to nie tu powinien spocząć jej syn.

– Nie możesz trzymać w domu...

– Wiem! – przerwała zakonnicy Marianna.

– Zgadzasz się?

– W pewnym sensie.

– Możesz jaśniej?

– Pochowam go, ale nie tu.

– Nie tu? To gdzie? – Ludwika nieco się przeraziła. Były momenty, gdy wydawało jej się, że ta dziewczyna wciąż jest obłąkana. To jej spojrzenie takie jak w tej chwili. Głębokie i puste jednocześnie. Nie bała się jej wzroku, raczej obawiała się, że nastąpi nawrót stanu, w jakim była Marianna po tragicznych wydarzeniach na wyprawie do Australii. Zakonnica nie знаła się na medycynie, ale coś jej mówiło, że to możliwe. Jakże czuła się bezradna. Gdyby Fryderyk tu był... Na każdym kroku jej go brakowało.

– Chcę, żeby mój syn wrócił tam, gdzie jego miejsce. Tam, skąd go zabrałam.

– Mówiłaś, że zabrałaś go z ogrodu twojego narzeczonego. Jak ma tam wrócić?

– Jeszcze nie wiem jak, ale tam wróci. Jestem mu to winna. Znajdę sposób.

– Marianno, przerażasz mnie.

– Spokojnie, nie zrobię nic głupiego, obiecuję.

Ludwika odetchnęła, dziewczyna znowu była sobą. To dziwne spojrzenie zniknęło. Teraz patrzyła ciepło i przyjaźnie. Taką Mariannę lubiła.

– Wiem, że to dla ciebie trudne.

– Czasami żałuję, że go stamtąd zabrałam, ale wtedy myślałam inaczej. Wszystko wydawało mi się prostsze. Teraz wiem, gdzie popełniłam błędy.

– Czasu nie cofniesz, ale możesz spróbować naprawić to, co jeszcze się da. Tylko z rozsądkiem.

– Taki mam zamiar. Nie martw się już, proszę, o mnie.

– Myślisz, że to takie łatwe? Jesteś najbliższą mi osobą, jak mam się nie martwić?

Słowa zakonnicy wzruszyły Mariannę. Chciała, by Ludwika też czuła, że jest jej bliska. Może ich przyjaźń różniła się od przyjaźni innych kobiet, rówieśniczek czy w jakiś inny sposób do siebie podobnych. To była przyjaźń wyjątkowa i jedyna w swoim rodzaju.

– Dziękuję ci, że jesteś – powiedziała Marianna i wzięła zakonnice pod rękę. – Chodźmy już, jest zimno.

*

Zima w tym roku przysłała dość szybko. Już w nocy zaczęło sypać białym puchem. Ludwika spacerowała po ogrodzie otulona ciepłą peleryną. Wciąż wymykała się wieczorami na samotne spacer, tylko tu mogła nieco ulżyć sobie w bólu. Miała wrażenie, że nie jest tu sama. Pewnie to było działanie wyobraźni, ale w ogrodzie wciąż czuła jego obecność, nawet do niego mówiła i słyszała w myślach głos Fryderyka. Oddychała tym samym powietrzem, którym on oddychał, chodziła po alejkach, gdzie wciąż były jego ślady, które teraz znikwały pod cienką warstwą śniegu. Tu był jego azyl, a teraz to było także jej ulubione miejsce.

– Wybacz mi, Boże – szeptała – nie umiem już modlić się jak dawniej. Zesłałeś na mnie smutek, którego nie mogę okiełznać. Pomóż mi, proszę, zrozumieć mój ból...

Spoglądała na niebo zasnuwane śnieżnymi chmurami i wierzyła, że jej prośba zostanie wysłuchana. Wierzyła bardzo w boską moc i boskie miłosierdzie i chociaż chwilami miewała wątpliwości, nawet czuła żal do Boga, to składała to na karb swojej ludzkiej ułomności. Pełna skruchy opuściła ogród i przemarznięta udała się do swojej celi, by tam znowu ulec pokusie. Zasypiała otulona szarym swetrem, próbując odpędzić natrętne myśli. Zbliżał się okres przedświąteczny, będzie musiała się wypowiedzieć ze swoich czynów i pokus. Miała jednak duże opory przed spowiedaniem się u księdza Stanisława. Zachodziła w głowę, jak to ominąć. Na spowiedź w innym kościele będzie musiała uzyskać zgodę przełożonej. Mocniej przytuliła sweter i z całych sił blokowała myśli pchające się do jej głowy. Jedyne, czego teraz pragnęła, to zostać sam na sam z szarym swetrem i wspomnieniami.

*

Poranek przywitał wszystkich rażącą bielą. Drzewa, dachy, samochody, ulice, wszystko pokryte było białym kocem. Na jednym z placów zabaw para dorosłych i dwóch chłopców korzystało z uroków zimy. Cała czwórka w wysmienitych humorach, mężczyzna z dziećmi toczyli ogromną kulę śniegową, kobieta przyglądała się tej zabawie.

– Wujek, wujek, jeszcze większą zrobmy! – krzyczał starszy chłopiec.

– Dobrze, zrobimy ogromnego bałwana. – Mężczyzna bawił się równie dobrze jak towarzyszące mu dzieci.

– Największego, wujek! – krzyknął młodszy chłopiec.

– Na pewno będzie większy od ciebie – zażartowała kobieta, wyciągnęła telefon i zaczęła nim robić zdjęcie.

– Ares, spójrz na mnie! – zawołała. – Wojtuś, uśmiechnij się! Wiktor, nie chowaj się! – Robiła mnóstwo zdjęć każdemu z nich.

Śnieg wciąż sypał, a oni, nie zważając na to, lepiłi kolejne bałwany.

– Ares, policz, ile już mamy bałwanów – polecił mężczyzna.

– Jeden, dwa, trzy...

– Cztery i pięć. Mamy już pięć – dokończył liczenie starszy chłopiec.

– Może już wystarczy, przeziębicie się – próbowała zakończyć zabawę kobieta, ale nie było to łatwe. Dzieci nie chciały wracać do domu.

– Zapraszam na pizzę, halo!

– Pizza! Hura! – Młodszy chłopiec skusił się pierwszy na ulubioną potrawę. Podbiegł z uśmiechem do kobiety.

– Mamy pierwszego głodomora. – Przytuliła czule dziecko.

Tuż obok placu zabaw stał samochód, a w nim dwóch mężczyzn uważnie przyglądało się zabawie na śniegu, zwłaszcza kobiecie i młodszemu dziecku.

– Teraz mi wierzysz, synu? Nie kłamałem, mówiąc ci, że ona ma już swoje życie.

Wygląda na szczęśliwą, chcesz to zepsuć?

– Nie. Nie chcę, ale musiałem to zobaczyć na własne oczy. Moją Zużę i mojego syna, Aresa. Ładne imię mu dała. – Głos mu drżał, gdy to mówił.

– Już nie twoją – powiedział Joachim w momencie, gdy do kobiety podszedł mężczyzna i ją pocałował.

– Zawsze będzie moja, nie umiem o niej inaczej myśleć. Jest taka piękna. – Apollo z trudem wymawiał słowa.

Zuza stała tak blisko. Wystarczyło wysiąść z samochodu i stanąłby tuż przed nią. Pokusa była ogromna. Kobieta, jakby czując jego myśli, spojrzała na samochód. Gdyby nie przyciemnione szyby, z pewnością by go zauważyła, przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy. Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi.

– Apollo, opanuj się, nie rób głupstw. – Joachim zacisnął dłoń na ramieniu syna.

Kobieta nagle odwróciła wzrok, spojrzała na towarzyszącego jej mężczyznę.

– Chodźmy, jestem głodna – powiedziała i wzięła go za rękę. Obaj chłopcy dołączyli do nich i cała czwórka ruszyła zaśnieżoną ulicą. Po chwili ich postacie zaczęły blednąć, aż w końcu zniknęły wśród płatków gęstego śniegu.

– Wracajmy – powiedział Apollo. – Obiecałem komuś, że ulepimy razem ogromnego bałwana.

Pół roku później

Joachim podjechał w umówione miejsce. Zaparkował, a już po chwili zmierzał wolnym krokiem w kierunku małej kawiarenki. Był zdenerwowany, nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Wiadomość była krótka. Prośba o spotkanie, podana data, godzina i miejsce. I jeszcze druga prośba o dochowanie tajemnicy i podpis: Zuzanna.

Różne myśli przychodziły mu do głowy. Z reguły był twardy, ale tu chodziło prawdopodobnie o jego wnuka. Oczami wyobraźni widział go chorego, potrzebującego przeszczepu, bo cóż innego mogło skłonić Zuzę do spotkania z nim? Tylko w takich przypadkach szuka się kontaktu z rodziną, z którą z różnych powodów nie utrzymuje się stosunków.

Zobaczył ją siedzącą przy stoliku. Piękną jak zawsze i na pierwszy rzut oka spokojną. Ulżyło mu. Matka ciężko chorego dziecka nie tak by wyglądała.

– Witaj, Zuzanno. – Podszedł do stolika i podał jej rękę.

– Witaj. Dziękuję, że przyszedłeś – odpowiedziała z uśmiechem.

– Zaskoczyłaś mnie i nie powiem, nieco przestraszyłaś. Ale niezmiernie mi miło cię widzieć.

– Ciebie również miło widzieć. Nic się nie zmieniło.

– Nie? A ta siwizna na skroniach i zmarszczki to nic? – spytał rozbawiony i w końcu rozluźniony. Już był pewny, że nic złego się nie stało. Wciąż nie wiedział, jaki jest powód tego spotkania, ale z pewnością nie dowie się o żadnej tragedii.

– To tylko dodaje ci uroku. Wyglądasz naprawdę świetnie.

– Dziękuję, ale to tobie należą się komplementy.

– Daruj sobie. – Skromnie spuściła wzrok. Wyglądała naprawdę ładnie i z pewnością zdawała sobie z tego sprawę. Nie potrzebowała komplementów, by się dowartościować. Niby o tym wiedział, ale same cisnęły się na usta, gdy na nią patrzył.

W tej chwili podszedł do stolika kelner. Joachim zamówił kawę i znowu spojrzał na kobietę.

– Czemu zawdzięczam to miłe spotkanie?

– Jak mnie znalazłeś? – spytała.

– Hmm. Skąd wiesz, że cię znalazłem? – odpowiedział pytaniem.

– Patchworki. To ty jesteś tym tajemniczym klientem. Trudno było wyciągnąć tę informację, ale w końcu się udało. Po co ci tyle kap? Jeśli chciałeś mi w ten sposób pomóc, to doceniam, ale daję sobie radę. Mimo to dziękuję.

Mężczyzna rozłożył bezradnie ręce.

– Nic innego nie udało mi się na szybko wymyślić. Wybacz, jeśli dołożyłem ci roboty, ale mogłaś odmówić – powiedział wprost. Wiedział dobrze, że z Zuzą najlepiej grać w otwarte karty. Przynajmniej kiedyś tak było, przed wypadkiem.

Uśmiechnęła się. Była taka jak dawniej, cudowna Zuza. Ukochana jego syna i ulubienica Basi. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że tak właśnie jest, że dziewczyna wciąż jest narzeczoną Apolla i zaraz zjawi się Basia, jego żona, z jakimś nowym szalonym pomysłem. Miała ich mnóstwo, ostatnim była ta nieszczęsna podróż do Australii. Zamiast Basi zjawił się kelner z kawą. Wspomnienia rozwiały się jak mgła.

– Posmutniałeś... – zauważyła.

– W porządku. Zamyśliłem się.

– O czym myślałeś?

– O tym, co już nie wróci – odpowiedział wymijająco.
Wydawało mu się, że ona też posmutniała, a przynajmniej na chwilę zniknął z jej oczu blask.

– Przeszłości nie zmienimy, ale możemy spróbować naprawić to, co jeszcze można naprawić. Tak mówi moja przyjaciółka.

– Mądra kobieta.

– Najmądrzejsza, jaką znam.

– Dobrze jest znać takich ludzi.

– Ty też do nich należysz.

– Dziękuję. To nie zabrzmiało skromnie, ale za głupiego się nie uważam.

Zuzanna się roześmiała, ciesząc jego serce. Zawsze lubił jej śmiech.

– Otóż to, dlatego potrzebuję twojej pomocy. Skoro już odkryłeś, że nie spłonęłam w pożarze...

– Nigdy w to nie uwierzyłem. Apollo też nie uwierzył. To on natknął się na te patchworki, od razu wiedział, że to twoje dzieło.

Tym razem posmutniała naprawdę, jej twarz znieruchomiała i pobladła. Wspomnienie Apolla ją poruszyło.

– Co u niego? – spytała cicho.

– W porządku. Odbudował dom...

– Jest szczęśliwy?

Joachim chwilę milczał, jakby się zastanawiał, co powiedzieć.

– Tak. Jest szczęśliwy. Dzięki tobie.

Spojrzała na niego niepewnie.

– Czy nie tego chciałaś? Nie po to uciekałaś, podpaliłaś dom, zniknęłaś z jego życia, żeby mu było łatwiej osiągnąć to szczęście? Czy nie zrobiłaś tego właśnie z miłości do niego, z miłości na którą nie zasłużył?

– To nie tak. On wiele dla mnie zrobił. Też z miłości, tylko potem się pogubił. Nie obwiniam go, byłem chora, szalona, nie wiedziałam, co się dzieje. Było mu ciężko. W końcu to zrozumiałam, ale dla nas było już za późno.

– To mój syn, ale nie pochwalam tego, co zrobił. Eliza jest wspaniałą kobietą, ale to ty powinnaś przy nim być. To wasze dzieci powinny biegać po ogrodzie. Wszystko jest nie tak, jak planowaliśmy.

– Widać życie miało dla nas inny plan. W końcu to zrozumiałam...

– Jesteś niesamowita. Nasza Zuza... taką cię pamiętam. Piękną, mądrą, wrażliwą.

– Już nie Zuza. Teraz jestem Marianna. Zuzy już nie ma. Już nie wróci. Odeszła na zawsze.

– Trudno mi się z tym pogodzić. Ale skoro taki był twój wybór, szanuję to.

– Dziękuję. To dla mnie wiele znaczy. Zawsze cię lubiłam i zawsze świetnie się dogadywaliśmy.

– Tak, to prawda. I żeby była jasność: wciąż się lubimy i rozumiemy, tak?

– Oczywiście. Dlatego tu jesteś. Potrzebuję twojej pomocy.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– To chyba nie będzie dla ciebie zbyt wielki problem. A dla mnie to ogromnie ważne i niezmiernie trudne.

– O co chodzi?

– Uciekając z domu Apolla, zabrałam coś z ogrodu. Chcę, żeby tam wróciło.

– Też to odkryłem. Nie zatarłaś dobrze śladów.

- Spieszyłam się.
- Apollo wciąż jest przekonany, że Iwo spoczywa w ogrodzie pod krzakiem róży.
- Zabierzesz go tam z powrotem?
- Obiecałem, że ci pomogę.

Dziewczyna sięgnęła po torbę leżącą przy krześle. Joachim wstrzymał oddech. Kobieta rozsunęła zamek i jego oczom ukazała się szkatułka z macicy perłowej. Basia trzymała w niej biżuterię. Apollo mu wspomniał, że w tej właśnie szkatułce pochował Iwa.

- Ale jakim cudem? Minęło kilka lat...
- Spokojnie, skremowałam go, aż taka szalona nie jestem.

Joachim odetchnął z ulgą.

- Weź go, proszę. Zabierz tam, gdzie jego miejsce.
 - Możesz być pewna, że to zrobię.
 - Dziękuję. Idź już, proszę. Ciężko mi się z nim rozstać – szepnęła, hamując łzy.
- Chwilę się ociągał, w końcu wstał, ujął jej rękę i pocałował.
- Jestem pod wrażeniem. Dziękuję, że mi zaufałaś.
 - Idź już, proszę – powtórzyła.

Wziął torbę i ruszył do wyjścia. Tuż przy drzwiach się odwrócił. Zuzy nie było już przy stoliku.

*

Ludwika od razu zauważyła zmianę. Gdy tylko weszła do mieszkania Marianny, jej wzrok padł na komodę. Jak zwykle stały tam białe róże w wazonie, ale szkatułka zniknęła.

– Babcia...! – Ares wybiegł jej na spotkanie, nim zdążyła o cokolwiek zapytać. Syn Marianny już od dawna nazywał ją babcią, a ona kochała go nad życie i wcale tego nie kryła.

– Witaj, kochanie. – Wyciągnęła do niego ramiona i go przytuliła. – Jak tam w przedszkolu, masz dużo kolegów?

– Nie – odpowiedział, zabawnie przekrzywiając główkę.

– O ty kłamczuszku, jak to nie masz kolegów? Nie wolno oszukiwać babci. – Marianna spojrzała na syna, udając zagniewanie.

– Daj spokój, to tylko dziecko. Mam coś dla ciebie. – Zakonnica wyciągnęła z kieszeni garść cukierków. Mały wyciągnął rączki i obdarzył Ludwikę słodkim uśmiechem.

– Dziękuję! – krzyknął i zniknął w swoim pokoju.

Obie kobiety odprowadziły go wzrokiem.

– Rozgość się, proszę. Czego się napijesz? – Marianna mówiła spokojnie, ale w jej głosie czuć było nutkę smutku.

Zanim Ludwika odpowiedziała, znowu spojrzała na komodę. Jej wzrok sam się tam kierował, nie mogła tego opanować.

– Zrobiłam tak, jak ci obiecałam – wyjaśniła Marianna, widząc, gdzie patrzy Ludwika.

– Jesteś dzielna. Tak będzie naprawdę lepiej – powiedziała Ludwika, chociaż nie całkiem zgadzało się to z jej sumieniem. Była przecież zakonnica. Wolałaby, żeby Iwo miał prawdziwy pogrzeb.

– Dużo się ostatnio zmieniło, ja się zmieniłam. Chcę być z Wiktorem i wiem, że z nim będę szczęśliwa.

– To cudowna wiadomość, ale... Jest jakieś ale, tak?

– Chcę naprawić wszystko, co się da, tak jak radziłaś. Nie chcę, by moje tajemnice rzucały cień na moją... na naszą przyszłość. Myślisz, że dam radę?

– Pierwszy krok już zrobiłaś. Jestem z ciebie dumna. Wierzę w ciebie. Fryderyk też

w ciebie wierzył. Wiesz, co mi kiedyś powiedział?

– Jestem ciekawa.

– Powiedział, że nadejdzie taki dzień, gdy zechcesz się pozbyć balastu tajemnic. Chyba ten dzień już nadszedł.

– Jaki dzień nadszedł? Co mnie ominęło? – Do pokoju wszedł Wiktor. Kobiety zajęte rozmową nie usłyszały go wcześniej.

– Dzień mojej przemiany – odpowiedziała Marianna niespeszona jego nagłym pojawieniem się.

– Wspaniale. Kocham cię i nic tego nie zmieni. Nawet jeśli się okaże, że w czasie pełni zmieniasz się w wilkołaka – powiedział, całując Mariannę na powitanie. Do Ludwiki puścił oko, co ją nieco zmieszało. Nie przywykła do takiego luzackiego zachowania, ale ku jej rozpaczy bardzo jej się to podobało. Uśmiechnęła się i odetchnęła z ulgą. Była pewna, że tych dwoje odnalazło siebie i że będą ze sobą szczęśliwi. Szkoda, że Fryderyk tego nie doczekał, pomyślała i na chwilę ogarnął ją smutek. Ale szybko wrócił jej dobry humor i z miłością spoglądała na szczęście swojej Marianny.

*

Późnym wieczorem Ludwika wymknęła się do ogrodu. Stara furтка przyjaźnie zaskrzypiała, ciepły wiatr owiał jej twarz. Szła wąską dróżką, prawie nie patrząc pod nogi. Znała tu każdy kamień, każde drzewo, każdy odgłos wydobywający się z tajemniczych zakamarków. Tu czuła się tak dobrze. To tu, w tym miejscu, przeżyła coś pięknego, to tu poznała smak szczęścia, o którym jej koleżanki zakonnice tylko słyszały albo czytały. Jej Bóg pozwolił zakosztować tego zakazanego dla duchownych uczucia. I wcale nie uważała tego za grzech, nigdy się z tego nie wypowiadała, i na pewno nigdy tego nie zrobi. To kolejna tajemnica, którą zabierze ze sobą do grobu...

Nakładem wydawnictwa Novae Res ukazało się również:







Spis treści:

Okładka Strona tytułowa Marianna Apollo Marianna Apollo Marianna Apollo Marianna
Historia Marianny Apollo Marianna Apollo Marianna Apollo Marianna Pół roku później

Jej tajemnice

ISBN: 978-83-8313-832-9-999

© Beata Olejnik i Wydawnictwo Novae Res 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody Wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

KOREKTA: Paulina Górska

OKŁADKA: Magdalena Czmochowska



Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Grupa Zaczytani sp. z o.o.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest na stronie **zaczytani.pl**.

Opracowanie ebooka
Katarzyna Rek

